

ALEKSANDRA CHMIELEWSKA

UCZEŃ

CZARNOKSIĘŻNIKA



novaeres

Aleksandra Chmielewska

UCZEŃ CZARNOKSIĘŻNIKA



NOVAE RES

Dla mojej siostry, Asi

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I. CZARNOKSIĘŻNIK

ROZDZIAŁ II. ZIEMIA OBIECANA

ROZDZIAŁ III. UBOCZNY SKUTEK DNIA NIEWINIĄTEK

ROZDZIAŁ IV. WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO LICEU

ROZDZIAŁ V. UPIÓR W PORTIERCE

ROZDZIAŁ VI. ALCAZAR

ROZDZIAŁ VII. CZY MA PAN OCHOTĘ PÓJŚĆ NA
CARMEN?

ROZDZIAŁ VIII. STOWARZYSZENIE WALKI Z OGÓRKAMI

ROZDZIAŁ IX. WIOLONCZELISTA NA DACHU

ROZDZIAŁ X. A WSZYSTKO PRZEZ TEGO
NIEDOU CZONEGO SMARKACZA!

ROZDZIAŁ XI. SKOK W BOK

ROZDZIAŁ XII. NAJGORSZY PORTIER W HISTORII
LUDZKOŚCI

ROZDZIAŁ XIII. KOLACJA NA ORKIESTRĘ SYMFONICZNĄ

ROZDZIAŁ XIV. SIOSTRA CARMEN

ROZDZIAŁ XV. WALKA NA OBÓJ, NÓŻ I SMYCZEK
WIOLONCZELI

ROZDZIAŁ XVI. UCZEŃ CZARNOKSIĘŻNIKA

EPILOG

ROZDZIAŁ I

Czarnoksiężnik

Bywa, że muzyk – poza tym, że bierze sześćdziesiąt cztery nuty staccato^[1] na jeden smyczek albo bez problemu gra przez dziesięć minut na jednym oddechu – nie umie zliczyć do pięciu. Bywa, że umie. Bywa, że przy okazji jest w stanie zgrabnie zsumować wymienione liczby, a jak się go ładnie poprosi, zrobi to z zamkniętymi oczami. Ale nie bywa – i tu poszedłbym o zakład o mój drogocenny smyczek (gdybym tylko nie sprzedał go w chwili kryzysu) – że muzyk jest takim geniuszem, jakim był mój Mistrz.

Jego potężne oblicze po raz pierwszy zawisło nade mną, rzucając ogromny, przerażający cień, kiedy byłem jedenastoletnim brzdącem, którego życiowym celem było całodniowe szlajanie się z kumplami po trzepakach. Wróc, bez kumpli, tego szczęścia, niestety, nigdy nie miałem. Właśnie wtedy zostawiła mnie na pastwę losu moja poprzednia nauczycielka od gry na wiolonczeli, której udało się nauczyć mnie tylko jednego. Kiedy profesor pyta na początku lekcji: „Grałeś w domu?“, należy odpowiedzieć z pokerową twarzą: „Grałem“, mimo że ostatni kontakt z instrumentem miało się w zeszłym roku i że nie pamięta się już, ile ma on strun. Wstyd za wieloletnie, skrywane za parawanem kłamstw, lenistwo, pojawił się dopiero, gdy

pewnego jesiennego dnia pukając do sali numer dwanaście, zamiast dobrotliwego głosu pani „Grałeś-Grałem”, miałem usłyszeć chropowate, męskie „Proszę” nowego profesora. Drżałem cały, od odzianych w podziurawione trampki stóp, po sam szczyt sterczącej czupryny. Potężny jak dzwon kościelny bas, który dobiegł zza drzwi, spotęgował mój strach, a dwumetrowa, barczysta postać w orientalnej szacie, z brodą po pas, którą ujrzałem po przekroczeniu progu, sprawiła, że niemal zemdlałem z przerażenia. Przyzwyczajenie do pałętających się po szkole muzycznej z filiżankami kawy starszawych, okrągłutkich pań w okularach sprawiło, że poczułem się, jakbym balansował pomiędzy jawą a snem.

Dopiero gdy gigantyczna jak posąg bożka indyjskiego postać zapachniała intensywnie imbirem, moje wątpliwości co do realności sceny się rozwiały.

- Dzień dobry, Feliksie, nazywam się Hector Hechicero. Indywidualność artystyczna ucznia jest często owocem nieudolnie splagiatowanej sztuki uprawianej przez mistrza. Jestem tu po to, byś kradł z mojego skarbcza, co uznasz za najcenniejsze, a jeśli będziesz czynił to nie z obowiązku, lecz z pasją, z pewnością odnajdziesz swoją własną drogę.

To rzekłszy, podał mi swoją olbrzymią rękę. Jego uścisk był nieoczekiwanie tak delikatny, jakby pochwycił w dłoń najpiękniejszego motylka i nie chciał zrobić mu krzywdy. Spostrzegłem jednocześnie, że nowy profesor prześlizguje się wzrokiem po ścianach spustoszonych dawno temu przez moją poprzednią nauczycielkę, która starała się zaprowadzić

w sali porządek w stylu feng shui.

- Nie ma zegara. - Westchnął. - Ja też nie mam, a muszę uciekać równo o wpół do piątej...

- Mogę co jakiś czas wychodzić na korytarz i sprawdzać, która godzina - zaoferowałem ochoczo, wiedząc, że kolorowy zegar wisi naprzeciw drzwi naszej sali.

- Nie, nie - odrzucił moją propozycję profesor Hechicero.
- Mamy okno po dobrej stronie. Będziemy obserwować słońce.

Nie miałem odwagi popatrzeć na niego jak na szaleńca, więc pochyliłem jedynie głowę z pokorą i zacząłem cichutko wypakowywać instrument. Podczas lekcji nie uszło jednak mojej uwagi, że strofując mnie, tajemniczy profesor nie przestawał wyglądać dyskretnie przez okno. Wreszcie, po siedemnastym z kolei baczным przyjrzeniu się wielkiej gwiazdzie stwierdził:

- Jest za dwie wpół do piątej. Przepraszam cię, Feliksie, ale muszę już pędzić. Dziękuję za spotkanie.

Po raz pierwszy w życiu koniec lekcji muzyki zasmucił mnie do tego stopnia, że ze stołka ześlizgnąłem się z nieukrywanym oporem. Sprawa godziny wciąż nie dawała mi spokoju, więc nim spakowałem instrument i opuściliśmy salę dwunastą, wystrzeliłem w stronę zegara na korytarzu, by zweryfikować czas i móc w razie czego spytać profesora o sekret jego precyzji. Kolorowy zegar wskazywał godzinę szesnastą dwadzieścia osiem. Oznaczało to, że profesor Hechicero był faktycznie ekwiwalentem zegarka atomowego. Sunąc dolną szczęką po kamiennej posadzce, wróciłem do

sali, w której zdejmował z haczyka swój szeroki płaszcz.

- Zwątpieś w moje umiejętności astronomiczne, Feliksie? - Uśmiechnął się na mój widok.

Zbił mnie z tropu. To ja miałem pytać.

- W rentgena w pana oczach też, szczerze mówiąc, nie wierzyłem - szepnąłem jeszcze bardziej zaskoczony.

- Jaki tam zaraz rentgen, po prostu trochę już się żyje na tym świecie - powiedział i pogłaskał mnie po włosach (co sprawiło mi nieukrywaną radość), po czym przeprosił mnie wzrokiem i opuścił salę.

Do końca dnia pachniałem imbirem.

Geniusz Czarnoksiężnika, bo tak tłumaczy się z hiszpańskiego jego nazwisko, odsłonił się przede mną w sporej części w ciągu pierwszych spotkań. Wystarczyło, że zrobił ten numer ze słońcem, że naprawił moją strąconą nieumyślnie ze schodów wiolonczelę za pomocą zapalniczki, dziadka do orzechów i gumki do majtek i że gdy akompaniorka zaniemogła, bez problemu zagrał a vista^[2] wirtuozowską partię fortepianu w polonezie G-dur Chopina, bym zdał sobie sprawę, że mam do czynienia z najsprawniejszym umysłem wszech czasów.

Poza tą niezwykłą zdolnością do rozwiązywania zupełnie abstrakcyjnych problemów, imponująca była pamięć mojego profesora, która pozwalała mu w dowolnym momencie życia odtworzyć każdą zarejestrowaną w przeszłości informację. Wszystko, co kiedykolwiek obito się, nawet przypadkiem, o któryś z jego zmysłów, zapisywało się wyjątkowo wyraziście na niekończącej się taśmie w jego mózgu; a jego

przewaga nad zwykłym śmiertelnikiem polegała na tym, że mógł ową taśmę bez większego wysiłku wyjąć i przejrzeć tak, jak gdyby była to pamięć elektroniczna. To wyjaśniało jego biegłą znajomość nieskończonej ilości języków, niekiedy tak egzotycznych jak inuktitut czy język Indian Ajmara. I tłumaczyło, w jaki sposób, kiedy któregoś razu zapomniałem nut, on pochwyciwszy kartkę w pięciolinie oraz pióro, spisał z pamięci cały koncert wiolonczelowy Haydna na tyle dokładnie, że nawet oznaczenia dynamiczne były na właściwym miejscu. Ale i tak najbardziej spektakularnym dowodem doskonałości pamięci mojego profesora była zdolność, którą ujawnił, poprosiwszy mnie o numer telefonu. Czekałem wówczas cierpliwie, aż zorganizuje sobie ołówek i kartkę. On jednak, zamiast to uczynić, rzekł:

- Nigdy nie notuję numerów. Wystarczy, że raz powiesz, a ja już zawsze będę wiedział.

I nie skłamał - funkcjonował jak żywa książka telefoniczna. Niekiedy prosiłem go o numery do lutników, wiolonczelistów, profesorów; zawsze recytował je z pamięci, a ja zawsze dodzwaniałem się do właściwej osoby.

Ale wciąż nie omówiłem najważniejszej składowej fenomenu Czarnoksiężnika. Był on, mianowicie (jak zresztą wskazuje jego nazwisko), nie muzykiem, lecz magiem. Potarcie przez niego smyczkiem o strunę było niczym wrzucenie jakiejś cennej ingrediencji do kociołka z eliksirem na wieczne szczęście, całą zaś kawalkadę dźwięków wypływających z duszy jego instrumentu gotów byłbym przyrównać do oślepiającego blasku pojawiającego się przy

machnięciu czarodziejską różdżką. Gdy tylko dobierał się do wiolonczeli, jego powłóczysta szata trzepotała, chcąc porwać go w zaświaty, z których przybył, a hebanowa broda spływała ulegle wzdłuż podstrunnicy, czyniąc go podobnym mrocznemu księciu przestworzy. Czarował skłębione na niebie czarne chmury tak, że oddalały się niepostrzeżenie za horyzont, pozwalając słońcu zalać radością świat, czarował wystający smętnie ze swej doniczki czerwony kalistemon tak, że z nową siłą piął się aż do sufitu... czarował też swojego ucznia, który zdał sobie sprawę z rzuconego na niego uroku znacznie później.

Rozmawiał mnie w mojej drewnianej przyjaciółce, aż straciłem apetyt. Nie nastąpiło to jednak, rzecz jasna, tak od razu. Doskonale pamiętam początek przygody.

- Masz dziewczynę? - zapytał któregoś razu, niby to od niechcienia, rzucając na pulpit nuty jakiejś suity^[3].

Dodam, że byłem wtedy w piątej klasie podstawówki i właśnie zaczynałem zwracać uwagę na uroki płci pięknej, choć prędzej bym spłonął, niż przyznał się do tego komuś, nawet mojemu Mistrzowi. Byłem w tamtej chwili niemalże pewien, że Czarnoksiężnik wiedział o cherlawej blondyneczce o oczach jak dwie kule bilardowe, która stale przyciągała mój wzrok.

- Nie.

- A chciałbyś?

Czyli wiedział. Przełknąłem ślinę o konsystencji cegły.

- Więc wyobraź sobie, że grasz pod jej domem na wiolonczeli. Zaciekawiona dziewczyna odrywa się od swoich

obowiązków i podchodzi do okna, by zobaczyć, któż to taki ośmiela się poruszać najczulsze struny jej duszy w biały dzień - zachęcał, przechadzając się między ławkami. - Następnie na skrzydłach muzyki płynącej z tego oto - wskazał na moją rozgruchotaną wiolonczelę - instrumentu sfruwa prosto w twoje objęcia i życie bardzo długo i bardzo szczęśliwie. - Uśmiechnął się na koniec.

Ja też się uśmiechnąłem, ale potraktowałem wyzwanie poważnie. Otworzyłem oczy wyobraźni i stojąc, niczym młodzieniec z renesansowej piosenki *Matona mia cara*, pod oknem mojej lubej, rozpocząłem preludium. Utwór nie należał do najtrudniejszych technicznie, jednak barwa, którą się posługiwałem, nie była zanadto sugestywna, żeby uniknąć słowa szkaradna. Próbowałem podwibrować tu i ówdzie, trochę pobawić się dynamiką, trochę artykulacją, lecz brak wyczucia i wprawy sprawił, że brzmiałem jak pijany trębacz, który przez pomyłkę wziął nie swój instrument. Wcale nikt nie wpadał w moje objęcia.

- To nic - podpowiadał Czarnoksiężnik na tyle głośno, by zagłuszyć moje lamentsy i pojękiwania po zakończeniu krzywą kadencją preludium. - Teraz allemande^[4].

Nieco trudniejsze allemande przygnębiło mnie jeszcze bardziej. Czułem się jak brzydki, nieforemny amorek z poszarpanymi skrzydłami.

- Zraziłbym ją tylko do siebie takim graniem. - Westchnąłem upokorzony, kładąc smyczek na stoliku.

Nie w stylu Mistrza była taka obojętność na brutalne okaleczanie przeze mnie dzieła muzycznego. Wyczuwałem

zresztą, że wewnątrz jego ciała wszystkie organy, nabrawszy ludzkich cech, próbowały stoczyć batalię z zaciśniętymi zębami, wydostać się na zewnątrz i wykrzyknąć w moim kierunku: „Zostaw ten biedny instrument, bezlitosny draniu!”. Profesor jednak, nie pozwalając wydostać się swoim zbuntowanym organom na zewnątrz, brnął niezmiernie w głąb swojego eksperymentu.

- Owszem - potwierdził. - I co zrobić z tym fantem? Co zrobić, żeby ukochana jednak wpadła w twoje objęcia?

- Przygotuję to w domu tak perfekcyjnie, żeby ją zachwycić, żeby powalić na kolana! - Ileż było we mnie gorliwości zbudowanej perspektywą wpadającej w objęcia ukochanej; ileż było zapału!

- Właśnie tak! - ucieszył się Czarnoksiężnik, a buntownicy w jego ciele zamilkli i osunęli się łagodnie na właściwe sobie stanowiska. - Niech ta suita będzie twoim pierwszym dorosłym utworem. Przygotujesz ją zupełnie sam, wykorzystując swój dotychczasowy warsztat, zdany na własną wrażliwość muzyczną. Będę jej słuchał na każdej lekcji, ale nie usłyszysz z moich ust ani słowa. Za każdym razem sam będziesz musiał ocenić, na ile twoje wykonanie mnie usatysfakcjonowało i zdecydować, co jeszcze musisz poprawić, bym był bardziej rad podczas następnej lekcji. Tymczasem powróćmy do reszty utworów...

Odpowiedzialność za moje wykonanie była czymś zupełnie nowym, czymś, czego zdecydowanie nie zaznałem za czasów pani „Grales-Gralem”. Dotychczas mogłem szorować smykami jak marchewką po tarce, mogłem szarpać

struny, jakbym wyrywał grzyby z grzybnią, celować w nie palcem na podstrunnicy jak kret po dwóch piwach próbujący trafić z łuku w dżdżownicę, a i tak pod koniec wykonania zawsze rozlegało się to samo przeciągłe ziewnięcie, za które winę ponosiło niskie ciśnienie albo mąż, który znów przyszedł do domu w środku nocy kompletnie pijany. Grając przed Mistrzem, który zaufał mi jak dorosłemu, byłem autentycznie zestresowany: wydawało mi się, że jego posągowa twarz skrywa głębokie zniesmaczenie moim poziomem wykonawczym, że niesympatyczne stworki budzą się w jego organizmie i dźgają ostrymi widłami jego podniebienie, chcąc wydostać się na zewnątrz i że tylko przez grzeczność profesora nie dostają przyzwolenia na zorganizowanie zamachu na moje życie. Ale to właśnie perspektywa stresu motywowała mnie, by zamykać się w swojej klitce i samodzielnie poszukiwać piękna. Początkowo poszukiwania trwały tyle, co przerwa między dwiema kreskówkami na Cartoon Network, potem tyle, co cały odcinek „Johnny’ego Bravo” (kreskówki tej nie lubiłem i umyślnie ją omijałem), aż w końcu zacząłem grać tak długo, że nie miałem nawet czasu włączyć telewizora.

Efekt, jak przystało na neofitę, był raczej umiarkowany, jednak pierwszą admiratorkę mojej nowej postawy znalazłem stosunkowo wcześnie. Była nią moja mama, której życiowym celem (co wielokrotnie podkreślała) było niezduplowanie przeze mnie kariery ojca. Ojciec, paradoksalnie wcale niegłupi człowiek – co z tego, że zniewolony obsesją na punkcie telewizora – był wyrabiaczem absolutnie

jednakowych, odkąd pamiętam, glinianych figurek krasnali z fajami w zębach, symbolizujących nasze atrakcyjne turystycznie miasteczko. Matka, kobieta rodem z *Żony Modnej* Krasickiego, wołała, jak mniemam, by był nadętym biznesmenem, który po przyjeździe z pracy kupuje jej odpowiednio rozkloszowaną suknię i zabiera na bal dla VIP-ów. Wobec rażącego kontrastu między marzeniami a rzeczywistością nadzieja na wybawienie jej z otchłani nieszczęścia przerzucona została z męża na syna. Miałem zostać wielkim wiolonczelistą, drugim Rostropowiczem, który zapewni jej miejsce w pierwszym rzędzie na wszystkich koncertach w salach wyściełanych purpurą oraz stałą pozycję na okładkach gazet dla właścicieli okularów w rogowej oprawce. Obserwując, ile czasu spędzam z instrumentem, mama dedukowała, że muszę być na dobrej drodze do realizacji jej marzenia.

Drugą osobą, która zauważyła poprawę - co mnie ucieszyło znacznie bardziej - był sam Mistrz. Wbrew danemu słowu odezwał się pewnego listopadowego dnia pomiędzy dwiema częściami utworu.

- No, Feliksie, wygląda na to, że zrobiłeś kawał dobrej roboty - pochwalił mnie, a ja walczyłem z pokusą eksplodowania z dumy. - Podobało mi się, że nuty oddalone od siebie o więcej niż tercję potraktowałeś bardziej staccato, podczas gdy pochody gamowe zagrałeś zupełnie płynnie, tak jak ci to pokazałem w Bachu. Świetnie, że w chaconne^[5] nie grałeś ósemek zupełnie równo, jakby były wystukiwane przez komputer, a potraktowałeś je bardziej inégal^[6], czyli to, nad

czym pracowaliśmy przy okazji Couperina...

Była to pierwsza skierowana do mnie pochwała z ust Czarnoksiężnika, prawdziwy zaszczyt.

- Nie rozumiem jednak tego, co robisz w preludium w taktach od piątego do trzynastego i analogicznie od dwudziestego szóstego do trzydziestego czwartego. Popatrz, tu...

Zaczęło się sprowadzanie mojego wykonania na właściwe tory. Parę dni później znalazłem moje nazwisko przy drzwiach wejściowych do szkoły, pośród nazwisk uczniów wyznaczonych na koncert w domu opieki. W obliczu tego, kim byłem, a byłem typową szarą mychą nieznaną nikomu z imienia i nazwiska, bez kumpli i bez własnego zdania, gra w domu opieki graniczyła z metafizycznym przeżyciem.

Z całą pewnością nieprzypadkowo na tym samym koncerciku dla pocziwych dziadziusiów i babuń grała również wybranka mojego serca. Tu jednak muszę ukrócić romantyczność historyjki. Mojej lubej, która grała bezpośrednio przede mną, podczas gry na flecie poplątały się paluszki, natomiast po moim wykonaniu oklaski były, jak na garstkę słuchaczy, naprawdę zacne. Oczywiście dziewczynka zauważywszy, że podobałem się bardziej, zapłonęła wręcz z wściekłości, o czym nie omieszkała mnie w kilku bolesnych słowach poinformować po występie. Porażka miłosna została jednak zrekompensowana, a nawet przyćmiona przez sukces muzyczny, który zapoczątkował nowy rozdział w moim życiu. Rozdział, który - mimo że Mistrza już od dawna nie ma - jeszcze się nie zamknął.



- [1] Staccato – oddzielając; w terminologii muzycznej określenie oznaczające skracanie kolejnych dźwięków.
- [2] A vista – w terminologii muzycznej oznacza wykonanie utworu bez wcześniejszego przygotowania.
- [3] Suita – cykliczna forma muzyczna oparta na naprzemiennym następstwie tańców, szczególnie popularna w epoce baroku.
- [4] Preludium, allemande – tańce wchodzące w skład suit barokowej.
- [5] Chaconne – muzyczna forma wariacyjna wchodząca niekiedy w skład suit.
- [6] Inégal – konwencja wykonawcza rozpowszechniona od połowy XVI do XVIII w. we Francji, polegająca na realizacji zapisanych w nutach równomiernych wartości rytmicznych nierównomiernie, grając naprzemiennie wartość dłuższą i krótszą.

ROZDZIAŁ II

Ziemia obiecana

W moje dwunaste urodziny Mistrz mnie zaskoczył. Zaskakiwanie przez niego nie należało do rzadkości, toteż jeśli o tym wspominam, należy się spodziewać, że zrobił coś naprawdę niesamowitego.

Nim przejdę do rzeczy, nadmienię, że Czarnoksiężnik nie był człowiekiem wylewnym; nie wahałbym się wręcz stwierdzić, że był najpowściągliwszym z powściągliwych. Moja wiedza o nim musiała opierać się na spisywanych w granatowym kajecie obserwacjach prowadzonych od momentu, kiedy jego potężna postać wyłaniała się zza drzwi frontowych naszej szkoły, do chwili gdy ostatnia fałda jego powłóczystej szaty za tymi drzwiami znikła. Co zaś się działo po drugiej stronie drzwi, tego ani mnie, ani mojemu kajetowi, nie dane było się dowiedzieć.

Pani „Graleś-Grałem”, na przykład, należała do zupełnie odrębnej kasty - ba! - ona przebierała językiem w celu jak najdokładniejszego opisanie historii wyrostka robaczkowego u swojego syna z taką częstotliwością, iż bałem się, że jej ten jęzor nagle odpadnie i zleci na podłogę pomiędzy nami jak martwe żyjątko, powodując długą chwilę wyjątkowo niezręcznej ciszy. W ten sposób poznałem jej męża - kotlistę o szczególnie burzliwym temperamencie, który swego czasu

denerwował się na syna do tego stopnia, że walił go pałkami od kotłów prosto w łeb, ale zaprzestał praktykowania tej metody wychowawczej, kiedy syn się poważnie rozchorował. Poznałem samego syna, który dawno temu skończył technikum i miał zostać pracownikiem zaprzyjaźnionej piekarni, ale po tym, jak wycięli mu wyrostek, oznajmił rodzicom, że nie ma siły, by pracować i że niniejszym zostaje na ich utrzymaniu do czasu, kiedy poczuje się lepiej. Nauczycielka opowiadając o nim, pochlipywała cicho, ponieważ od momentu operacji minęło już jedenaście lat, a syn nadal nie poczuł się lepiej. Poznałem również wzruszającą historię jej samej: opowiadała mi o tym, jak ogromny, żeby nie powiedzieć nieludzki, nakład pracy pozwolił jej ukończyć tę samą szkołę, w której tkwiłem ja; jak przez siedem lat od chwili jej ukończenia siedziała sfrustrowana na grzędzie, bo żadna uczelnia w państwie jej nie zechciała; jak dyrektor szkoły wskutek nagłego kryzysu w klasie wiolonczeli zaproponował jej stanowisko nauczycielki; i jak szczęśliwe jest teraz życie pani profesor od muzyki. Zawsze po zakończeniu tej rzewnej historii głębokim westchnięciem częstowała mnie sezamkiem w czekoladzie w kształcie trefla i mówiła: „Teraz zjedz za zdrowie naszego wspaniałego pana dyrektora”.

Mistrz nigdy mnie niczym nie częstował, nie wzdychał i nie zwierzał się, komu jest wdzięczny i za co. Był jak wspaniała forteca ogrodzona wielkim, żelaznym murem, przy czym jego osobiste odczucia i emocje znajdowały się w najlepiej strzeżonych zakątkach twierdzy. Dlatego kiedy

w ów okryty szronem styczniowy dzień moich urodzin zobaczyłem, że przymierza się do życzeń, byłem niemało zaskoczony.

- Dziś jeszcze nie mam dla ciebie prezentu, Feliksie, ale dokładnie za sześć lat, w twoje osiemnaste urodziny chciałbym zabrać cię w moje strony, do Katalonii. Poznasz moją rodzinę, dowiesz się o drodze, przez którą przeszedłem, o tym, gdzie szukać prawdziwego szczęścia, a gdzie na pewno się go nie odnajdzie. Odkryjesz, jak wiele nas łączy.

O mały włos nie wypuściłem z rąk mojego instrumentu. Mistrz wypowiedział te słowa zupełnie niefrasobliwie, odwrócony w stronę okna, jakby mówił, że właśnie spadł śnieg albo że kto to widział jaskółki o tej porze roku. Dla mnie to był przełom. Punkt zwrotny w moim życiu. Oto Czarnoksiężnik, wielki człowiek enigma, mój znakomity przywódca zamierzał się przede mną - właśnie przede mną, nie przed żadnym innym spośród dziesiątek swoich uczniów - odsłonić. Ośmielił się nawet stwierdzić, że łączy nas coś więcej niż fakt, że obaj stąpamy po tym świecie pełnym tajemnic. Marzenie o wędrownicy barcelońską promenadą ramię w ramię z najmądrzejszym człowiekiem świata stało się dla mnie z dnia na dzień jedyną wizją przyszłości.

Nie dziwcie się, moje ówczesne życie było od stóp do głów zabarwione szarością. Rodzice nie prowadzili ze mną dialogów, nigdy nie pomyśleli, by sprawić mi niespodziankę, żeby za coś pochwalić, za coś zganić - po prostu byłem dodatkową gębą do wyżywienia; kolegów, jak już wspomniałem, nie miałem, bo nie wymyślałem paszkwili na

nauczycieli, nie przeklinałem i od czasów przedszkola chodziłem w tym samym T-shircie; a nauczyciele każdorazowo patrząc w dziennik, dziwili się, że istnieję. Tylko te dwa w tygodniu spotkania z Mistrzem nadawały mojej osobie kolorów, sprawiały, że stawałem się żywym człowiekiem, z osobowością, pragnieniami i marzeniami. Jeden Czarnoksiężnik zwracał się do mnie po imieniu i było to dla mnie tak zaskakujące, że zawsze, wracając z lekcji wiolonczeli do domu, powtarzałem sobie na głos: „Feliksie, Feliksie, Fe-lik-sie”, próbując się przyzwyczaić, że moje imię przyjmuje poza postacią mianownika, której używałem, gdy się przedstawiałem, postać wołacza. Jedynie on, król Salomon naszych czasów, czuł wewnętrzną potrzebę, by pomóc mi odnaleźć busolę mojego przyszłego życia i wyściełać jego drogę umiejętnością z krwi i kości.

Podjąłem fatalną decyzję: postanowiłem zamordować czas, by słowa wypowiedziane przez Czarnoksiężnika ziściły się jak najszybciej. A jakiej innej broni mogłem do tego morderstwa użyć, by nie doprowadzić jednocześnie do zmiany jego decyzji, niż ćwiczenia na wiolonczeli? Przez następne lata piłowałem non stop, z nieznacznymi przerwami na spanie i jedzenie, narażając tym samym naszą rodzinę na nienawiść mieszkańców całego miasteczka (włącznie z księżmi, którym zdarzało się nawet wplatać apel o umiar w grze na instrumencie w sam środek ogłoszeń duszpasterskich). Ćwicząc, zapadałem w stan hipnozy: moje ręce działały mechanicznie, duch zaś odpływał daleko, daleko na Południe, gdzie podczas wieczornych przechadzek

z Mistrzem spijałem łakomie każde święte słowo spływające z jego ust, ba – starałem się nie uronić nawet maleńkich znaków interpunkcyjnych ginących w mroku nocy. Przez tyle lat absolutnego poświęcenia się wiolonczeli znacząco pogorszyły się moje relacje ze światem zewnętrznym. Przede wszystkim zubożyły moje zmysły: nie zauważałem zmian termicznych związanych z następstwem pór roku (co umożliwiało mi długie godziny ćwiczenia w nieogrzewanym pomieszczeniu w samym środku zimy), przestałem odczuwać głód, nauczyłem się spać w pozycji siedząco-wiolonczelowej i nawet kiedy sąsiedzi w ramach partyzantki uruchamiali na „hej!” najgłośniejsze pracujące wiertarki, jakie mieli w domu, ja nie słyszałem nic poza dźwiękiem mojej wiolonczeli. Przestałem też reagować na ludzi – zaniechałem rejestrowania ich twarzy i imion, a język wciśnięty w głąb jamy ustnej stał się ciężki, ciastowaty i wkrótce zdechł śmiercią naturalną, co jest rzeczą typową dla nieużywanych organów.

Wobec takiej ilości czasu spędzanego przy instrumencie co najmniej dziwne byłoby, gdyby szczyt Parnasu nie znalazł się na wyciągnięcie mojej chłopięcej ręki. Wkrótce stałem się najlepszym nastoletnim wiolonczelistą w szkole, w mieście, w kraju... Byłem nieustannym triumfotorem na konkursach, znienawidzonym przez konkurentów za każdorazowo pierwszą nagrodę i twarz tak beczelnie obojętną, jakbym miał wszystkie te starcia młodocianych wirtuozów głęboko gdzieś. Takie właśnie, jak sugerowała moja mina, były moje odczucia: nagrody, sukcesy, siwi panowie w krawatach

potrząsający energicznie moją ręką, wróżąc świetlaną przyszłość; to wszystko działo się gdzieś obok i nie interesowało mnie zbyt. Była to tylko formalność, dzięki której Mistrz utwierdzał się w przekonaniu, że naprawdę na wyjazd zasłużyłem.

I wtem, na pół roku przed upragnionymi urodzinami, kiedy miało być już z górki i kiedy zamiast odliczania lat mogłem już odliczać miesiące, po powrocie z wakacji szkoła przywitała mnie następującą wiadomością:

- Twój profesor wrócił do rodzinnego miasta, Barcelony, gdzie objął prestiżowe stanowisko wiolonczelisty w orkiestrze Gran Teatre del Liceu^[1]. Nie będzie cię już uczył. Twoim nowym nauczycielem gry na wiolonczeli będzie...

Prędkość, z jaką uciekłem z tej świątyni bluźnierstwa, bliska była prędkości światła. Pędziłem jak wariat, potykając się nawet o źdźbła trawy, a powietrze huczało mi niesympatycznie w uszach. Pojedyncze słowa: „prestiżowe”, „nowym”, „wrócił” - łupały boleśnie gdzieś w niezidentyfikowanym bliżej zakątku mojej czaszki, z każdym krokiem stając się coraz bardziej uciążliwe. Dopiero gdy znalazłem się na jakimś stromym pagórku, daleko za miastem, poczułem silne rwanie w nogach, chłód w gardle i spływający z czoła pot. Uczucie zmęczenia, jak również wszystkie inne sygnały, które usilnie próbowało mi przekazać od pięciu lat moje własne ciało, dotychczas ignorowane, tego dnia eksplodowały.

A więc również i on: mój wielki, wspaniały pan Mądrość,

który zawsze pytał, jak się miewa moja roślinka i niepokoił się, czemu na moim ulubionym T-shircie pojawiła się nowa dziura, należał do owego okrutnego świata ludzi bez uczuć, sprowadzających wszystko do tego, by obudzić się nazajutrz. I on gnał bez wytchnienia w pogoni za karierą, nie oglądając się do tyłu na wyposzczonych z miłości, zagubionych pośród konsumpcjonistycznego społeczeństwa Feliksów. I w jego przypadku głos mojego spragnionego poezji serca nie znalazł oddźwięku. Zostałem sam.

Kiedy trochę otrzeźwiałem, zwróciłem szkole wiolonczelę, nuty, metronom, pulpit oraz salę dwunastą. Z ekwipunku wiolonczelisty został mi tylko wygrany w ogólnopolskim konkursie mistrzowsko wykonany smyczek, który – jak już zresztą wspomniałem – sprzedałem później za grosze pierwszej lepszej osobie (geograficznie narzekającej od lat na brak porządnego wskaźnika). Nie muszę chyba opisywać stanu, w jaki zapadłem, poniósłszy porażkę, która kosztowała mnie pięć najpiękniejszych lat życia. Po tym ciosie zupełnie straciłem świadomość, błąkałem się po mieście niczym czyścowa dusza, wpadałem notorycznie na przechodniów i na słupy telegraficzne, a moje poczucie wartości własnej egzystencji porównywalne było z takowym poczuciem u tasiemca bąblowcowego.

Ocknąłem się po niespełna dwóch miesiącach. Dalej jak kukła, jak nakręcony robot snułem się po ulicach od momentu pierwszego przejazdu mleczarza aż do chwili, gdy z ciemnych zaułków zaczynały wylegać podejrzane typki z fajkami w zębach, z tą jedną różnicą, że dopuściłem do

głosu mocno we mnie zakorzeniony optymizm. Ten charakterystyczny dla mnie sposób myślenia doprowadził mnie do wniosku, że Mistrz był jednak zbyt dobry i szlachetny, by porzucić mnie dla pieniędzy i że po prostu zniknął na chwilę, by załatwić arcyważną czarnoksięską sprawę figurującą pod bezpiecznym hasłem „posada wiolonczelisty w Gran Teatre del Liceu”, ale o obietnicy pamięta i wróci w dniu mojego wkroczenia w pełnoletniość, by zabrać mnie ze sobą do Barcelony. Z tą radosną wizją zabrałem się do roboty. Mama doigrała się: zacząłem pomagać ojcu w pracy wyrabiacza glinianych figurek dziadów i ich fajek. Ranek w ranek, ramię w ramię ruszaliśmy do warsztatu (który w rzeczywistości był rozpadającą się przy każdym gwałtownym ruchu szopą na tyłach domku dziadków), aby wydłubywać z babrzącej się gliny odbite jak od matrycy ludki. Z początku byłem piątym kołem u wozu – ojciec strofował mnie, że moje krasnale mają za tłuste brzuchy, przez co marnuje się glina, i że traktując kolorem fragment kamizelki, który ostatecznie będzie przysłonięty ręką, zużywam niepotrzebnie farbę. Finalnie pojąłem, że kluczem do sukcesu jest maksymalna oszczędność środków przy minimalnym wykorzystaniu inwencji twórczej, i tym samym zasłużyłem na miano godnego spadkobiercy rodzinnej tradycji.

Niemniej praca ta przyprawiała mnie o coraz więcej poziewań, poszerzających się nieuchronnie z tygodnia na tydzień.

- Tato, czy ciebie to nie nudzi? – spytałem, stawiając

w kolejce do pieca któregoś skrzata z rzędu. – Czy nie moglibyśmy zmienić im na przykład koloru kamizelki albo dołożyć brodę, albo wąsy, albo nawet i pieprzyk pod uchem, żeby tylko urozmaicić jakoś tę nudną i żmudną pracę?

– Synek, my nie jesteśmy artyści, my jesteśmy rzemieślnicy – odpowiedział ojciec, wrzucając do pieca kolejną porcję sobowtórów, a widząc moje rozczerowanie, dodał: – Robiąc wciąż to samo, mamy przynajmniej pewność, że nam wyjdzie. No, a poza tym oszczędzamy i mamy mniej roboty.

Zawsze po powrocie do domu, jak zaszczepił mi to ojciec, oglądaliśmy mecz. Darliśmy się wniebogłosy po każdym голу, a następnie wskakiwaliśmy pod pierzyny, nie mówiąc sobie nawet dobranoc.

Mimo iż pozornie może się wydawać, że zatopiony po sam czubek głowy w skrajnym nihilizmie zapomniałem o obietnicy, rana nie zagoiła się ani trochę. Przeciwnie, bezmyślność, w której ugrzęzłem, wzmacniała moje pragnienie powrotu do barwnego życia, do życia z Czarnoksiężnikiem w roli głównej. Niecierpliwiłem się, czekałem, aż przybędzie, niczym Odyseusz powracający po dziesięciu latach do swej Itaki. Obojętnie czym: pociągiem, odrzutowcem, dorożką; mógł nawet spaść z nieba. Wzniuchałbym zapach imbiru, gdziekolwiek bym się znajdował i przebrawszy się w najlepsze ubranie, wystrzeliłbym jak z procy powitać go w naszym mieście. Uścisnęlibyśmy się jak bracia, on powiedziałby: „Nie wracaj już do domu, jeszcze dziś musimy zdążyć do Barcelony”, a ja poprosiłbym, żeby pozwolił mi

ostatni raz pożegnać rodziców, warsztat z niekończącymi się figurkami staruszków i ich fajek, i ruszylibym z Mistrzem, zostawiając w niepamięci cały ten spowity szarością świat.

Wychodziłem nawet czasem na peron, przykucałem pod murkiem i obserwowałem godzinami nudnych i powtarzalnych ludzi – niemogące się od siebie odkleić zakochane pary, prowadzone przez wnuczków za rękę kruchutkie babcie, pędzących do pociągu bardzo ważnych panów z teczuszkami – usiłując dostrzec wybijającą się z tłumu o pół metra głowę mojego profesora. Codziennie zaglądałem do skrzynki, odsłuchiwałem po kilka razy pocztę głosową, próbując wśród chrzęstów i szelestów niewprawnych nadawców wiadomości usłyszeć jego niski, przyjemny głos.

Mój Mistrz nie mógł nie przyjechać, takiej wersji w ogóle nie brałem pod uwagę w całej mojej siedemnastoletniej ufności. Wiedział przecież wszystko. Musiał wiedzieć, jak bardzo go kocham i jak wielką, niewybaczalną krzywdę wyrządziłby mi, nie wracając.

[1] Gran Teatre del Liceu – teatr operowy mieszczący się w Barcelonie przy ulicy Les Rambles. Budynek spłonął dwukrotnie, w latach 1861 i 1994.

ROZDZIAŁ III

Uboczny skutek Dnia Niewiniątek

W stanie gorliwego wyczekiwania zdążyły upłynąć cztery długie miesiące, nim z nieba posypała się kasza, nim za oknami zaczęły wyrastać tłuste, nieforemne bałwany, nim przez nasz komin wskoczył jeszcze tłustszy i jeszcze bardziej nieforemny Mikołaj, i wreszcie: nim nadszedł pamiętny sylwester, który rozstrzygnął całą sprawę.

Sylwestrowe noce bardzo długo spędzałem, chadzając z rodzicami na zabawy do mieszkających po sąsiedzku państwa Wściubinosów. Pani Wściubinosowa przewinęła się w dzieciństwie przez naszą szkołę muzyczną (rocznik pani „Grales-Gralem”) i ta przygoda wyryła trwały ślad na jej psychice: żadna z organizowanych przez nią imprez nie mogła odbyć się bez odśpiewania rozpisanych na głosy hitów operowych. Tym sposobem rokrocznie zmuszony byłem stawać pośrodku rozspiewanej zgrai i kaleczyć wspólnie z ciocią Lodzią partię sopranu, co przyprawiało mnie o katusze żołądkowe, bo ciocia, która specjalnie pochylała się, by patrzeć w nuty z mojej wysokości, śmierdziało z ust rybą w autorskim sosie Wściubinosów. Po odśpiewanym ansambli każdorazowo lądowałem w toalecie, więc kiedy tylko skończyłem dziesięć lat, zabarykadowałem szczelnie mój pokój, by dać tym samym kres moim kończącym się klęską

wyprawom do rozśpiewanych Wściubinosów. Od tamtej pory noce sylwestrowe traktowałem na równi z tymi trzystoma sześćdziesięcioma czterema nocami w roku, kiedy to po prostu zmawia się paciorek i włazi pod pierzynę.

Nie potraktowałbym inaczej również sylwestra w owym wypełnionym oczekiwaniem na Mistrza roku, gdyby nie to, że około kwadransa po północy, kiedy właśnie zabierałem się za pałaszowanie przepysznego kurczaka, z radia dobiegł moich uszu komunikat następującej treści:

- Wiadomość z ostatniej chwili. Ogień po raz kolejny zaatakował teatr miejski Gran Teatre del Liceu w Barcelonie. W pierwszej minucie Nowego Roku, zaraz po tym, jak publiczność wyczekująca dźwięków inicjujących wielki seans oper Rossiniego pod tytułem *Nowy Rok z Rossinim* wykrzyknęła zgodnym chórem: *Próspero Año Nuevo!*^[1], scena za sprawą zawalanej dekoracji zamieniła się w pogorzelnisko. Wszystko wskazuje na to, że ważąca ponad tonę konstrukcja imitująca zamek, która była przymocowana u góry, została wcześniej rozmyślnie podpalona. Po ściśle wyliczonym przez podpalacza czasie zarwała się i runęła na przednią część sceny, a następnie osunęła się do kanału dla orkiestry. Wewnątrz jednak - to prawdziwy cud - nie znajdował się żaden z instrumentalistów, gdyż przedziwnym trafem tego samego dnia zaginęły wszystkie klucze do drzwi wejściowych do kanału. Problem drzwi nie tylko uniemożliwił muzykom zajęcie swoich stanowisk, lecz także utrudnił strażakom dostanie się do środka, toteż nim podjęli oni akcję, ogień zdążył strawić część sceny oraz cały kanał dla

orkiestry. Brak ofiar śmiertelnych. Dyrektor teatru zapewnia, że straty są na tyle niewielkie, by jeszcze pod koniec stycznia możliwe było ponowne otwarcie teatru. Podpalacz nie został zidentyfikowany, trwa śledztwo.

Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek Nowy Rok został zainaugurowany w tak zgoła abstrakcyjny sposób. Wydarzenia w Barcelonie transmitowane na wszystkich możliwych stacjach zdobyły szturmem cały świat, przyćmiewając bezlitośnie próby obchodów 1 stycznia. Ostatnie fajerwerki nieśmiało opadły z nieba, ostatnie wycia Wściubinosów: „Figaro! Figaro? Figaro...” rozplynęły się gdzieś w mrokach nocy. Gran Teatre del Liceu w ekspresowym tempie stał się tematem numer jeden dla całego świata. Druzgocący widok przypominającej gigantyczną pochodnię sceny zdominował stacje radiowe i telewizyjne, a spekulacjom kto, co i po co – nie było końca. Wywiadów udzielali wszyscy możliwi barcelończycy: rozemocjonowani instrumentalisci, zrozpaczony dyrektor teatru, portierzy, obsługa techniczna, a także naoczni świadkowie wydarzenia (pośród których znalazł się podstarzały fan opery wymachujący pięściami i krzyczący, że zapłacił tyle pieniędzy, a zamiast *Cyrulika Sewilskiego* usłyszał tylko jakieś skwierczenie ognia).

Ciekaw, co tak naprawdę wydarzyło się w miejscu, które pół roku wcześniej skradło mi mojego kochanego profesora, rozlokowałem się naprzeciw telewizora. Na przypadkowo wybranym kanale dwaj muzycy z orkiestry relacjonowali zawiłą historię, która rozpoczęła się już 28 grudnia,

w Dzień Niewiniątek:

- [...] tamtego dnia nasz dyrygent, Eleuterio Pentagrama, miał straszne muchy w nosie. Muszę powiedzieć, że marudził zupełnie bezpodstawnie, bo różne wpadki nam się w przeszłości zdarzały, ale akurat *Nowy Rok z Rossinim* był wypracowany po prostu fenomenalnie (nie zaprzeczaj, Basilio, bo to idzie na antenę!). Tak między nami mówiąc, proszę pani, to przede wszystkim ze względu na mnogość hojnych sponsorów imprezy tak fenomenalnie nam szło. Zniesmaczony wysoce Pentagrama powiedział jednak w przyływie gniewu, że o ile trzysta lat temu Bach, przyrównując grę fagocisty w Arnstadt do beczenia kozy, obraził fagocistę, o tyle on musiałby obrazić kozę, gdyby chciał użyć podobnego porównania w odniesieniu do naszego fagocisty, Claudia Coquetóna. Cholerny burak. Żeby pani widziała to jego czerwone, ociekające potem czoło! I ten tandetny sygnet, który nosi na wskazującym palcu! (Bądźże cicho, Basilio, toż ja właśnie mam nadzieję, że on siedzi teraz przed telewizorem! Może wreszcie się dowie, co mamy na jego temat do powiedzenia!) W przyływie furii zapowiedział, że 31 grudnia, w dzień, a właściwie w przeddzień wielkiego seansu oper spodziewa się nas nie o dwudziestej trzeciej, jak było umówione, ale o jedenastej rano. Rozumie pani? O jedenastej rano! Mieliśmy wałkować Rossiniego sami, bez śpiewaków, od rana aż do późnej nocy, by tylko sprawić, że *Nowy Rok z Rossinim* uczyni tę noc najwspanialszą nocą w życiu publiczności. Cholerny buc i tyran! Coś sobie wymyślił! Cały ten cyrk, który miał być tylko po to, żeby

jakaś banda rzygających pieniędzmi elegancików dobrze się bawiła, zrujnował nam plany na spędzenie wolnego dnia! Dwudziestego ósmego próba skończyła się późnym wieczorem, więc spora część orkiestry (bez skrzypków, którzy musieli, jak zwykle, poćwiczyć i tubistów, którym się, jak zwykle, nie chciało) poszła do naszej ulubionej przyportowej knajpy Neptuno, gdzie podają najlepsze węgorki na świecie. Musi pani tam kiedyś zajrzeć (co nie, Basilio?). Tam wieszaliśmy psy na Eleuteriu Pentagramie aż do świtu. Proszę nas nie zrozumieć źle, po prostu muzyków się zawsze traktowało gorzej niż pomywaczy i sytuacja wcale nie chce się polepszyć, a wręcz się pogarsza! Nie wiadomo skąd, przypałętuje się taki Pentagrama i myśli sobie, że jest Bóg wie kim, że ma armię sługusów, że mu wszystko wolno, bo macha sobie tym dziadowskim kijkiem w tę i we w tę! My chcieliśmy chociaż część ostatniego dnia roku spędzić jak cywilizowani ludzie – tańcząc na patio spleceni ze swoimi żonami i kupując dzieciakom confetti oraz zimne ognie. Skazani zostaliśmy natomiast na całodniowe wysłuchiwanie obelg zgorzkniałego starca. On nie ma ani dzieci, którym mógłby kupić confetti i zimne ognie, ani żony, z którą mógłby tańczyć, ani nawet, pewnie, patio. 31 grudnia, idąc rankiem do teatru, byliśmy wściekli jak osy. Ku naszemu zdumieniu, na zamkniętych drzwiach do kanału orkiestrowego wisiało okazałych rozmiarów ogłoszenie, którego treść brzmiała wręcz kuriozalnie, biorąc pod uwagę, że autorem miał być ten bufon: „*Inocente, inocente! Lleva la carga y no la siente!*” [2]. Nabrałem was, moi mili muzycy! Żałujcie, żeście nie

widzieli waszych rozzłoszczonych min! Oczywiście Rossini jest na bardzo wysokim poziomie i nie ma potrzeby marnować tak wyjątkowego dnia na kolejną próbę. Zapraszam Was dzisiaj, jak było wcześniej umówione, to znaczy dopiero na dwudziestą trzecią. Pozdrawiam serdecznie - Eleuterio Pentagrama". Na widok tego ogłoszenia większość muzyków roześmiała się serdecznie, przypominając sobie, że dzień, w którym Pentagrama wściekły jak diabli nakazał nam przyjść do pracy tak wcześnie, był Dniem Niewiniątek. Drzwi, jak wspomniałem, były zamknięte, a słynącego z punktualności dyrygenta nikt nie widział, więc nie wahaliśmy się, by stadami odbijać w stronę domów, głosząc dobrą nowinę napotkanym spóźniającym kolegom. Tylko oboista, Gabriel Sacacorchos, któremu dojazd z Palafrugell zajmuje aż dwie godziny, nie uznał wybryku naszego dyrygenta za uroczy i poprzysiągł sobie, że jeżeli jeszcze kiedyś zobaczy Eleuteria Pentagramę, przyłoży mu swoim instrumentem tak mocno, że trzeba będzie zbierać zęby dyrygenta z czary dźwiękowej oboju, a na razie chrzani to wszystko i nieprędko jego noga postanie w Liceu. Przed dwudziestą trzecią rześmy i wypoczęci ponownie stawiliśmy się w teatrze. Dyrygenta jednak wciąż nie było. Na domiar złego, na jaw wyszło, że wszystkie klucze do kanału orkiestrowego zaginęły w niewyjaśnionych okolicznościach. Portier przysięgał, że był świadkiem, jak tego samego dnia, w okolicach jedenastej dyrygent Pentagrama przyszedł osobiście i wziął wszystkie klucze do kanału, jakie były na składzie, po czym wszedł tam

robić próbę z jakimiś muzykami. „Jak to, Pentagrama był tu o jedenastej? Jak to z muzykami?” – pytaliśmy zdziwieni, wiedząc, że przed południem dyrygenta nie było, a wszyscy muzycy, przeczytawszy treść ogłoszenia, zawrócili do domu. „Z jakimi znowuż muzykami?” Portier wił się jedynie rozpaczliwie na swoim krzeselku, mówiąc, że on nie pamięta, co to byli za muzycy, że nie zwrócił uwagi, bo w radiu akurat leciała jego ulubiona audycja. Przeliczyliśmy naszą tłoczącą się w hallu grupę. Brakowało jedynie oboisty, Gabriela Sacacorcho, który wspominał coś, że pieprzy to wszystko i że prędko go w Liceu nie zobaczymy, oraz tego nowego wiolonczelisty, Hectora Hechicero, który wciąż uciekał od nas pod byle pretekstem, bo zawsze miał coś arcyważnego do załatwienia. Nie rozumieliśmy zatem, jacy to muzycy mogli towarzyszyć dyrygentowi przed południem. Nasze zdenerwowanie rosło wraz z upływem czasu. Byliśmy przecież współodpowiedzialni za widowisko, za które teatrowi zapłacono chyba więcej niż za wszystkie przedstawienia operowe w minionym roku razem wzięte, a ani klucza, ani dyrygenta wciąż nie było. Próbowaliśmy wydusić z zestresowanego portiera jakiegokolwiek informacji, ale zdołaliśmy się jedynie dowiedzieć, że „Dyrygent, dając głowę, przyszedł właśnie o jedenastej... a nie, jednak może to było po jedenastej... tak to było dokładnie kwadrans po jedenastej, wtedy kiedy zaczęła się moja ulubiona audycja radiowa o bezpańskich zwierzętach w Republice Zielonego Przylądka! I zdecydowanie pan Pentagrama od tamtego czasu budynku nie opuścił. No czy wy, państwo, myślicie, że

ja jestem niepoważnym człowiekiem i nie widzę, kto wchodzi, a kto wychodzi? Jestem porządnym portierem, szanowanym obywatelem i mówię, co widziałem: wszedł i nie wyszedł, a ci muzycy, którzy tu z nim krążyli, też już potem nie wychodzili...”. Kiedy zakończyliśmy to nasze nędzne przesłuchanie, do północy pozostał już tylko kwadrans. Wiedzieliśmy, że zgromadzona licznie publiczność (do której zaliczali się wspomniani już hojni sponsorzy kontrolujący, czy ilość ich forsy okaże się być wprost proporcjonalną do jakości naszej gry) już czeka, aż zaczniemy się stroić. Śpiewacy zapewne też byli już w pogotowiu, nie domyślając się nawet, jakie piekiełko rozgrywało się pod nimi. Podjęliśmy więc szybką decyzję: dyrygować (bez względu na to, czy Pentagrama faktycznie był w Liceu o jedenastej z jakimiś muzykami, czy też ich tam nie było, i czy opuścił budynek, czy też chował się przed nami gdzieś w ciemnych zakamarkach teatru) miał koncertmistrz, Esteban Yunque. To, nawiasem mówiąc, strasznie nie spodobało się wicekoncertmistrzyni, Lucrecii Envidii i jej stronnictwu, ale wie pani, skrzypkowie to są ludzie ulepieni z troszkę innej gliny i oni nie byliby sobą, gdyby nie osnuwali jakichś idiotycznych konfliktów na kanwie swojego samouwielbienia. Nim jednak w ogóle mogliśmy zacząć rozprawiać o dyrygowaniu, musieliśmy dostać się do kanału orkiestrowego. W tym celu rozpierzchliśmy się w popłochu, angażując wszystkich możliwych pracowników teatru w poszukiwania klucza. I powiem pani szczerze, gdyby nie to, że armie Estebana i Lucrecii skorzystały z chwili

nieuwagi, by stoczyć ze sobą batalię w garderobie Estebana, i gdyby nie to, że tubiści byli śmiertelnie obrażeni na fagocistę Claudio Coquetóna, do którego uśmiechnęła się piękna, lecz osłonięta nimbem tajemniczości waltornistka Karin Ledsen, udałoby nam się coś zdziałać z tym kluczem. Cholerne dęte i cholerne smyczki. Widzi pani, ja i mój kolega Basilio (no, pokaż się, Basilio, o tobie mowa!) jesteśmy kotliści, kotliści z powołania, kotliści z krwi i kości, kotliści z duszą kotlisty, i my, i nasi koledzy kotliści nigdy, podkreślam, nigdy w takie bójki się nie wdajemy. O nie, nie to, co tamto tałatajstwo (prawda, Basilio?). Przez tych pajaców i przez te ich harce nie usłyszeliśmy huku, nie poczuliśmy dymu, nie zobaczyliśmy ognia i dopiero pędząca w kierunku kanału ekipa strażacka zawiadomiła nas, że miejsce, w które szczęśliwie się nie dostaliśmy, stało w płomieniach... Wstyd o tym mówić, ale o godzinie dwunastej, kiedy zasadniczo powinniśmy już rozpocząć uwerturę do *Cyrulika*, a wobec zaistniałej sytuacji przynajmniej stać przy drzwiach do kanału i pozorować zainteresowanie perypetiami zaginionego klucza i zaginionego dyrygenta; Esteban, Lucrecia i ich dzielni pobratymcy cały czas byli w garderobie i wrywali sobie wzajemnie włosy z głowy. Chyba nawet jeszcze tam są. Kurczę, wypadałoby ich poinformować, że teatr spłonął, no nie? Przepraszam panią bardzo, pójdę do garderoby Estebana, by im to powiedzieć, (idziesz ze mną, Basilio?).

*

Mimo całego tragizmu sytuacji historia przedstawiona przez kotlistę była bardziej groteskowa niż przerażająca, a w swej abstrakcyjności bardziej trącała tanim kryminałem aniżeli perypetiami elity kulturalnej Barcelony, toteż mimo woli parsknąłem śmiechem. Chichrałem się ze sporu Estebana i Lucrecii jeszcze przez parę minut, reanimując jednocześnie mojego upadłego na podłogę kurczaka; gdy nieoczekiwanie do pionu sprowadził mnie poważny, grobowy wręcz głos blondwłosej dziennikarki:

- Wbrew wcześniejszym relacjom w kanale orkiestrowym miejskiego teatru Gran Teatre del Liceu, w momencie gdy do środka dostał się ogień, znajdowały się dwie osoby. Obie straciły życie. Ekipa strażacka znalazła pośród szczątków pulpity i instrumentów dwa zwęglone całkowicie ciała, które prawdopodobnie są pozostałością po dyrygencie Pentagramie i wiolonczeliście Hechicero.

Było to w przeddzień moich osiemnastych urodzin.

[1] *Próspero Año Nuevo* - pomyślnego Nowego Roku.

[2] *Inocente, inocente! Lleva la carga y no la siente!* - Niewiniątko, niewiniątko! Dźwiga ciężar i nic nie czuje! (porzekadło związane z Dniem Niewiniątek).

ROZDZIAŁ IV

Wszystkie drogi prowadzą do Liceu

W okamgnieniu dotarło do mnie, że moje jedyne marzenie wcale się nie spełni. Że nigdy nie przekroczę granic Barcelony ramię w ramię z Czarnoksiężnikiem, że nigdy nie będę spacerował u jego boku promenadą, spijając spływające z jego ust mądrości i że dożywotnio zamknięty będę w warsztacie z glinianymi figurkami dziadków i ich fajek.

Obserwując na ekranie armię zaambarasowanych policjantów, strażaków, reporterów i dziennikarzy, spośród których każdy miał swoją, nie mniej od innych mrozącą krew w żyłach wersję tego, co wydarzyło się w Gran Teatre del Liceu, poczułem głęboką odrazę dla bezczeszczenia przez nich tematu tak dla mnie ważkiego. Niektóre wersje prezentowane przez tych Sherlocków Holmesów od siedmiu boleści nadawałyby się, gdyby nie tragizm sytuacji, do programu *Śmiechu warte*; ktoś na przykład pokusił się o teorię, że jeden z ministrów siedzących w pierwszym rządzie był tak pochłonięty towarzystwem znanej modelki, że wrzucił do kanału orkiestrowego niedopałek papierosa (który widziany przez wielki monokl dyrektora teatru wydał się reszcie widowni gigantycznym meteorytem). To ci dowcipniś! Zrozumiałem, że siedząc dalej przed telewizorem, nie poznam prawdziwej przyczyny wyjazdu i śmierci mojego

Mistrza i że do końca moich dni będę zdany na słowa wyszczerzonych w uśmiechu dziennikarek, które interesował on tyle, co zeszłoroczny śnieg. Moją pierwszorzędną potrzebą stało się wywleczenie na zewnątrz mrocznych perypetii Gran Teatre del Liceu osobiście.

- Mamo, tato, wyjeżdżam do Hiszpanii na czas bliżej nieokreślony - oznajmiłem rodzicom pierwszego dnia nowego roku przy kolacji. Moje oczy były spuchnięte od płaczu.

Rodzice zastygli z kawałkami naleśników w połowie drogi do ust. Bardziej chyba z braku pomysłu na sensowną odpowiedź niż z zatroskania o dalsze losy niezbyt rozgarniętego osiemnastolatka, którego odchowali pod własnym dachem. Gdzież jest ta słynna Hiszpania? Ojciec zaczął gorączkowo przetrząsać swój atlas *Samochodem po Afryce*, który zakupił swego czasu na bazarze, na wypadek gdyby w przyszłości dorobił się samochodu. W końcu zdesperowany brakiem Hiszpanii na mapie drogowej Libii oddał mi wspaniałomyślnie atlas, mówiąc, że mi się na pewno bardziej przyda. Podróż do Katalonii musiała pachnieć rodzicom co najmniej podróżą na Marsa. W końcu ich najdalsza wyprawa w życiu - nad Morze Bałtyckie, zakończyła się katastrofą, gdyż w połowie drogi zorientowali się, że zostawili jedną z walizek w pekaesie.

- Synu... - Udawanie troski nie było najmocniejszą stroną mojej mamy. - Och, synu...

Odmówiłem jednak jakichkolwiek tłumaczeń. Nie chciałem sprawiać biedakom przykrości, zdradzając, że obca

mi w zasadzie osoba była niepomrotnie bliższa mojemu sercu niż oni sami.

Tymczasem mama kontynuowała:

- Synu, tam kręcą *Pocałunek Rosalii...* - wyszeptała. - Wiesz, ten mój serial. Tam, właśnie w tej samej Hiszpanii, do której jedziesz, synu, w dokładnie tej samej. Myślisz, że mógłbyś... dla mnie... jakiś... jakiś autograf pięknej Rosalii? Albo chociaż...

- Mamo, przywiozę ci autograf pięknej Rosalii - obiecałem patetycznie, wiedząc, że ostatnią osobą, której będę szukał w Barcelonie, będzie piękna Rosalia. Następnie, dziękując rodzicom za wspólny posiłek, wstałem od stołu i pożegnałem się z nimi już po raz ostatni.

Zerwałem się w środku nocy. Wrzuciłem niechlujnie do porwanej torby podróżnej cały mój ziemski dobytek; to znaczy ulubioną zgniłozieloną koszulkę i jej siostrę bliźniaczkę w kolorze lapis-lazuli; komplet gumek myszek, który mama kupiła mi w pierwszej klasie podstawówki na czarną godzinę; zestaw książek o Harrym Potterze; atlas *Samochodem po Afryce* od taty; oraz pocztówkę z Zakopanego od koleżanki z klasy (którą jednak ostatecznie wyjąłem, bo przypomniałem sobie, że *Harry Potter* ma jeszcze siódmą część) - po czym rozdygotany z emocji, wyruszyłem w świat.

Pięć lat wyciętych z tego okresu życia, kiedy człowiek najintensywniej rozwija się społecznie, sprawiło, że nie umiałem załatwić najprostszych spraw, takich jak kupienie biletu w kiosku czy zapytanie przechodnia o najbliższą drogę

do Miejskiego Muzeum Wykałaczek i Wykałaczarstwa. Samodzielna podróż na drugi koniec Europy nie miała szans nie być najeżoną różnorakimi wpadkami, spośród których najgorsza okazała się brzemienne w skutki.

Mianowicie, gdy przed południem wyklęty i wytrąbiony przez wszystkie napotkane żywe stworzenia znalazłem się na lotnisku w Barcelonie; sprawdzając, ile wspólnego ma wózek na bagaże z hulajnogą, zaliczyłem zderzenie czołowe z kobietą w jeszcze posylwestrowym przebraniu Kolombiny. Przerażliwy huk wprowadził w półminutowe osłupienie całą halę przylotów. Wyprostowawszy przepastną suknię sprasowaną przez koła wózka, poturbowana, ze łzami w oczach, już miała zwymyślać mnie od najgorszych, kiedy po szybkiej analizie mojej aparycji uznała, że mogę jej się jeszcze na coś przydać.

- Dobrze, przebaczę ci, chłopcze - zwróciła się do mnie lodowatą angielszczyzną - jeżeli tylko poniesiesz mi rąbek mojej sukni aż do przystanku autobusowego. Moja wspaniała kreacja naprawdę nie zasługuje na takie traktowanie!

Dziękując niebiosom za zesłanie mi pod koła wózka żywego systemu GPS, ująłem w dłonie fragment jedwabiu, po czym, niczym Tezeusz wiedziony nicią Ariadny, powlokłem się za kroczącą z dostojeństwem Kolombiną na przystanek.

- Mogę spytać, dokąd zmierzasz, chłopcze? - zapytała po dotarciu, kiedy zaczynałem udawać, że intensywnie studiuję rozkład jazdy.

Nie znałem jeszcze celu mojej drogi, więc milczałem. Tymczasem nadjechał autobus.

- To pojedziesz ze mną na uniwersytet - zawyrokowała

nowo poznana, wpychając mnie dziarskim ruchem do środka.
- Ktoś musi mi przecież pomóc z tymi bambetłami. -
W ramiona wskoczyła mi raptem torba podróżna prezentująca się przy mojej jak kobieta Rubensa przy anorektyczce, a ja poczułem, że coraz mniej lubię nową znajomą.

Tym właśnie sposobem znalazłem się w pędzącym niczym ferrari california autobusie, ściskając w jednej ręce zafundowany przez Kolombinę bilet z napisem: „Universitat de Barcelona”, w drugiej zaś wypchaną po brzegi torbę podróżną, której nie wolno mi było postawić na podłodze pod groźbą zostania kopniętym w kostkę. Byłem pewien, że w rozkręconym radiu, którego z napięciem słuchał szalony kierowca i wszyscy skupieni wokół niego pasażerowie, mowa była o wydarzeniach z nocy sylwestrowej. Chciałem nawet spytać moją towarzyszkę, która wydawała się znać hiszpański, co nowego wiadomo w tej sprawie, ale jej ekspansywność w połączeniu z o wiele za głośnym pociąganiem nosem dawały niezwykle upierdliwą mieszankę, przez co marzyłem wprost o chwilowym wcieleniu się w męża pani „Grales-Gralem” i poszczuciu jej pałką do kotłów.

Żeby wyzwolić się z przylegającej do mnie powoli roli Arlekina (a przy okazji tragarza), musiałem zadziałać bezwzględnie: zwałem na oślep, porzucając Kolombinę, rąbek jej sukni oraz wielgachną torbę, kiedy tylko z gardła znarowionego kierowcy dobyło się chrapliwe: „Universitat!”. Upojony wyczekiwaną od tak dawna wolnością, wykonałem

potrójnego pirueta na środku ulicy Carrer dels Tallers. Zaraz po tym nagłym przyplywie euforii, z mojego brzucha dobyło się burczenie mogące śmiało konkurować z warkotem wiertarki używanej przez jednego z mężczyzn instalujących jakąś kolorową dekorację i całe szczęście, że w pobliżu stała budka skrywająca multum pysznych, słodkich buł, dokładnie takich samych, jakie od paru godzin wirowały mi kusząco przed oczami. Na daszku widniał kolorowy szyld Churreria, a pod daszkiem stał drobny facecik o oczach niemowlęcia, który zdawał się błagać mnie wzrokiem, bym tylko zahaczył o ten jego sklepik. Dla mnie ten sprzedawca mógłby mieć nawet wzrok bazyliuszka, a i tak już po chwili stałbym nad tym skarbcem łakoci, przebierając lubieżnie palcami w celu dokonania jak najwłaściwszego wyboru. Kupiony i spożyty naprędce w towarzystwie rozmownego sprzedawcy rogalik zasmakował mi tak bardzo, że poprosiłem jeszcze o siedem, by mieć zapas pożywienia na najbliższe dni. Sklepikarz chyba spodziewał się, że następne siedem również mam zamiar spożyć na miejscu, bo po chwili namysłu wyrzucił z siebie:

- Media to dopiero uczują po tym całym pożarze! - Ku mojemu zdumieniu okazał się zupełnie nieźle władać angielskim. - Sieją ferment i tylko kasę na sensacji zgarniają! A nie trzyma się kupy to, co tam gadają, oj, zupełnie się nie trzyma! Jedne stacje podają, że rankiem 31 grudnia popsuł się ten mechanizm odsłaniający i zasłaniający kanał dla orkiestry, wie pan, tak że kanał był cały czas przysłonięty ruchomym sufitem. I podobno żaden z fachowców nie mógł

go odblokować, bo do tego trzeba było znać hasło, które zostało uprzednio przez kogoś zmienione. Przedziwnym trafem dokładnie o północy, kiedy na widowni rozległo się zbiorowe: *Próspero Año Nuevo!*, ruchomy sufit odsunął się sam, bez hasła, odsłaniając miejsce, w którym powinna znajdować się orkiestra. Nim, rzecz jasna, ktokolwiek spośród publiczności zdążył zorientować się, że tej orkiestry jednak tam nie ma, wielka konstrukcja imitująca zamek, która miała zostać łagodnie spuszczone w dół wraz z pierwszymi dźwiękami uwertury, zerwała się, płonąc żywym ogniem i wpadła do kanału przez ten otwór, nad którego odsłonięciem przez cały dzień pracowała ekipa. Mówią – ściszył głos – że któryś spośród tych fachowców od samego początku wiedział, jak usprawnić mechanizm, ale czekał, by zsynchronizować swój manewr z upadkiem tej felernej konstrukcji. Mówią – zbliżył swoją twarz do mojej – że ów intruz zatroszczył się o przysłonięcie kanału od góry po to, by dwaj muzycy zamknięci w środku nie mogli się wydostać albo wzywać pomocy. Mówią – mogłem już policzyć złote plomby w jego siekaczach – że dyrygent i wiolonczelista zostali brutalnie zamordowani w kanale orkiestrowym na wiele godzin przed wybuchem pożaru! Ale proszę czekać, proszę czekać! Inna stacja uparcie trąbi, że grafolodzy, którzy przebadali treść tej karteczki obracającej próbę od jedenastej w żart, tej niby to zawieszanej przez dyrygenta, stwierdzili, że nie tylko nie została ona napisana przez Pentagramę, ale styl pisma wskazuje, iż jej autorem był właśnie wiolonczelista, Hector Hechicero. A przecież po co

ten Hechicero miałby maczać palce w zamachu na swoje życie, hę? Niespójne, czyż nie?

Sprzedawca zrobił swoje: zasłuchany w opowieść pochłaniałem już trzeciego rogalika. Informacja, że to najprawdopodobniej było morderstwo, przygwoździła mnie do ziemi niczym ogromne kowadło.

- Coś pan wie... jeszcze?

- Ach, proszę pana, ja tylko cytuję, bo wiedzieć, to tak naprawdę nikt nic nie wie! - obruszył się sprzedawca, przecierając szmatą blacik. - W dzisiejszych czasach mediom nie można ufać, o nie! Chociaż kiedyś wcale nie było lepiej... Wie pan, sam lata temu pracowałem w Liceu i wtedy też wybuchł wielki pożar, większy, och, o wiele większy niż ten teraz! To był styczeń dziewięćdziesiątego czwartego roku... Wie pan, zmieszali z błotem połowę pracowników, zszargali reputację dziesiątkom przyzwoitych ludzi... wszystko, byle tylko wzniecić sensację... Mediom nie można ufać!

Dziękując dozgonnie właścicielowi Churrerii za zbawienny posiłek, zarzuciłem na ramię moje manatki i pognałem dalej ulicą Carrer dels Tallers. Po drodze zorientowałem się, że za drugą, siedmiorogalikową porcję zapomniałem zapłacić ekscentrycznemu sklepikarzowi, przejęty zwyczajnie natłokiem wydarzeń. Wstyd się przyznać, ale nie zawróciłem, by wręczyć mu należną kwotę, zadecydował o tym przede wszystkim fakt, że miałem bardzo mało pieniędzy i żadnych pomysłów na zarobek. Po podjęciu tej mało chlubnej decyzji czmychnąłem w Les Rambles i przyspieszyłem znacząco kroku, nie mogąc pozbyć się

wrażenia, że zaledwie parę metrów za mną biegnie rozjuszony sprzedawca z wielkim, zakrzywionym nożem, krzycząc: „Bandita! Bandita!”, a jego oczy już nie są wielkimi oczami niemowlęcia, ale wielkimi, przekrwionymi oczami mordercy.

I gdy tak przemierzałem słynną Ramblę, moją uwagę nagle przykuł niecodzienny gąszcz ludzi zebranych w półokręgu. Pomyślałem, że to forma obchodów jakiegoś tutejszego święta i że pośrodku tłumu zastanę dzikiego byka ujarzmianego przez mężnego torreadora, toteż podszedłem bliżej ciekaw tych atrakcji o lokalnym kolorycie. Wewnątrz zbiorowiska jednak, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, nie było byka, ale horda zziających policjantów oraz reporterów, którym wywiadu udzielał dokładnie ten sam mężczyzna, który jeszcze poprzedniego dnia pieklił się, że zapłacił tyle pieniędzy za *Nowy Rok z Rossinim*, a usłyszał tylko skwierczenie ognia. Nie ulegało wątpliwości, że stałem naprzeciwko Gran Teatre del Liceu.

Nie przyszedł Mahomet do góry, przyszła góra do Mahometa. Niewielki, przypominający trochę pudełko bombonierek budynek powitał mnie serdecznie, uśmiechając się całą bielą swoich trzech okien zdobiących główną fasadę i puszczając szelmowsko oko z zegara umiejscowionego na półkolistym frontonie; zupełnie, jakby chciał zataić przede mną istnienie trawiącego go od wewnątrz problemu. Klepiąc przyjaźnie leżącą obok torbę podróżną i powtarzając z szerokim uśmiechem: „Watsonie, jesteśmy na miejscu!”, postanowiłem nie ruszać się stamtąd, dopóki w pobliżu nie

zjawi się jakiś muzyk (potencjalny przyjaciel Czarnoksiężnika), który wyjaśniłby mi wszystko od początku do końca. Moje serce łomotało z ekscytacji, oto bowiem znalazłem się w najdogodniejszym miejscu, by prawda o Mistrzu osaczyła mnie sama. Ta jednak wyraźnie się ku temu nie kwapiła, gdyż po czterech godzinach sterczenia, bez żadnych zmian klepałem moją torbę, mówiąc zachrypniętym już głosem: „Watsonie, jesteśmy na miejscu!”. Kiedy wreszcie słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, zupełnie już wyżęty z energii sięgnąłem ręką po jedyną doczesną przyjemność, jaka mi pozostała – ostatni kradziony rogalik. Jak to mawiają, chytry dwa razy traci. Plecak, co odkryłem ze zgrozą, został rozcięty od dołu przez jakiegoś niecnego złodziejaszka, a cała jego zawartość wyskoczyła zeń w jego rękę, przepadając dla mnie na zawsze! Zacząłem, blady z przejęcia, przeczesywać chodnik w promieniu dziesięciu metrów. Niestety nic z tego: rzeczy umożliwiające mi przetrwanie w najbliższych dniach zostały bezwzględnie uprowadzone. Całe szczęście, że moja dziurawa torba podróżna (znana również pod pseudonimem Watson) z dwoma już tylko tomami *Harry'ego Pottera* pozostała nietknięta. W chwili gdy ogołocoony z gotówki pożegnałem się z wizją odkrywania prawdy o Mistrzu, oparty nonszalancko o drzewo mężczyzna w szarym prochowcu, który od dłuższego czasu musiał przyglądać się mojej miotaniu, zagadnął mnie basem profundo:

- Les Rambles to prawdziwy magnes dla kieszonkowców, amigo! Trzeba się mieć na baczności. Najbezpieczniej

zawsze przytrzymywać ręką plecak albo nosić pieniądze w saszetce na biodrach.

Miał rysy platynowego pana z telewizora i na pewno nie był jednym z wyczekiwanych przeze mnie muzyków.

- Właśnie straciłem wszystko - zwierzyłem się mężczyźnie. - O żadnym nowym plecaku ani saszetce na biodra nie mam co marzyć. W tej chwili nie mam ani grosza na przetrwanie.

- Co robisz w Barcelonie? - Wskazał na mój paszport z wizerunkiem orła białego, który właśnie przyciskałem z ulgą do piersi.

- Ten teatr - kiwnąłem głową na budynek Gran Teatre del Liceu - zabrał mi człowieka, którego kochałem. Nie zdążyłem się dowiedzieć, czy i on był do mnie przywiązany i czy zamierzał wrócić do mnie, do Polski, żeby spełnić dane mi przyrzeczenie. Niektórzy mówią, że go zamordowano. Przyjechałem tu po to, by poznać prawdę.

Wycięta z czasopisma mody męskiej twarz mężczyzny rozciągnęła się nieznacznie w wąskim uśmiechu.

- Jeżeli jest, jak mówisz, to doprawdy niebawie szczęście, że na siebie trafiliśmy, amigo, bo tak się składa, że mogę zarówno dopomóc ci dźwignąć się na nogi, jak i stworzyć dogodne warunki do przeczesania niedostępnych zwykłemu śmiertelnikowi zakamarków Gran Teatre del Liceu. Nazywam się Aureliano Nimentiroso, ale nazywają mnie Charonem, wkrótce, jak sądzę, zorientujesz się dlaczego. Jestem przedstawicielem tajnego stowarzyszenia filantropów, którego zadaniem jest łowienie na ulicach

Barcelony takich - zawiesił wzrok na dosyć pokaźnych rozmiarów dziurze w moim swetrze od babci Milki - jak ty i zapewnianie im porządnego wsparcia materialnego, mieszkania o wysokim standardzie i zgodnej z ich preferencjami pracy. Sieć posad, którymi dysponujemy, wsparta jest na nieograniczonych wpływach naszego szefa, Diógenesza Ganzúi, wśród barcelońskich dygnitarzy, dlatego gdybyś zgodził się do nas dołączyć, zostałaby ci natychmiastowo zapewniona zgodna z twoimi najśmielszymi marzeniami praca, włączając w to: technika, portiera, sprzątacza, perkusistę, trębacza, a nawet dyrygenta w Gran Teatre del Liceu.

Pracować w Liceu, choćby i jako sprzątacza - to brzmiało jak bajka! Już zacząłem wyobrażać sobie, jak przecieram najlepiej ukryte szlaki teatru z mopem jako moim detektywistycznym orężem i natykam się na ślady butów człowieka, który zmył mojego Mistrza z powierzchni ziemi!

Po chwili w zupełnej ciszy, przerywanej jedynie pacnięciami w bruk ostatnich już książek o przygodach Harry'ego Pottera wypadających z mojej strupiałej torby, dreptałem za mężczyzną, którego zwali Charonem wzdłuż niekończącej się Rambli dels Caputxins. Ku mojemu zdumieniu zatrzymał się on przed witryną salonu kosmetycznego, nad którą wisiał szyld opatrzony napisem: „Salon piękności Mesdames Aliciente” i przyozdobiony wizerunkiem nieprzyzwoicie urodziwej dziewczyny. Ciut zażenowany, że mój stan wizualny wywarł na nowo poznanym aż tak silne wrażenie, wgramoliłem się za nim do

środku. Moje marzenia o byciu wyfroterowanym przez piękność z szyldu przysły - w głębi, tonącego w kudłach i pudełkach po preparatach, nieprzyjaznego pomieszczenia siedziała bowiem żelazna baba z wymalowanymi precyzyjnie półkolistymi brwiami nadającymi jej twarzy wyraz absolutystycznego monarchy.

- Brwi, tak syneczku? Brwi? - zaszcebiotała niepasującym do jej wielorybiej fizys sopranem koloraturowym. - Oj, doprawdy, szpecą cię te krzaczory, syneczku, szpecą! Już idę po pęsetę i zrobimy z nimi porządek...

- Dziś wyjątkowo podziękujemy, madame Valerio. - Na szczęście Aureliano Nimentiroso powstrzymał zbliżającą się z narzędziem przypominającym dziadka do orzechów tłustą babę. - Dziś chcielibyśmy tylko skorzystać z toalety.

Kobieta osunęła się ciężko na taboret, chlipnęła, a jej makijaż długą strugą skapnął na podłogę.

- Znowu to samo. Toaleta i toaleta, i toaleta. Czy wie pan - zwróciła się do mnie, kiedy ze zdumieniem spostrzegłem, że mimo iż kosmetyczka cały czas posługiwała się językiem hiszpańskim, ani przez chwilę nie przestawałem jej rozumieć - że już od dwóch dekad niemal wszyscy mężczyźni, którzy przekroczyli próg mojego salonu, chcieli jedynie skorzystać z toalety? Szalet tu otworzę, daje słowo, szalet, nie salon urody!

Faktycznie, ludzi, którzy pogardzili ofertą madame Valerii, musiało być znacznie więcej, gdyż czarnych kałuż - pozostałości po makijażu właścicielki - było w pomieszczeniu

zatrząsienie. Ciekaw, co sprowadza barcelończyków, a przy okazji nas, w mury toalety męskiej tego wątpliwej jakości zakładu kosmetycznego, posłusznie przekroczyłem próg drzwi sygnowanych sylwetką mężczyzny w ślad za moim przewodnikiem. Zmuszony byłem zaprotestować dopiero, kiedy zaczął iść w kierunku zdradzającym zamiar wejścia do tej samej kabiny co ja.

- Nie bój żaby. - Wepchnął mnie do najobszerniej wyglądającej ubikacji, skutkiem czego znalazłem się oko w oko z drewnianym, zasikany sedesem. - Tu jest wejście do siedziby szefa. Wspominałem przecież, że stowarzyszenie jest ściśle tajne.

To rzekłszy, dołączył do mnie i przeprowadził seans rozmaitych zabiegów na spłuczce, będących specyficznymi, z uwagi na warunki, odpowiednikami kodów wejściowych. Gdy po raz ostatni przetoczył spłuczkę z lewej strony na prawą, ściana wraz z powierzchnią, na której staliśmy, obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Zrozumiałem wówczas, dlaczego nazywali mojego towarzysza Charonem. Wprowadził mnie bowiem do świata diametralnie odmiennego od tego, w którym się przed chwilą znajdowaliśmy; świata, gdzie zamykające prostokątne pomieszczenie perystazy zwieńczone łukami arkadowymi podpierał położony wiele metrów nad mozaikową posadzką sufit; świata, gdzie karłowate drzewa rozsadzone były dokoła na wzór gaju oliwnego; świata, gdzie ustawione w rzędzie popiersia starożytnych mędrców przyglądały się badawczo obserwatorowi, przyprawiając go o wrażenie (mącone

jedynie obecnością drewnianego sedesu, który na waleta przebył z nami tę przeprawę), że oto znalazł się on w krainie nad Morzem Egejskim dwa i pół tysiąca lat wcześniej. Zachwycony powlokłem się za Charonem w kierunku łukowych drzwi, w które ten stuknął trzykrotnie, uprzedzając mnie, że człowiek, który zaraz nam otworzy, to znaczy szef, jest chorobliwie uzależniony od czosnku.

Wnętrze ciasnego, już wcale nie starogreckiego, i przy okazji śmierdzącego do niemożliwości czosnkiem pokoiku obnażył przed nami tonący w morzu papierzyśk, zasuszony staruszek wyglądający jak Święty Mikołaj po zaostrzonej diecie. A więc to tak wyglądają i pachną szefowie ściśle tajnych stowarzyszeń filantropijnych, pomyślałem, łykając z przestrawieniem ślinę.

- Zdziwiony, co mogą skrywać barcelońskie toalety, he? - Rzucił mi uśmiezek psychopaty, a ja postarałem się nie krzywić na zapach czosnku wydzielany przez całe jego ciało. - Od dziś twoją własnością będzie jedno z naszych mieszkań (przytulna kłitka przy Carrer de Lancaster z pełnym wyposażeniem), a twoją sąsiadką zza ściany będzie przeurocza señora Paulina, która odpowiednio ugłaskana przygotuje ci owsiankę z otrębami o każdej porze dnia. Dodatkowo, jako że mam wyjątkowo dobre stosunki z możnowładnymi tego świata, przysługuje ci od teraz prawo wyboru zgodnej z twoimi najśmielszymi marzeniami pracy. Oczywiście nie musisz śpieszyć się z decyzją...

Nie zamierzałem jednak zwlekać, szczególnie, że odpowiedź na to pytanie miałem gotową już od godziny:

- Chciałbym być portierem w Gran Teatre del Liceu - wypaliłem.

Diogenesowi wyraźnie przypadły do gustu moje słowa.

- Cóż za traf, cóż za traf! - wykrzyknął radośnie, chapiąc ukradkiem cebulkę czosnku. - Akurat jeden z tamtejszych portierów został zwolniony z pracy po ostatnim pożarze i pilnie poszukują kogoś na to stanowisko! Dołożę wszelkich starań, byś mógł rozpocząć pracę już 28 stycznia, w momencie ponownego otwarcia teatru. Tymczasem przekazuję ci... tu... pieniądze na życie i... o... klucz do mieszkania... pamiętaj: Carrer de Lancaster. I podpisz mi jeszcze, proszę, taki... tutaj... papierek...

Filantrop niezgrabnym ruchem wyłowił pierwszą lepszą karteluchę ze sterty, która wypełniała całe pomieszczenie, napisał na niej pośpiesznie kilka zdań, a następnie przekazał mi ją, prosząc o złożenie parafki. Nim jednak zdążyłem sobie przypomnieć, co to jest parafka, moją uwagę przykuł napisany przez niego tekst. Znałem już doskonale ten wspaniały, strzelisty, jak gdyby przekalkowany z listu romantycznego poety do oddalonej o setki mil ukochanej, charakter pisma. W sali dwunastej była nim wypisana informacja przyklejona do doniczki kwiatka, który Mistrz przywiózł z Hiszpanii: „*Callistemon genofluvialis*. Proszę nie podlewać - kwiatem opiekuje się H. Hechicero”. Tym samym stylem pisma wypisywane były moje programy egzaminacyjne, opinie dotyczące wykonania poszczególnych utworów, oraz karteczki: „H. Hechicero od 20 X do 27 X nieobecny z powodu choroby”. Nie wiedzieć czemu, ten

mikrusowaty starzec posługiwał się charakterem pisma mojego profesora! Błyskawicznie przypomniały mi się słowa właściciela Churrerii: „[...] podają, że grafolodzy, którzy przebadali treść tej karteczki obracającej próbę od jedenastej w żart, tej niby to zawieszanej przez dyrygenta, stwierdzili, że nie tylko nie została ona napisana przez Pentagramę, lecz także styl pisma wskazuje, że jej autorem był właśnie wiolonczelista Hector Hechicero. A przecież po co ten Hechicero miałby maczać palce w zamachu na swoje życie? [...]” i w mig dotarło do mnie, że podpisywałem właśnie umowę z człowiekiem, który przyłożył rękę, a nawet rękę uzbrojoną w długopis, do śmierci mojego Czarnoksiężnika!

Po tym najdłuższym i najbogatszym we wrażenia dniu mojego życia mój policzek bliski już był ostatecznemu zanurzeniu się w białej toni nowej, miękkiej poduszki, kiedy nagle przypomniał mi się drobny pan z Churrerii, jego pocziwe oczy niemowlęcia, chaotycznie opowiedziane nowinki i przepyszne rogaliki, za które wciąż nie zapłaciłem. Na zewnątrz nie było już ani w połowie tak znośnie pod względem temperatury, jak to miało miejsce dziesięć godzin wcześniej, szczególnie kiedy było się w mechatej pizamie w zajączki produkcji babci Milki. Amatorów romantycznych kolacji w tawernach ów styczniowy chłodek, który po pięciu minutach zaowocował drobnym opadem śniegu nie przegnał jednak z Les Rambles, podobnie jak nie przegnał pędzącego z dwoma banknotami w dłoni świeżo upieczonego portiera. Było już bardzo późno i Churreria miała pełne prawo zniknąć

z ulicy przygniecionej tłumem nocnych szaleńców, ale mimo to pełen nadziei skręciłem w Carrer dels Tallers. Błyskawicznie wyłoniłem spośród blasków świateł latarnianych znajomą parę oczu i bez słowa podałem jej właścicielowi dwa niebieskie banknoty. Powiedział, że był pewny, że wrócę. Że mam na twarzy wypisaną uczciwość.

Miałem już zniknąć z powrotem w mroku ulicy, kiedy sprzedawca zupełnie nieoczekiwanie podał mi starannie opakowane zawiniątko.

- Pewna wiolonczelistka z orkiestry Gran Teatre del Liceu przyniosła mi to przed godziną, prosząc, bym oddał zgubę wymizerowanemu chłopcu, który chodzi w porwanym swetrze i nie umie mówić po hiszpańsku.

Zaskoczony szczegółowością tego (niezbyt łechcącego moją próżność) rysopisu rozerwałem pośpiesznie papier. Wewnątrz znajdowało się siedem zagubionych podczas podróży tomów *Harry'ego Pottera*. Przypomnę, że pierwszy z nich wypadł mi z torby na lotnisku w Barcelonie, ostatni zaś przed wejściem do salonu piękności Mesdames Aliciente.

ROZDZIAŁ V

Upiór w portierce

Władze Gran Teatre del Liceu nie potrzebowały dużo czasu, by otrząsnąć się ze wspomnień o minionej niedawno gehennie i ponownie otworzyć swe wrota dla rozentuzjasmowanych fanów opery. Zupełnie przy okazji wrota te otworem stanęły również dla pseudowoźnego Mario Lombriza, który pod powłóczystym, starczym swetrem skrywał swoją ulubioną, zgniłozieloną koszulkę i spod którego doczepionych wąsów przebierała gładka skóra kupidyna.

Jednostajny rytm pracy portiera z godną podziwu precyzją wkomponował się w moje stateczne usposobienie. Siedząc tak co drugi dzień i co drugą noc na swoim portierskim taboreciku zarówno Mario, jak i Feliks posiadli niemało unikatowych umiejętności: nauczyli się dotykać językiem nosa, klikać palcami lewą ręką, manewrować długopisową batutą, tak, by sterować stadami much robacznic oraz trząść coca-colą na tyle silnie, że w końcu eksplodował korek (niestety, ostatni pomysł był o tyle chybiony, że zaowocował długotrwałym konfliktem ze sprzątającą panią Rosalią). Największą jednak korzyścią z nowej pracy była możliwość nieograniczonego wypatrywania wspomnianej przez właściciela Churrerii

wiolonczelistki, która, jak dedukowałem, towarzyszyła mi podczas całej mojej długiej i pełnej przygód przeprawy przez Barcelonę.

Już w momencie, gdy sklepikarz zdradził, że kobieta znała moje imię, ogarnęło mnie przeświadczenie, iż łączy nas jakaś szczególna więź, a priorytetem, który zepchnął tymczasowo śledztwo w sprawie pożaru na dalszy plan, stało się jej odnalezienie. Poszukiwanie przeszło wkrótce w obsesję; ta balansująca na granicy istnienia i nieistnienia postać, przywoływana podczas majaczeń sennych wszystkimi możliwymi imionami i objawiająca się chwilowo w twarzach przypadkowych przechodniów, nie pozwalała mi spokojnie spać, tym bardziej że wyniki obserwacji, które poczyniłem, wypytując wchodzące do teatru artystki o to, czy przypadkiem nie grają na wiolonczeli, były druzgocące. Nie dość, że żadna z pań nie przyznała się do gry na tym instrumencie, to wśród muzyków noszących na plecach futerały w kształcie wiolonczeli wszyscy byli zdecydowanie płci męskiej!

Jedyną wiolonczelistką w Gran Teatre del Liceu zdawała się miniaturowa rzeźba znaleziona w najniższej szufladzie portierskiego biurka, toteż niemało zaniepokojony wkrótce ponownie odwiedziłem Churrerię.

- Dziesięć rogalików poproszę - rzuciłem nonszalancko, chcąc zademonstrować poprawę mojego statusu materialnego, po czym dodałem: - Niepokoję się. Już od trzech tygodni spędzam w Gran Teatre del Liceu dni i noce, i oczywiste jest, że w tej orkiestrze na wiolonczeli grają sami

mężczyźni...

- A ja, proszę pana... - Uśmiechnął się niezbity z tropu sprzedawca, przekazując mi owinięty w błękitną folię pakiet ciastek. - Ja sprzedaję słodkości w tym samym miejscu od dziewiętnastu lat. Robię to specjalnie dla biednych pracowników położonego nieopodal teatru, którzy umordowani po próbach bądź koncertach są zawsze nieludzko głodni. Wszystkim im daję moje smakołyki za darmo, rozumie pan, z potrzeby serca, przez szacunek dla ich pracy. Znam dzięki temu każdego muzyka zatrudnionego w Gran Teatre del Liceu, między innymi tę wiolonczelistkę, która przyniosła tu pańskie książki. Proszę mi zaufać, ja naprawdę wiem, co mówię.

Chciałem wyrazić przypuszczenie, że tajemnicza kobieta może być osobą niezwiązaną z teatrem, podszywającą się jedynie pod wiolonczelistkę z Gran Teatre del Liceu celem pałaszowania za darmo ciastek z Churrerii, ale siedem złotych plomb zdobiących górne siekacze znowu znalazło się niebezpiecznie blisko mojej twarzy.

- Trudno się dziwić, że nie zwrócił pan na nią uwagi - kontynuował sklepikarz, nie zwracając uwagi na moje zmieszanie. - Bo to kobieta wybitnie niewpadająca w oko przedstawicielowi rodzaju męskiego: drobna, krótkowłosa i bez makijażu. Jeden tylko szczegół jej wyglądu silnie zwraca uwagę. Jej tęczówki mają kolor identyczny awenturynom w kształcie gołębi, które co najmniej od kilkunastu lat nosi w uszach... - Skupił nagle wzrok na znalezionej w portierskiej szufladzie figurce, którą nosiłem

od tamtej pory jako brelok. – Ciekawa sprawa... Czy pan wie, że to, co ma pan doczepione do plecaka, to jest właśnie awenturyn? Nieczęsty minerał. Odmiana kwarcu. Szlachetny. Wiem to, bo mój brat przyjaźnił się swego czasu z Rómulem Escultorem, pomyłeńcem, który jako nastolatek zakochał się na zabój w zieleni, jako młodzieniec wmówił sobie, że zielen jest jego żoną, zaś jako dojrzały mężczyzna oddał się z szaleńczą pasją rzeźbie w awenturynie. Dzieła Rómula prawie nigdy nie opuszczały warsztatu, stąd moje zdziwienie posiadaniem przez pana tej figurki. W każdym razie z tej nietypowej barwy oczu, korespondującej z drogimi, jedynymi w swoim rodzaju kolczykami, pańska wiolonczelistka słynie w całej Ciutat Vella i po tych atrybutach rozpozna ją pan, choćby był środek nocy i dzieliła ją od pana odległość kilkunastu metrów.

Obróciłem w palcach wykonaną z awenturynu przez Rómula Escultora wiolonczelistkę, po czym powróciłem dziarskim krokiem na mój portierski taborecik, czujny odtąd na każdy przebłysk zieleni w pobliżu. Byłem pewien, że namierzenie kobiety, która mnie śledziła i która znała moje imię, to już tylko kwestia czasu. Jednak tej samej nocy, nocy niespokojnej, przesiekanej obficie piorunami i łupnięciami strumieni deszczu o bruk, sprawa nieoczekiwanie skomplikowała się jeszcze bardziej...

Zaczęło się od tego, że w okolicach północy, z wkładania pionowo ustawionych wykałaczek między powieki w celu zapobiegnięcia ich mrużeniu, wyrwał mnie przeszywający krzyk stróżującego po przeciwległej stronie budynku

Amadora Lechuzy. Ze sterczącą paradnie z górnej powieki wykałaczką ruszyłem dziarsko w jego kierunku.

- *Fantasma, Fantasma*^[1]!!! - Wychwyciłem spośród spazmów i lamentowań, będąc w połowie drogi.

Mrożący krew w żyłach wydźwięk słowa sprawił, że tchnięty zapobiegliwością błyskawicznie zawróciłem na moje stanowisko i zabrałem ze sobą rysz tunek w postaci klucza do pomieszczenia 105B, charakteryzującego się ostrzem zdolnym przebić nawet skórę słonia. Gdy wreszcie gardło długiego, wprowadzonego w drganie przez pisk kolegi, korytarza wypluło mnie tuż obok stanowiska Amadora, dostrzegłem stróża jednego z największych teatrów operowych na świecie zwiniętego w kłębek pod stołem.

- Moja Gabriela... Moja Gabriela mnie znowu nawiedza... Czy i ty ją widzisz, Mario? - zaskomlał.

Przypomniała mi się podróżująca po całym teatrze pogłoska, że Amador był niezastąpiony na nocnej zmianie, ponieważ - odkąd w wieku trzydziestu pięciu lat zobaczył w nocy ducha Gabrieli Vengador, która przez miłość do niego rzuciła się pod koła tramwaju - cierpiał na bezsenność. Wraz z nadejściem każdej nocy zaczynały atakować go obawy, że nieoczekiwanie przez gęstwinę sennych fantazji przedrze się posągowej postury osiemnastolatka o kruczoczarnych lokach, by wypomnieć mu, że to przez niego skończyła pod kołami tramwaju, i z tego powodu najzwyczajniej w świecie oduczył się zasypiania.

Wyjąłem wykałaczkę z górnej powieki lewego oka, żeby móc uczynić moje ślepie zmysłem zupełnie wiarygodnym.

Faktycznie, tuż przed drzwiami wejściowymi Gran Teatre del Liceu, w nikłym świetle latarni, rysował się kontur długowłosej, hożej dziewczyny.

- Widzę, Amadorze. Jeżeli to faktycznie zjawia, zapal po prostu światło, a ona zniknie - powiedziałem obojętnie, nie podejrzewając nawet, że duch ukochanej skapcaniałego portiera mógłby mieć cokolwiek wspólnego z wiolonczeliską o awenturynowych oczach, bądź z pożarem 1 stycznia. - Na duchy to zawsze działa.

Skotłowany pod stołem Amador pacnął po omacku wystający ze ściany przycisk, który nieszczęśliwie okazał się guzikiem odpowiadającym za włączenie alarmu przeciwpożarowego. Przekląłem w duchu jego mięczakostwo i uporawszy się z brzęczeniem alarmu, sam zapaliłem światło.

Zapewne czytając teraz opis mojego zachwyty, u którego podstaw legła nieziemski uroda istoty z naprzeciwna, oskarżycie mnie o bycie takim samym tanim amantem z rubasznie podkreślonym wąsem, od jakich roilo się w hiszpańskiej telenoweli mojej mamy. Może to porównanie nie byłoby zupełnie chybione, gdyż faktycznie cierpię na nadmierną wrażliwość na uroki płci pięknej, jednakże pozwolę sobie zburzyć nasuwający się obraz mojej miłości: od trzydziestu lat jestem w związku małżeńskim z wynoszonym na piedestał obiektem mojej fascynacji. Jej monumentalna, niczym solidna kolumna, postać rozświetlała mroki burzliwej nocy, otoczona gąszczem kruczoczarnych, nieskończenie długich splotów. Wyglądała jak potężny sopel

ściekającego z chmury karmelu, otulony zastygniętą czekoladą, jak lilia pośród wód, jak księżyc widniejący w samym sercu czarnego nieba. Pociągła twarz naznaczona parą okolonych mocno zarysowanymi brwiami węglistych klejnotów zdradzała szlachetne wyrafinowanie, a z koralowych ust rozciągniętych w trzpiotowatym półuśmiechu wypływała przebiegłość, jakiej dotąd nie znałem. Jakże smuciła mnie jej tożsamość zjawy, która odpierała marzenie o miłości odwzajemnionej i ewentualnym ślubie...

- Mario, ona nie znika! - Moje rozmyślenia uciął jęk Amadora, dochodzący spod stołu. Co też ja mówię, to nie był jęk, to był pisk, pisk przywodzący na myśl reakcję psa państwa Wściubinosów, kiedy na którejś zabawie sylwestrowej próbowałem wmusić w niego znaną w lodówce ohydłą rybę, zapobiegając tym samym spożyciu jej przez ciocię Lodzie. - Ona chce mnie zabić, przetransportować do krainy umarłych, chce, bym gnił tam razem z nią. Ale ty jej powiedz, że ja mam żonę, dzieci, że ona jest już tylko wspomnieniem...

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale pan portier Amador Lechuza ma żonę i dzieci, a pani jest już tylko wspomnieniem. - Wciąż nie widziałem związku pomiędzy urodziwą zjawą a interesującymi mnie zagadnieniami.

- Proszę powiedzieć panu portierowi Lechuzie, że ulituję się nad jego marnym jestestwem pod jednym tylko warunkiem - jej głos był niski i wyważony, dykcja i mimika twarzy prawdziwie aktorska. - Musi dać mi odpowiedni

klucz, bym mogła wejść na scenę. – Wskazała na wiolonczelę, którą dopiero wówczas spostrzegłem na jej plecach. – Chcę sobie pograć przed wyimaginowaną publicznością.

Dopiero owo sprytnie sformułowane, śmiałe żądanie rzucone z ust dorodnej, emanującej niezachwianą pewnością siebie postaci, pozwoliło mi mniemać, iż niewykluczone jest, że to właśnie ona 31 grudnia przechytryła i otumaniała portiera, i rozniecając ogień, przyczyniła się do śmierci Czarnoksiężnika. Jej wąskie, mieniające się niebezpieczną iskrą oczy polującej gazeli zdawały się potwierdzać moją teorię.

– Przykro mi, proszę pani. – Zatarasowałem jej drogę zdecydowanym ruchem, już nie jako fajtłapowaty Feliks, lecz jako zupełny profesjonalista, zimnokrwisty obrońca, nieustraszony strażnik Teksasu: Mario Lombriz (nagły gniew za prawdopodobny udział w morderstwie Mistrza przyćmił chwilowo moje uwielbienie dla jej nieziemskiej urody). – Przykro mi, ale my tu jesteśmy właśnie od tego, żeby tarasować wejście takim śmiałkom jak pani. Nawet jeśli ci śmiałkowie są duchami i, teoretycznie rzecz biorąc, nie mogą nic uszkodzić.

Po tych słowach Amador Lechuza wyglądający jakby miał lada chwila dostać palpacji serca, wystrzelił spod stołu niczym fajerwerk i ugodził swoim okrągłym czerepem prosto w moje ramię, zaciskając przy tym szczelnie powieki, jak gdyby bał się, że dziewczyna zabije go wzrokiem.

– Marrrrrrrrriooooo... stary skurczybyku... – Napierał na moją pachę tak silnie, iż zacząłem się obawiać, że jego

narząd węchu tego nie przeżyje. - Dajże jej, do licha ciężkiego, ten klucz! Ona mnie przecież zabije!

- W rzeczy samej - potwierdziła dziewczyna. - Zabiję podleca, jeśli mnie nie wpuszczicie.

Gdyby komuś przyszło kiedyś do głowy szukać przykładów skrajnego konformizmu na przestrzeni wieków, znalazłby je z pewnością pośród moich poczynań z owej nocy. Chcąc bowiem ukrócić męki Amadora, wręczyłem dziewczynie kluczyk na scenę Gran Teatre del Liceu, świadom, że pozwałam sobie dokładnie na ten sam czyn, na który pozwolił sobie portier 30 grudnia, wpuszczając podpalacza. Co gorsza, gdyby komuś przyszło szukać przykładów skrajnego uwielbienia dla płci pięknej w historii ludzkości, również odnalazłby je w mojej biografii.

- I... proszę pani! Na przyszłość, jak pani będzie przychodziła nocą pograć sobie na wiolonczeli, to proszę wchodzić od tej strony, gdzie urzęduję ja - zachęciłem zmyslnie zjawę, śledząc jej kontur rozplywający się w mroku korytarza i marząc, by jeszcze kiedyś ta zjawiskowej urody kobieta, mówiąc, wlała do maleńkiej amfory kilka kropel czyściciusieńkiej wody, uśmiechając się niedbale, sprawiła, że przestanę podlegać prawu grawitacji, a magią swych węglowoczarnych tęczówek pozwoliła mi na przedsmak raj. - Kiedy pani wchodzi tym wejściem, ten tu opętaniec drze się wniebogłosy i... rozumie pani... budzi robactwo i gryzienie w dziurach...

Wtedy czarnowłosa wydobyła z głębin mroku korytarza fragment swej niebiańskiej twarzy i uśmiechnęła się

nieznacznie w moim kierunku, odgarniając swe czarne jak
całun loki. Mimo egipskich ciemności i dzielących nas
kilkunastu metrów dostrzegłem w okolicach jej ucha
pojedyncze mignięcie awenturynu w kształcie gołębia. Ten
element biżuterii zdecydowanie nie pasował do jej
węglatego oka. Przypomnę jeszcze, że dziewczyna nie była
ani drobna, ani krótkowłosa, ani bez makijażu; a już na
pewno nie pozwalała przedstawicielowi rodzaju męskiego
przejsć obok siebie obojętnie.

[1] *Fantasma* - zjawą.

ROZDZIAŁ VI

Alcazar

- *IMBECIL!!!* - przeciągły ryk gargantuicznego kontrabasisty zatrzęsł całym gmachem Liceu, zmiatając grubą powłokę kurzu z mojego portierskiego stoliczka. - *Hijo de puta!!! Paleta!!!* - Furiat przypieczętował swoje słowa dźgnięciem mnie ostrzem smyczka w sam środek klatki piersiowej.

Do tej pory mam bliznę po tym incydencie. A zaczęło się bardzo niewinnie: próbowałem poszerzyć zakres moich portierskich umiejętności o wystukiwanie *Lotu Trzmiela*^[1] łyżeczką od herbaty na filizance. Niestety, w grze na filizance nie mam takiej samej wprawy, jak w grze na wiolonczeli i chcąc zrobić burzliwe crescendo^[2], uderzyłem w nią tak mocno, że wrzątek wylał się na duży palec u stopy przechodzącego akurat obok kontrabasisty Abelarda Pildory.

- Ech, wy, portierzy - burknął, kiedy największe emocje już opadły, smarując sobie kulfoniasty paluch roztopioną kalafonią. - Przeklęta kasta. Miesiąc temu taki sam śledź jak ty słuchał audycji o bezpańskich zwierzętach w Republice Zielonego Przylądka, zamiast pilnować, kogo wpuszcza do środka. A w dziewięćdziesiątym czwartym, kiedy jeszcze mój świętej pamięci ojciec tu pracował, inny burak siedzący na tym taboreciku, pozwolił na wybuch pożaru! Skąd wy się

urywacie? Z fabryki idiotów?

Historię pożaru w dziewięćdziesiątym czwartym znałem od samego Mistrza (źródła cokolwiek bardziej wiarygodnego niż świętej pamięci ojciec tego buca) i miałem pewność, że powodem niemal doszczętnego spłonięcia budynku Gran Teatre del Liceu było przypadkowe wzniesienie ognia podczas prac remontowych.

- Co jak co, ale w styczniu dziewięćdziesiątego czwartego roku... - próbowałem wstawić się za przedstawicielem mojego plemienia.

- Słuchaj no, przyjemniaczku. - Kontrabasista schował kalafonię, wstał i przycisnął mnie do siebie tak mocno, że jego kulisty brzuch niemalże spowodował trwałe uszkodzenie mojej obręczy barkowej. - Są rzeczy, o których się nie mówi. Przez lojalność. Ale każdy tutejszy muzyk wie, że ówczesny portier, niejaki Fabián Caballo, od lat wpuszczał nocami na scenę takiego jednego typka, co mu mówił, że on tylko chce sobie pograć przed wyimaginowanym audytorium. Niewiniątko. A w rzeczywistości miał żądzę mordu wypisaną w oczach, jak to mi mój ojciec, naoczny świadek, mówił, rozumiesz?

Poczułem przemieszczające się po moich plecach ciarki, których bynajmniej nie spowodował ostry swąd wody kolońskiej taranującego mnie kontrabasisty. Trzeba wam wiedzieć, że była to siódma doba, gdy nie zmrużyłem oka nękania wyrzutami sumienia za wpuszczenie nocą w mury teatru wiolonczelistki i kiedy uparcie poilem się przygotowywanym przez señorę Paulinę wywarem

z siemienia lnianego w celu oczyszczenia się z poczucia winy. Zaczynałem już nawet wierzyć, że czarnowłosa złodziejka kolczyków, której czarowi nieopatrznie uległem, nie miała nic wspólnego z sylwestrową zbrodnią, gdy nagle okazało się, że metody intruza, który przed dziewiętnastu laty dokonał jednego z bardziej spektakularnych zamachów na teatr operowy w historii ludzkości, pokrywały się w każdym calu z jej metodami! Kontrabasista, którego wyraźnie satysfakcjonowało moje skonfundowanie, oddalił się nieznacznie ze swoim brzuchem, po czym warknął w przestrzeń:

- Inocencja, pospiesz się! Zaraz mam mecz, a są korki!

Korowód mrówek zmuszony został opuścić moje plecy w tak szybkim tempie, jak na nie wkroczył, bowiem w kilka sekund po odbiciu się echem tubalnego okrzyku od wszystkich ścian teatru na korytarzu zjawiała się drobna kobieta o bardzo dużych, bardzo okrągłych i bardzo zielonych oczach, na której plecach ciążył tobołek przypominający kształtem wiolonczelę! Nie miała, co prawda, awenturynowych kolczyków w kształcie gołębi, ale te przecież mogła skraść jej ta niecnota, czarnulka, która wpadła tu parę nocy wcześniej.

Czyli ciastkarz się nie pomylił.

- Pani... - chciałem ją zagadnąć, ale napotkawszy na swej drodze niebezpieczny wzrok Abelarda Pildory, uznałem, że lepiej będzie wyjść z tego komicznego przebrania, zanim zaczniesz się poruszać pewne tematy.

Znajomości z tajemniczą kobietą, która mnie

z niewiadomych przyczyn śledziła, trzeba było zadzierzgnąć po cywilu i w tym celu zainwestowałem w bilet na *Cyrulika Sewilskiego* (grali akurat tego dnia, kiedy miałem wolne) z zamiarem dopadnięcia jej po przedstawieniu. Nawet tak żaloszny dyletant operowy jak ja wiedział, że to dzieło to klasyka klasyki i że na bank wynudzę się mniej niż na jedynej operze, którą dotychczas zaszczyliłem swoją obecnością (*Koronacji Poppei* Monteverdiego). Przeznaczyłem nawet pewne fundusze na przyzwoitą marynarkę, dzięki której nie wyróżniałem się szczególnie z tłumu panieś o wyglądzie tak odrażającym, że gdyby tylko którejkolwiek z nich przyszło do głowy wejść na scenę, mogłaby usprawiedliwiać swoją obecnością, dlaczego opera nosi przydomek buffa. *Cyrulika* przełknąłem z niesmakiem; muszę się przyznać, że po uwerturze miałem przez cały czas (wyłączając arię *Largo al factotum* - słynne Figaro, Figaro, Figaro!) cichą nadzieję, że zawali się któraś z łóż albo gigantyczny żyrandol i można będzie pod pretekstem paniki wybiec z tej świątyni nudy. Gdy wreszcie przedstawienie dobiegło końca, byłem pierwszym widzem, który znalazł się na zewnątrz i niestety ostatnim, który z placu naprzeciw opery zniknął. Wszystko przez to, że długo musiałem czekać, nim drzwi wyjścia dla pracowników otworzyły się i wyskoczył zza nich sam Figaro, tyle że w narzucie z drelichu i w wyświechtanych jeansach. Potem jeszcze cała kawalkada barwnych postaci musiała przekroczyć granicę między abstrakcyjnym światem bogactwa i przepychu - w którym kobiety szalały w podtrzymywanych krynoliną, gęsto wyszytych falbanami

kreacjach, a mężczyźni uganiaли się za nimi w niemodnych już frakach - a światem znużenia, rozleniwienia i tłustych much bzycających niemiłosiernie koło ucha, w którym nagle wszystkie te znakomitości stawały się zwykłymi śmiertelnikami w spranych, nasiąkniętych potem T-shirtach; bym wreszcie na koniuszku paradnego korowodu dostrzegł moją wiolonczelistkę z nieodłączną eskortą w postaci kontrabasisty. Spostrzegłem, że do jej uszu, od czasu kiedy widziałem ją po raz ostatni, zdążyły wrócić zielone awentury w kształcie gołębi.

- Zdaje się, że coś nas łączy, proszę pani - zagadnąłem ją, korzystając z chwilowego skupienia uwagi Abelarda Pildory na monologu jakiegoś mądrałi w meloniku. - I bynajmniej nie chodzi o to, że jako jedni z nielicznych barcelończyków posiadamy rzeźby Rómula Escultora - dodałem nieśmiało.

Jej wzrok musiał odbyć długi rejs po powierzchni mojego awentury nowego breloka, nim wreszcie uśmiechnęła się do mnie przyjacielsko, dzięki czemu upewniłem się, że trafiłem pod właściwy adres.

- Cieszę się, że mnie nareszcie odnalazłeś, Feliksie, czekałam na to - w jej głosie, mimo uśmiechu na twarzy, słyszalna była nerwowość, dałbym głowę, że spowodowana stopniowym odwracaniem się Abelarda w naszym kierunku. - Owszem, jest coś, co nas łączy, coś, co mam ci koniecznie wręczyć. - Prędkość jej mowy wzrastała niczym prędkość rozpędzającego się pociągu. - Chodź ze mną, najlepiej już teraz, bym mogła przekazać ci ów dokument bezzwłocznie -

wypaliła na zakończenie, po czym ścisnęła moją rękę i błyskawicą przekradliśmy się pod brzuchem kontrabasisty, przecięliśmy grupę rozświergotanych flecistek i staranowaliśmy szukającego czegoś w futerale fagocistę, by jak najszybciej zniknąć z pola widzenia rozjuszonego Abelarda.

Ocknąłem się po tym zgoła kuriozalnym biegu przełajowym wciśnięty w siedzenie przesiąkniętego przyjemną wonią choinki wunderbaum fioletowego matiza daewoo. Cisza, której niezręczność narastała z każdym obrotem kół, przerwana została w momencie niesamowicie gwałtownego hamowania na przecięciu Gran via de les Corts Catalanes z Carrer del Farrell. Łoskot dobiegający z tyłu sprawił, że instynktownie odwróciłem się za siebie. Zastałem pokrywającą tylne siedzenie stertę starego obuwia, które musiało przed sekundą opuścić stojące w bagażniku pudełka i przekoziółkować nad oparciami foteli. Mój wzrok już miał opuścić tylne siedzenie, by móc służyć dalej sympatycznej wiolonczelistce, kiedy nieoczekiwanie wyłowilem z kolorowego stosu różnego rodzaju butów wielki jak łóżko dla lalek trzewik. Rzucił mi się w oczy, jakby był rubinem pośród żwiru, gdyż to był jeden z najlepiej znanych mi butów na tym świecie. Poznałem go we wczesnym dzieciństwie. Wystawał spod długiej, powłóczystej szaty i zapoznawał mnie ze zjawiskiem polirytmii, tupiąc ósemki równoległe do tupania triol przez jego lewego brata bliźniaka.

Kiedy tak rozmyślałem o perypetiach czarnego trzewika, zatrzymaliśmy się przy alei Via de Saint Lluís.

Wiolonczelistka wpuściwszy mnie do swego królestwa, wskazała mi schody, mówiąc, że zaraz do mnie dołączy. Posłusznie skierowałem się na górę, wpatrując się z uwielbieniem w ściany wyściełane wszelkimi możliwymi rodzajami wiolonczel: grającymi i niegrającymi, odlanymi z mosiądzu i wystruganymi w brzozie, ukrytymi w kukułce zegara i wiolonczel-doniczek, z których duszy wypływały liście paprotki. Na mecie tego labiryntu wykwinętości mieściły się drzwi. Przez dziurkę od klucza sączył się intensywny zapach imbiru. Szarpnąłem za klamkę.

I oto znalazłem się w jego świątyni, przesiąkniętej jeszcze wonią imbiru, żyjącej jeszcze w jego rytmie, nieświadomej, że niebawem nie będzie już świątynią, ale zaledwie pustą muszlą przemieniającą się z dnia na dzień w ruinę. Tego dnia wszystko wciąż wyczekiwało cierpliwie jego powrotu: obrotowe krzesło przy biurku było przymilnie odsunięte, długopis czekał posłusznie, aż ludzka ręka z bezużytecznego patyka przeobrazi go w prawdziwego kreatora dziejowych, być może, słów, pianino zastygło w euforycznym uśmiechu, ukazując niezmiennie szereg bielusińskich zębów, a książki spały grzbietami do góry, wiedząc, że któregoś dnia zostaną obudzone. Wiolonczela zamarła w pokrowcu, przez co stała się niczym więcej niż tylko meblem, wierzyła jednak, że ktoś przyjdzie ją wyrwać z tego transu, że ktoś na nowo uczyni ją poskramiaczką ludzkich serc. Wszyscy oni nierejestrujący upływu czasu czekali na swojego pana bez krztyny zniecierpliwienia, nie zastanawiając się nawet, czemu tak długo nie wraca. Było im

całkowicie obojętne, czy Mistrz przekroczy próg swojego zamku dziś, jutro, czy za rok. Ważne było, że kiedyś przekroczy, w co nie miały podstaw wątpić.

Poczułem się winny. Cała ciżba spojrzała na mnie zawiedziona. To nie ten sam odgłos ciężkich stóp stąpających po podłodze, nie ten hipnotyzujący zapach imbiru, nie to wszechwiedzące spojrzenie – przemknęło im pewnie przez myśl, nim popadli w dalszy letarg. Chciałem im wykrzyknąć, że ja czuję się dokładnie tak samo, jak ten długopis, który leży bezwolnie jak zwykły patyk, czy jak wiolonczela – nic więcej niż kupa drewna. Tym samym przecież byłem bez mojego Mistrza – zwykłym materiałem przypominającym do złudzenia człowieka; bezużyteczną, bezsensowną, martwą kukłą. Nie chciałem ich jednak w tak brutalny sposób oswajać z rzeczywistością, zdradzając, że Czarnoksiężnika już nie ma, wołałem, by jeszcze trochę potwały w błogiej nieświadomości. Któregoś dnia i tak pojawi się tu jakiś człowiek, który swoją ciastowatą łapą zgarnie z półek wszystkie śmieci i któremu nawet przez myśl nie przejdzie, że oto zadaje śmiertelny cios tysiącom bytów, wyczekujących powrotu pana...

Najbardziej niesamowitym lokatorem tego zahibernowanego pokoju była jednak muzyka wijąca się jak opary kawy ze stojącego na szafce nocnej gramofonu. Ona też wiedziała, że ktoś ją kocha, że ktoś jej potrzebuje i że ktoś tu do niej przyjdzie, sprawiając, iż nie będzie się czuła wyłącznie konfiguracją rozmaitych częstotliwości brzmienia, krzyżówką napięć dźwięku i plątaniną sekwencji

rytmicznych. Ten ktoś uśmiechnie się do niej z wdzięcznością, krople potu znikną z jego czoła, wyraz trwogi opuści jego twarz, a chęć niebudzenia się następnego dnia przeminie. Stanie się potrzebna. Musiał być to ulubiony utwór mojego profesora, który jego żona nastawiła tak, by brzmiał po wsze czasy na jego cześć i wspomnienie. Nie znałem tytułu, ale po krótkiej analizie przyszła mi na myśl analogia przebiegu muzycznego do poszczególnych etapów mojego życia: pierwsze nieśmiałe inicjatywy skrzypiec i dętych drewnianych były zupełnie jak melancholijne dni, które toczyłem, nim poznałem Mistrza, kilka soczystych zapiań trąbki przerywających senność i rozleniwienie odnosiło się jak gdyby do zapowiedzi przybycia nowego profesora, a melodyjny temat fagotu poprzedzony chwilą wymownego milczenia przypominał mi pierwsze zetknięcie z Mistrzem po nerwowych chwilach oczekiwania. Eksplozja radości potęgowana przez każdy instrument z osobna skojarzyła mi się z tym wspaniałym okresem, kiedy profesor przekazywał mi chęć życia podczas naszych spotkań, a trzy gwałtowne uderzenia perkusji ucinające tę euforyczną burzę były jak trzy wielkie ciosy: obietnica wspólnej podróży do Hiszpanii, wyjazd Mistrza do pracy w Gran Teatre del Liceu i wreszcie jego śmierć. Po trzech gruchnięciach następowało piano i stopniowe wygasanie emocji niejako paralelne do pustki w moim sercu po zniknięciu Czarnoksiężnika...

Nie słyszałem tego utworu nigdy wcześniej, ale dałbym głowę, że cztery ostatnie dźwięki stanowiła głośna kadencja doskonała^[3], krótka reminiscencja tętniącego radością

i wigorem epizodu kojarzącego mi się z moim profesorem. Nim jednak zdążyłem się przekonać, czy tak jest, ktoś niespodziewanie wyłączył gramofon.

- Mistrzu! - krzyknąłem instynktownie, obracając się za siebie.

- Chyba przez pomyłkę, Feliksie, wszedłeś do pokoju mojego męża. - Napotkałem parę wyłaniających się z półcienia awenturynowych oczu żony mojego profesora. Zastygła w uśmiechu na widok mojej wdzięczności za przyprowadzenie mnie do jego zamku. - Jesteś prawdziwym fenomenem. Wszyscy, którzy go dobrze znali, nie mogli wprost przeboleć, że nie toczył żywota imperatora, lecz żywot zwykłego śmiertelnika. Ludzie zapominają, że zadaniem każdego z nas jest służyć drugiemu człowiekowi, a zadaniem człowieka wybitnego jest najpierw się zniżyć do poziomu drugiego człowieka, a potem mu służyć... O, tak, Hector był wspaniałą osobą, której moje serce nie przestaje być wierne, pomimo że przeszedł na drugą stronę. - Kobieta uśmiechnęła się jednym kącikiem ust, zapatrzona w martwy punkt na ścianie. - Ale nawet miłość nie była w stanie zburzyć dzielącej nas żelaznej kurtyny. On, chcąc nie chcąc, żył w świecie abstrakcyjnych wyobrażeń liczbowych i dalekosiężnych rozważań teoretycznych niedostępnych zwykłym śmiertelnikom takim jak ja. Potrafił, na przykład, poznać co do minuty czas dostarczenia listu dzięki obliczeniu wypadkowej tempa przemieszczania się wozów pocztowych, częstotliwości zmian świateł sygnalizacyjnych i współczynnika upierdliwości much w nosie pracowników

poczty. Kiedy do mnie mówił, wspinałam się na palce, by go zrozumieć, ale w najlepszym wypadku ledwie sięgałam koniuszkiem dłoni jego podbródka. Opowiadał mi o ciąży na jego rodzinie kłątwie, o tym, że jego ojciec, którego notabene nigdy nie widziałam, stoi za inwazją kosmitów w Badalonie, że jego praszczur wyprzedził Vespucciego ze stwierdzeniem, że Ameryka to Ameryka... Bywało, iż niepokoiłam się, że postradał zmysły, że przestał odróżniać jawę od snu, wyobrażenia od świata rzeczywistego. Pomyślałam, że jak zwykle fantazjuje, gdy na jesieni oznajmił mi, że zamierza wkrótce zostać zamordowanym. Udałam się nawet do księdza spytać, czy jego dusza nie została nadpsuta przez ciemne siły. Owa feralna przepowiednia okazała się jednak prawdziwa, gdyż, jak wiesz, Hector zginął w pożarze w Gran Teatre del Liceu 1 stycznia tego roku. Jego ostatnia wola, którą listem poleconym dostarczył mi do Rabatu, gdzie wówczas przebywałam, była równie kuriozalna jak cała jego osoba. Mówię ci o tym, ponieważ stanowi ona właśnie ów dokument, który miałam ci tak pilnie przekazać. Przeczytaj, proszę, cały ten list i odpowiedz mi na pytanie, które zadaje sobie od osiemnastu lat: czy mój mąż był szalony?

31.12.2012

Najdroższa Inocencio,

wiem, że jesteś teraz zajęta przygotowaniem do koncertu w Rabacie, ale uznałem za stosowne, by poinformować Cię, że od dwóch godzin (traktując jako punkt odniesienia moment, kiedy list trafi w Twoje ręce)

nie żyję. Zostałem zamordowany w kanale orkiestrowym Gran Teatre del Liceu przez jednego ze służących mojego ojca i – choć świat dowie się o tym około godziny dwudziestej drugiej (jeśli pierwsza z powierzonych Ci przeze mnie misji się powiedzie) bądź dopiero po północy (jeśli się nie powiedzie) – Ty powinnaś być tego świadoma już teraz, by móc wypełnić moją ostatnią wolę. A oto i ona:

Po odczytaniu listu, nie zwlekając ani chwili, wrócisz samolotem odlatującym o dziewiętnastej dwadzieścia do Barcelony. Tam, zamiast do domu, udasz się prosto do mieszkania Margarity Clarín, znajdziesz pośród pijanych imprezowiczów Doroteę i poprosisz ją, by wręczyła Ci klucz do kanału orkiestrowego, który ukradła portierowi z pęczka 25 grudnia. Kiedy już posiadasz klucz, skierujesz się prosto do Liceu. Nim jednak otworzysz zaniepokojonym muzykom drzwi do kanału, wjedziesz na górę, do pomieszczenia, w którym steruje się aparaturą. Powiesz spanikowanemu technikowi, że zmienionym przez intruza hasłem odblokowującym przysłone kanału orkiestrowego jest wykrzyknięte chórem: *Próspero Año Nuevo!* Następnie zamkniesz od zewnątrz drzwi toalet męskich w całym teatrze (klucze znajdziesz w portierce). W którejś z nich kryje się mój oprawca, Eleuterio Pentagrama, który wyczekuje tylko godziny dwudziestej trzeciej czterdzieści jeden, kiedy powinien podpalić dekorację. Kiedy już go zamkniesz, i pewnym będzie, że do pożaru nie dojdzie, otworzysz drzwi do kanału,

sprzątniesz stamtąd moje ciało i wpuścisz muzyków, mówiąc, że dyrygent Pentagrama nie może dziś dyrygować, bo właśnie popełnił morderstwo i ukrywa się w męskiej toalecie. Jako dowód, że to Pentagrama jest przyczyną całego zła, pokażesz instrumentalistom zranienia na moim ciele. Będą one miały kształt literki P, takich, jak ta, która widnieje na sygnecie noszonym przez dyrygenta na wskazującym palcu.

Jeżeli nie uda Ci się spełnić opisanego powyżej życzenia (co jest wysoce prawdopodobne ze względu na konieczność zaangażowania w to wszystko krnąbrnej Dorotei), to wraz z nadejściem Nowego Roku wskoczysz w przebranie Kolombiny, to które miałaś na sobie podczas karnawału w Sewilli w 2002. W tym stroju przedostaniesz się na lotnisko i nie opuścisz hali przylotów, dopóki nie natkniesz się tam na szczupłego nastolatka o brązowych oczach, najprawdopodobniej w zielonym, tyrolskim swetrze. Chłopiec będzie niemało zdezorientowany. Zatrószysz się, nie zdradzając oczywiście swojej prawdziwej tożsamości, by wsiadł w bus przejeżdżający przez Universitat de Barcelona, a wysiadłszy z niego, skręcił w ulicę Carrer dels Tallers prowadzącą do Liceu. Będziesz go śledzić przez cały czas i zatrzymasz się wraz z nim, gdy przystanie przed budynkiem teatru. Będzie tam stał bardzo długo. Tymczasem rozetniesz od dołu jego plecak nożykiem, tak by pozostał bez grosza przy duszy i perspektyw na życie.

Kiedy to zrobisz, chłopiec bez wahania podąży za czającym się nieopodal facetem w szarym prochowcu. Niebawem będą wspólnie przemierzali Rambla dels Capuxtins, a Ty, podążając za nimi, będziesz zbierała przedmioty wypadające z dziurawej torby chłopca. Kiedy dotrą do witryny salonu piękności Mesdames Aliciente, opuścisz ich ostatecznie, a zebrane po drodze rzeczy zostawisz w takim miejscu i z taką informacją, by chłopak zorientował się, że go śledziłaś w Barcelonie i zapragnął Cię odnaleźć. Kiedy już to zrobi, pokażesz mu cały ten list, włącznie z informacją, którą rezerwuję specjalnie dla niego.

Kiedy stracisz nadzieję, Feliksie, anagramuj swą miłość.
Pocałunki z krainy umarłych, Inocencio,
Twój Hector

- On nie był szalony - skwitowałem sucho. - Przy tym liście niechybnie ktoś majstrował, nim dotarł on w pani ręce.

Nie uszło mojej uwagi, że goły fragment papieru dzielący opisy dwóch kolejnych misji, podobnie jak puste miejsce ponad szczątkową informacją przeznaczoną dla mnie, pokryte są plamami w barwie cytryny, znakomitego wywabiacza atramentu.

Luka w tekście była, musicie przyznać, sporym utrudnieniem, zważywszy, że to właśnie ja miałem doprowadzić utwór rozbrzmiewający w pokoju Czarnoksiężnika do końcowej kadencji doskonałej.



[1] *Lot trzmiela* – fragment opery *Bajka o Carze Sałtanie* Nikołaja Rimskiego-Korsakowa, wypełniony w całości przebiegami szesnastkowymi (szesnastka – bardzo drobna wartość muzyczna).

[2] Crescendo – narastając; coraz głośniej.

[3] Kadencja doskonała – w harmonii klasycznej połączenie subdominanty (akordu na czwartym stopniu gamy), dominanty (akordu na piątym stopniu gamy) i toniki (akordu na pierwszym stopniu gamy) bądź dominanty i toniki, mające charakter zakończenia.

ROZDZIAŁ VII

Czy ma pan ochotę pójść na Carmen?

Po śmierci Mozarta Franz Xaver Süssmayr dostał przed nos partyturę nieukończonego *Requiem d-moll*. Giulio Romano zmierzył się oko w oko z *Przemienieniem Pańskim*, gdy jego mistrz Rafael odszedł na tamten świat. Ja tymczasem całym tygodniami latałem jak kot z pęcherzem: od laureata tegorocznych barcelońskich zawodów szaradziarskich, przez prywatnego detektywa z Poblenou, aż po psychiatrę; ściskając w dłoni, przypominający już w swej miękkości papier toaletowy, liścik zakończony enigmatycznymi słowami: „Kiedy stracisz nadzieję, Feliksie, anagramuj swą miłość”. Wreszcie, po całym miesiącu nieudolnych prób detektywistycznych, zdesperowany brakiem pomysłu na wykonanie zadanej mi przez Mistrza pracy domowej, zabarykadowałem się w portierce, wywiesiwszy uprzednio karteczkę następującej treści: „Jeśli życzycie sobie państwo kluczyk, proszę wpierw zdradzić mi jakieś cenne informacje na temat wiolonczelisty Hectora Hechicero. Inaczej nic nie daję. Mario Lombriz”.

Przez okrągłe dwa tygodnie dziwowałem się, jakim cudem muzykom z dnia na dzień przestały być potrzebne klucze, bez których przecież niemożliwe było dostanie się do garderób i sal prób. Piętnastego dnia zorientowałem się, że

ten stary gamoń, Amador Lechuza udostępnił pracownikom teatru swoje pęczki, pozwalając im na wyrobienie własnych kluczy. Byłem już pewien, że misterny plan zaangażowania członków orkiestry w moją przygodę legł w gruzach, kiedy w dzień po ostentacyjnym zerwaniu przeze mnie felernej karteczki przez szybę w portierce spojrzała na mnie para pięknych, bardzo jasnych i zimnych jak lodowe kule oczu. Dotychczas widziałem tę kobietę jedynie z daleka, jak przechadzała się samotnie po korytarzach Gran Teatre del Liceu. Nieskazitelne piękno, jakie skrywała jej przyobleczona mlecznobiałą, niemal przezroczystą skórą twarz, sprawiło, że zamarzyłem, by złożyć pocałunek na jej bladych, pełnych wargach, a niemożność oparcia się tej pokusie wbiła się w moje serce jak sopel.

- On wciąż żyje - szepnął anioł, pozostawiając na szybie cienką warstwę szronu.

Byłem tak oszołomiony jej urodą, że od razu zapomniałem, co powiedziała.

Ledwie lodowata piękność się oddaliła, zza rogu wyskoczyła banda tubistów, którzy musieli obserwować tę scenę z ukrycia.

- To waltornistka szwedzkiego pochodzenia, Karin Ledsen, Królowa Śniegu - poinformował mnie przez szybkę największy z nich, Luciniano Calcetin. Zaciśnięta pięść znajdująca się na wysokości mojej twarzy nie wróżyła nic dobrego. - Każdy z nas marzy o niej w skrytości, ale ona ma serce z lodu. Od dwudziestu lat nie odezwała się słowem do przedstawiciela płci męskiej, ba, nie obdarzyła żadnego z nas

nawet spojrzeniem. Tak więc przepraszam, ale męska duma nakazuje mi to zrobić – to rzekłszy, Luciano Calcetin bez najmniejszych skrępowań zbił szybką i walnął mnie pięścią w nos.

Tego dnia opuściłem Liceu wcześniej, a wszystkie moje obowiązki powierzyłem odważnemu i zaradnemu Amadorowi Lechuzie. Sunąc smutnie Ramblą, bezskutecznie usiłowałem sobie przypomnieć, co właściwie powiedziała mi Królowa Śniegu, za spotkanie z którą przyszło mi tak słono zapłacić.

- Rambla to prawdziwy magnes na napastników, amigo. - W mężczyźnie drepczącym obok mnie rozpoznałem Aureliana Nimentiroso. - Trzeba się mieć na baczności. Najlepiej zawczasu usunąć chrząstki przegrody nosa, by ten, w razie pobicia, się nie odkształcał.

- A co zrobić, jak już jest post factum? - burknąłem zirytowany.

- Zawsze zostaje wprawna ręka Madame Valerii, amigo.

Po raz kolejny Charonowi udało się nabrać mnie, że idziemy do salonu piękności po to, by podreperować mój wygląd. Gdy dotarliśmy, splawił oczywiście kłapiącą zachęcająco dziadkiem do orzechów kolubrynę, po czym wepchnął mnie, jak poprzednio, do świątyni dumania. Obserwując jego wygibasy na spłucze sedesu, zastanawiałem się, co też mógł mieć mi do powiedzenia szef stowarzyszenia. Czyżby wiadomość o mojej wpadce z łysym kontrabasistą (który nie omieszkał roztrąbić sprawy poparzonego palucha na pół teatru) dotarła i do niego?

- Sam sobie wybrałeś taką pracę, synek - powiedział

Diogenes Ganzúa na widok mojego rozkwaszonego nosa, po czym otworzył przede mną drzwi swojego gabinetu. – Usiądź, proszę. Czeka nas dłuższa rozmowa.

Posłusznie zająłem miejsce naprzeciw staruszka, starając się ignorować ustawioną na stole miskę na ciastka wypełnioną po brzegi cebulkami czosnku. Diogenes nie oparł się pokusie poczęstowania się jedną z nich, nim rozpoczął:

– Czy nigdy nie dziwiło cię, Feliksie, jak to się dzieje, że zwykli ludzie z ulicy mogą dzięki mnie zajmować wysokie stanowiska? Czy nie zastanawiałeś się, skąd mam tak szerokie wpływy w Barcelonie?

Pokręciłem głową. Zawsze wydawało mi się, że świat był naturalnie skonstruowany w taki sposób, by jedni ludzie mieli wpływy, a inni nie.

– Wspieram cię już od czterech miesięcy. Nadszedł czas, bym ci uświadomił, że oczekuję czegoś w zamian.

Patrzyłem jedynie tępo w te jego pozbawione wyrazu, brązowe oczy. Nie wyczuwałem, że wisząca pomiędzy nami cisza, jest ciszą przed burzą.

– Moje stowarzyszenie nie ma nic wspólnego z filantropią, kretynie! – wybuchnął wreszcie, a leżące na stole papierzyska przefrunęły tuż nad moją głową, upodabniając się na moment do wczesnowiosennego klucza bocianów. – Wezwałem cię, by ci powiedzieć, że w momencie, kiedy po raz pierwszy zjadłeś z mojej miski, stałeś się jednym z tysięcy moich poddanych! Jesteś teraz częścią nierozzerwalnego organizmu, którego wsparciu musisz poświęcić resztę swojego życia, rozumiesz?

Rozumiesz?! – W jego oczach błysnęła przez ułamek sekundy reminiscencja młodszej energii.

To jedno spojrzenie odsłoniło przede mną kolejną tajemnicę szefa.

Jakże mogłem przez tyle czasu nie zauważyć, że Diogenes był ojcem Czarnoksiężnika! Wiedziałem przecież o pokrewieństwie charakterów pisma obu mężczyzn. Co więcej, od początku przeczuwałem, że Ganzúa stał za pożarem w Gran Teatre del Liceu, a przez moje ręce przewinął się list, w którym profesor informował, że za jego śmierć odpowiedzialny był jego ojciec!

Tymczasem Ganzúa starał się poskromić emocje.

- To nie tak, Feliksie. Nie robię nic złego – zaczął w końcu z nowym spokojem, przełknąwszy gładko cebulkę czosnku. – Wysłuchaj, proszę, mojej historii, a łatwiej będzie ci wszystko zrozumieć. – Wziął głęboki oddech. – Urodziłem się w trzydziestym czwartym, właśnie tu, w Barcelonie, przy ulicy Carrer de la Paloma. Moi rodzice nienawidzili się z całego serca, rozbudzali w sobie agresję do tego stopnia, że na klatce schodowej śmierdziało ich krwią. W mieszkaniu nie było ani jednego mebla, który by nie był w kawałkach: szafa nie miała półek, stół nóg, a krzesła pozbawione były deski, na której się siedzi. Byłem jeszcze całkowitym maluchem, gdy zrozumiałem prawdziwą przyczynę ich dramatu. Ojciec był genialnym wynalazcą, właścicielem firmy wytwarzającej hity sezonu, takie jak pantofle na obcasie rosnącym i kurczącym się w zależności od preferencji właściciela, jak czujniki zakładane zwierzętom

domowym na ucho w celu sprawdzenia, w jakim stopniu sympatią darzą poszczególnych członków rodziny. Matka zaś była, jak każda kobieta zresztą, żalostną, żądną pławienia się w luksusach, egoistką. Sądziła, że jeśli przylepi się jak rzep do psiego ogona do osoby tak zdolnej i przy tym obrotnej, niebawem stanie się królową tego świata. Ojciec jednak bynajmniej nie kwapił się, by odstąpić jej swoją fortunę na zbożne cele i właśnie w tym tkwiło źródło całego dysonansu. Matka niezbyt długo wahała się, by zadziałać zdecydowanie, a ja jeszcze szybciej zorientowałem się, że tajemniczy mężczyzna traktujący ojca kulka w łeb pod oknem mojego pokoju, nie był przypadkową osobą. Utwierdziłem się w tym przekonaniu, kiedy ten sam osobnik wkrótce wprowadził się do naszego mieszkania jako mój quasi-ojczym i rozpoczął z matką wspólny rejs po morzu pieniędzy ojca. Wtedy po raz pierwszy dotarła do mnie skala głupoty wyznaczającej temu światu prawidła. Głupoty wyciekającej uszami, oczami i nosem całej tej, zasiedlającej kamienice elity Barcelony; przezierającej przez umysły zarówno proletariatu, jak i klasy inteligenckiej; osób, które się do niej przyznają i tych, którzy dla niepoznaki przyodziewają okulary w rogowej oprawce. Głupoty, która pozwala stawiać pieniądź i ulotne rozkosze wyżej niż szacunek dla intelektu i wolę zrobienia przed ludzkość kroku naprzód. Głupoty, która spowodowała wieloletnie uciemnienie wielkiego geniuszu mojego ojca, a w końcu jego śmierć, na rzecz paru tandetnych sukni koktajlowych i willi w Lloret. Unikałem wychodzenia do tego świata materializmu i zacofania z wykreowanego w moim

pokoju królestwa, w którym zacząłem projektować wynalazki. Mam, podobnie jak mój ojciec, iloraz inteligencji tak wysoki, że nie starczyłoby twojej wyobraźni, by ogarnąć tę wielką cyfrę, więc projekty te, mimo że należały do ośmiolatka, cechowała ogromna wręcz wartość. Marzyłem wprost, by oddać je w ręce ludzi. W tym celu zaprzyjaźniłem się z właścicielem sklepu z zabawkami na sąsiedniej ulicy. Ach, jakże jemu, głupiemu rzemieślnikowi, podobały się te zmaterializowane za pomocą skromnych środków, którymi dysponowałem, pomysły! Szczególnym jego faworytem był kolorowy sześcian, który niestety przepadł, kiedy parę lat później przyszła po mnie banda idiotów z opieki społecznej i który świat poznał dopiero trzydzieści lat później jako kostkę Ernő Rubika. Ależ ja, broń Boże, nie jestem zawistny! Jest mi obojętne, czy jakiś tam sześcianik opatrzony jest moim czy nie moim nazwiskiem. Sława i rozgłos są dla głupców. Mnie jedynie boli niewymownie, że świat odkrywa mnóstwo rzeczy za późno, tylko dlatego że geniusze przychodzą na świat w kurnikach, a w żyłach idiotów płynie błękitna krew... Wracając do tematu, zabawkarz pod wrażeniem mojego talentu pozwolił mi ustawiać moje produkty na półkach obok jego nędznych wytworów. Dodał wielce łaskawie, że pieniądze ze sprzedaży mojego towaru mogę sobie zachować. Pewnie spodziewał się, głupiec, że to będzie garstka miedziaków, które raz do roku jakiś ślepy łaskawca wrzuci do koszyczka. O, jakże się przeliczył w ocenie mojego talentu! Niebawem tłumy z całej Barcelony zaczęły przepychać się do sklepiku przyciągane jedynie przez

moje gadżety. Zabawkarz po bardzo krótkim czasie przekazywania mi należnego dochodu popadł w bankructwo i zmuszony był wywieźć na taczkach mnie oraz cały arsenał moich produktów ze swojego imperium. „Nigdy nie wracaj – powiedział na pożegnanie – przynosisz pecha”. Wszystko przez te cholerne pieniądze, które były mi potrzebne tylko po to, by mieć czym owinąć śledzia! Pieniądze są dla głupców, którzy nie mogą się oprzeć durnym rozrywkom! Mnie podczas pracy u zabawkarza zależało jedynie, by wyrobić sobie renomę, by świat dowiedział się o mnie, by zostały mi stworzone warunki do maksymalnego wykorzystania mojego geniuszu! Przeigrany i jeszcze silniej niż poprzednio przytłoczony władającą światem głupotą i wyrastającymi z tej głupoty kryteriami, według których wartościuje się ludzi, wróciłem do mojego królestwa, mając dwoje morderców i rozpustników jako sąsiadów zza ściany oraz masę pieniędzy w sakiewce. Pieniądzy było, niestety, zdecydowanie zbyt mało, bym mógł zapewnić mojemu umysłowi dogodne warunki do eksploatacji, toteż starając się zapomnieć o zepsuciu świata zewnętrznego, projektowałem wynalazki ze zwiększoną intensywnością. Robiłem to dwadzieścia cztery godziny na dobę, bez przerw na spanie i jedzenie, by tylko mój niezwykły umysł się ani przez chwilę nie marnował. Z czasem u moich sąsiadów zza ściany zaczęły rozgrywać się nieziemskie awantury, podobne tym z czasów ojca. Domyślałem się, że moja chadzająca w satynowych sukniach matka nie może przeboleć, że ktoś dzieli z nią fortunę. Wkrótce kolejny facet w czerni potraktował kulką

w łeb mężczyznę mieszkającego pod naszym dachem. Tak, jak przed laty obserwowałem tę scenę przykulony pod parapetem. Tym razem jednak zabójca nie zasiedlił pokoju obok, a został pojmany w kajdany wraz z moją okrutną matką. Cały majątek znaleziony w domu, włącznie z moim skromnym dorobkiem (w tym prototypem kostki Rubika), został skonfiskowany, a ja trafiłem do sierocińca, stając się jednym z setek anonimowych chłopców bez domu i rodziny. Ja tytan. Ja geniusz. Nie potrzebowałem wiele czasu, by wymyślić plan ukrócenia tego pasma upokorzeń. Zwiąłem stamtąd po dwudziestu dwóch dniach, zsunąwszy się po gałęzi dotykającej okna czwartego piętra prosto do ogródka niejakiego Antonia Salazara. Przez długie lata ten przebogaty, ale jakże rozleniwiony intelektualnie człowiek (który swe nieróbstwo zwykł usprawiedliwiać duszą artysty i pogłębioną wrażliwością) pozwalał mi mieszkać u siebie na poddaszu w zamian za wykonywanie za niego wszystkich prac wymagających umiejętności sprawnego liczenia. Jednocześnie zaczepiałem się u przydrożnych zabawkarzy, by dalej szukać u nich początku godnej mnie drogi. Nigdy go tam jednak nie odnalazłem, zabawkarze, owszem, zaspokajali moje znikome potrzeby materialne, ale człowiek mojego pokroju potrzebuje o wiele, wiele więcej. I tak któregoś dnia mojej nieudolnej tułaczki, wyprowadziwszy się od Salazara, który okazał się być łotrem, pogodziłem się z tą bolesną prawdą: zmarnowałem już zbyt wiele lat życia, by maksymalnie wyeksploatować siłę mojego umysłu, by przyczynić się do jakiegokolwiek progresu świata.

Powielalem historie wszystkich moich przodków od strony ojca, których niezwykły dar przepadał przez brak otwierających wrota do wielkiego świata koligacji, przez tłumiące potencjał jednostki realia charakterystyczne dla nizin społecznych, przez pięknych, bogatych i wpływowych ludzi dzierżących ster tego świata, których zawartość czaszki nie różni się wiele od zawartości wydumuszki! Nie mogłem znieść skutków tej nałożonej na nasz ród klątwy i poczułem się odpowiedzialny za to, by ją przełamać. Metoda na to była jedna. Nienawidziłem wprowadzić kobiet, nienawiści tej nauczyła mnie moja matka, można by wręcz rzec, nie bez cienia sarkazmu, że wyssałem ją z mlekiem matki. Ciągłość rodu nieskończenie inteligentnych istot była jednak rozpaczliwie konieczna - moje dziecko miało wszak odziedziczyć mój mózg i dokonać dziejowych odkryć. Na horyzoncie pojawiła się przypominająca wielgachną kolumnę dorycką żona zabawkarza, Ezequiela Chaleco, której na imię było Matilde. Wiosną sześćdziesiątego ósmego na świat przyszedł Hector, spadkobierca potęgi mojego umysłu. Jakże się cieszyłem, odkrywwszy, że jego umysł jest nawet bardziej zręczny i pojemny niż mój. Kiedy miał dwa lata, graliśmy w bitwę morską i szachy w wyobraźni. Kiedy miał trzy lata, robiliśmy wyścigi, kto zapamięta dłuższy ciąg cyfr zapisanych uprzednio na karteczce przez konkurenta. Ja poległem przy dwudziestu czterech tysiącach ośmiuset czterdziestu trzech, on zaś nie poległ w ogóle, gdyż prędej moja ręka zmęczyła się od pisania, aniżeli zawiodła jego pamięć. Moim celem stało się wychować go i pokierować

jego życiem w ten sposób, by w przyszłości otrzymał maksymalnie dogodne warunki do eksploatacji umysłu. Był jednak pewien dosyć zasadniczy problem. Zabawkarz Ezequiel Chaleco był święcie przekonany, że Hector jest jego synem i najzwyczajniej w świecie wychowywał go wspólnie z żoną pod swoim dachem. Ja tymczasem odwiedzałem ich zaledwie raz w miesiącu jako miły kolega z sąsiedztwa. Mogłem jedynie patrzeć z boku, jak ten głupi tatuś macha mu przed nosem grzechotkami, nieświadom swojej maluczkości wobec berbecia. Desperacja nie pozwalała mi biernie obserwować, jak kolejne pokolenie głupków unicestwia kolejne pokolenie geniuszy, więc podjąłem radykalne kroki. Wpierw, jak gdyby nigdy nic, rzuciłem posadę pomocnika zabawkarza. Zaraz potem porwałem chłopca do mojego mieszkania, zasadziwszy się na niego uprzednio na pobliskim placu zabaw. Jego obecnością cieszyłem się jedynie półtorej doby. „Ten chłopiec zbawi świat!” – dałem się do bandy osiłkowatych funkcjonariuszy, którzy wdarli się do mojego mieszkania w samym środku nocy. „Zrewolucjonizuje skażone głupotą społeczeństwo, udowodni wam wszystkim, w jakim zastoju tkwi ludzkość, dokona dziejowych odkryć! Za parę lat będziecie przed nim klękać i śpiewać peany na jego cześć! Tylko pozostawcie go we właściwej opiece! Nie zabierajcie go z mojego domu!” Ale te bałwany nie zrozumiały z mojego przekazu zupełnie nic. Jeden z nich zdołał jedynie popukać się palcem w czoło. Smutne, że głupiec nigdy nie przyzna się do swojej głupoty, bo jest zbyt głupi, by ją dostrzec. Wkrótce wezwano mnie do

sądu jako oskarżonego o porwanie dziecka. Oczywiście ani myślałem stawiać się na rozprawie, wciąż przecież byłem niewinny. Cały czas pozostawałem niewinnym człowiekiem, który marzył jedynie o otrzymaniu warunków do eksploatacji geniuszu i o zapewnieniu takich samych warunków synowi w celu wyrwania ludzkości z ciemnoty. To Bóg, przez pryzmat rzuconej na nasz ród klątwy, rzucał mi od samego początku kłody pod nogi. To Bóg skomplikował moją rzeczywistość tak, bym zmuszony był posuwać się do brutalnych czynów. A wiesz dlaczego, Feliksie? Nie domyślasz się? Z zazdrości! Z zazdrości dla naszych wspaniałych mózgów i przez niemożność pogodzenia się z naszą umiejętnością rozpracowania jego istoty. Żeby nie ponosić konsekwencji prawnych za winy tego na górze, wymyśliłem pewien plan, likwidujący problem ścigających mnie stróżów prawa i tatusia za jednym zamachem. Pod pretekstem dyplomatycznej rozmowy zwabiłem do swojego mieszkania Ezequiela Chaleco. U mnie zachowywał się w sposób niepoprawnie wręcz ostrożny: nie wszedł do łazienki, by umyć ręce, nie ośmielił się wziąć czegokolwiek do ust i nie zaoponował, gdy rozchyliłem na oścież okno, pozwalając lodowatemu powietrzu jeżyć włoski na jego rękach, okrytych jedynie cienką koszuliną. Mnie jednak wystarczyło, że usiadł na najnowszym gadżecie mojej produkcji: krześle, którego poręcze wyginały się i zakleszczały się na siedzącym, gdy ten podrywał się, chcąc wstać od stołu. Nie upłynęło pół godziny, nim miałem Ezequiela Chaleco schwytanego jak rybę na haczyk.

Ignorując żalosne pojękiwania, ostrzygłem go tanimi nożyczkami z kiosku, by jego włosy były tej samej długości co moje i nałożyłem mu jedną z moich koszul. Następnie, nie bez trudu, wciągnąłem go spętanego na parapet. „Wiedz, głupcze, że Hector jest moim synem, najinteligentniejszym człowiekiem świata i że robisz ludzkości przysługę, znikając raz na zawsze z jego życia” – wycedziłem na pożegnanie, po czym jednym ruchem rozwiązałem więzy i zepchnąłem go z szóstego piętra. Ezequiel Chaleco zleciał dokładnie tak, jak to sobie uprzednio wyliczyłem, czyli przodem ciała uderzył w beton. Jego twarzoczaszka została doszczętnie zmiażdżona, a co się z tym wiąże, powierzchowność trupa nie pozostawiła żadnych wątpliwości, że to ja, Diogenes Ganzúa, straciłem życie w wyniku skoku samobójczego z własnego mieszkania. O żonie mojej ofiary, Matilde, oczywiście nie zapomniałem. Zostawiłem jej treściwy liścik podpisany nazwiskiem Ezequiela, w którym opisałem, jak przepełniony nienawiścią zepchnąłem Diógenesesa Ganzúę z parapetu jego mieszkania, po czym uciekłem daleko, daleko, w głąb Rosji, aby tylko oddalić od siebie ewentualne podejrzenia. Tak niewiele wystarczyło, by uśpić czujność tej głupiej kobiety. Czekwała cierpliwie na swego księcia na rumaku aż do końca swoich dni. Zwinąłem się ze swojego mieszkania, uprzątnąwszy wcześniej wszelkie ewentualne poszlaki. Świadom, że w opinii publicznej zniknąłem ze świata żywych, zmuszony byłem wskoczyć w przebranie i rozpocząć koczowniczy tryb życia, aż do czasu znalezienia jakiejś kryjówki. Zaopatrzywszy się w sztuczne, acz bardzo

sugestywne owłosienie twarzy, przysiadłem na chwilę na ławeczce na skrzyżowaniu Carrer dels Tallers z Les Rambles, by rozważyć, gdzie też się mogę podziać przez najbliższe dni. Ten czyn był jednym z większych błędów mego życia. Ponieważ nie miałem gdzie się podziać ani przez najbliższe dni, ani kiedykolwiek, ławeczka stała się moim domem, a prawdziwa broda urosła tak, że mogłem odczepić sztuczną. Stałem się zwykłym żebrakiem łkającym jak nisko upadł najinteligentniejszy człowiek na świecie i spędziłem w ten sposób mnóstwo lat, a powodem mej nędzy nie był brak pieniędzy, lecz wycieńczenie psychiczne, rozpacz, skrajna desperacja. Każdego dnia żłobiłem igłą na drewnianej poręczy ławeczki jedną kreskę jak więzień. Nigdy jednak nie policzyłem ich, bojąc się zwyczajnie świadomości, ile czasu już zmarnowałem, siedząc na skrzyżowaniu Carrer dels Tallers z Les Rambles. Straciłem już nawet siły, by próbować uprowadzić Hectora. Nie miałbym szans zapewnić mu warunków życia koniecznych do maksymalnego wykorzystania siły jego umysłu. Musiało upłynąć parę ładnych lat, kiedy tak wdychając odór rzuconej na nasz ród klątwy, toczyłem żywot nędzarza, bo pewien przechodzień, który przystanął na mój widok któregoś jesiennego dnia, nie był już owym maluchem, z którym grałem w szachy bez szachownicy. Przykuły jego uwagę moje oczy. „Znam pana” – powiedział ze zdecydowaniem większą śmiałością niż dzieciaki zwykle są zagadywać ulicznych żebraków. – „Na pewno pana znam, ale nie mogę sobie przypomnieć skąd”. „Przecież ty, Hectorze, pamiętasz wszystko” – słowa te wydobyte z

gąszczu mojej brody były chrapliwe i kulawe, czego można było się spodziewać po pierwszej wypowiedzi od tak wielu lat. „Potrafisz spamiętać niekończący się ciąg cyfr i nie możesz się nadziwić, że twoi rówieśnicy muszą siedzieć godzinami nad książką, by nauczyć się na pamięć wiersza”. Chłopiec podszedł bliżej wyraźnie zaciekawiony. „A więc pan też mnie zna” – przyglądał mi się badawczo. – „Ale kim pan właściwie jest?” Tego jednak nie mogłem mu zdradzić w obawie, że podzieli się ze swoją matką moją tajemnicą i wtedy świat dowie się, że żyję. „Dziś nie mogę ci tego powiedzieć, Hectorze, ale jeśli obiecasz, że codziennie będziesz tędy przechodził i ze mną rozmawiał, któregoś dnia zdradzę ci mój sekret”. Roześmiał się z dziecięcą prostotą. „To akurat mogę panu zagwarantować, od dzisiaj chodzę tutaj” – wskazał na poszarzały budynek, widoczny doskonale z mojego ówczesnego miejsca zamieszkania. – „Do szkoły, a mój dom jest na samym koniuszku tamtej ulicy”. Do szkoły, zachlipałem gorzko. Najinteligentniejszy człowiek świata musi się mieszać z motłochem, chociaż mógłby w tym czasie konkurować z największymi mózgami w dziejach! Niemal jednocześnie pomyślałem jednak, że skoro poszedł do szkoły, to musi mieć siedem lat, mimo że wygląda na znacznie więcej. I nagle oświeciło mnie, jaki to cud, że żyje: zdrowy, silny, dopieszczony, kochany przez matkę i że spełnia pokornie wszystkie cholerne wymogi konieczne, by przebić się przez pospólstwo, uzyskać renomę i moc po raz pierwszy od dziewiętnastu pokoleń zrobić coś dla świata! „Uczę się grać na wiolonczeli” – dodał, a wówczas słońce zaszło za

chmury. - „I kiedy będę już robił to dostatecznie dobrze, mogę stawać tu i grać, by ludzie wrzucali dla pana pieniądze”. Zerknął do koszyczka, z którego smętnie wзираła pojedyncza moneta. Hector dorzucił drugą monetę. To już było nie na moje nerwy. „Twoja mama jest tylko śpiewaczką!” Splunąłem niemalże, próbując panować nad emocjami. „A twój tata jest daleko poza domem. Nie powinieneś marnować pieniędzy, których wam pewnie brakuje!” Ale chłopiec uśmiechnął się z niepokojącą pewnością siebie. „Moja mama nie jest byle jaką śpiewaczką. Moja mama czaruje dźwiękiem, dlatego ludzie ją kochają. Zawsze śpiewa główne partie w operach, w Gran Teatre del Liceu. Kiedy ja będę dorosły, będę muzykiem w Liceu tak samo jak mama, tyle że ja będę grał na wiolonczeli” - wskazał na czarny pokrowiec na swoich plecach, po czym skinął na odchodnym i ruszył w głąb ulicy. Został mi wymierzony policzek, policzek od niego i od tej jego, pożałuj Boże, matki. Spłodziłem go przecież po to, by wykorzystywał potęgę swojego umysłu, by rewolucjonizował świat, wojując mózgiem, by wyrwał z korzeniami drzewa z dżungli prostactwa i głupoty, umożliwiając promieniom światła przedostanie się do ludzkości. Miał na to wszystko wysmienite warunki, klejnot tak rzadki w naszej rodzinie! On jednak, bezczelny zdrajca, zamierzał zmarnować to wszystko i zostać głupim grajkiem, żalonym kuglarzem! Wiedziałem, że są to skutki działania klątwy, która u schyłku piętnastego wieku została rzucona na ród Ganzúa. Wówczas najzacniejszy jego przedstawiciel, Wenceslao Ganzúa, na

którego Ferdynand V Kastylijski nałożył karę śmierci za publiczne podważanie jego autorytetu, wymigał się od kary ścięcia głowy, zabierając się, jako wybitny znawca mapy, na karakę Santa Maria płynącą w poszukiwaniu nowej drogi do Indii. Gdy załoga zawinęła po roku dryfowania po morzach i oceanach do portu w Palos, wszyscy jej członkowie z Christopherem Columbusem na czele relacjonowali w ekscytacji witającemu ich ludowi, że Ocean Atlantycki wcale nie prowadzi do czarnej otchłani niebytu, lecz do obfitujących w cenne przyprawy, rośliny i kruszce Indii. Wówczas Wenceslao Ganzúa - pierwszy w naszej rodzinie właściciel nieporównywalnie potężniejszego od reszty śmiertelników mózgu - ośmielił się rzec, że jego zdaniem, jako najwybitniejszego kastylijskiego znawcy mapy, dopłynęli nie do Indii, ale na nowy, nieznaną kontynent. Jak można się domyślić, po wypowiedzeniu tych słów zapanowało powszechne zgorszenie, a Wenceslao błyskawicznie został wezwany przed tron pary królewskiej. Mój praprzodek z nie mniejszą pewnością siebie przedstawił i udowodnił swoją śmiałą teorię przed Ferdynandem i Izabelą, jednak darzący go nienawiścią za wcześniejsze przewinienia król zdecydował, że za wygłaszanie tak absurdalnych teorii ma go spotkać kara śmierci. Jakby tego było mało, Kościół nałożył na Wenceslao ekskomunikę, a następnie zatroszczył się, by poniósł śmierć na stosie pośród podobnych mu heretyków. Na parę minut przed jego oddaniem się ognistym płomieniom jedna z czarownic odwróciła się w jego kierunku. „Na twoim rodzie zaciążyła klątwa, biedaku. Przez

dwadzieścia najbliższych pokoleń wszystkie żywioty będą przeciwne wyrywaniu przez was świata z ciemnoty” – powiedziała, nim wyzionęła ducha. Słowa te miał usłyszeć przypadkowo syn Wenceslao, Cosme, który włączył je do bogato opisanego życiorysu ojca przekazywanego potomkom. Na przestrzeni wieków każdy z rodu Ganzúa dopisywał do spisanych przez Cosme dziejów biogram swego ojca tak, by następne pokolenia miały dowód na to, że klątwa faktycznie działa. Tym sposobem ja mogłem przeczytać, w jaki sposób na drogach wszystkich genialnych przedstawicieli naszego rodu stawały rozmaite przeszkody: Cosme świadom ciążyącej na rodzie klątwy doszedł do wniosku, że nie ma po co żyć, skoro i tak nic mu się nie uda, popadł w chorobę psychiczną i popełnił samobójstwo; Ptolomeo został zjedzony w nocy przez myszy, które zamieszkały w jego domu, gdy ten zajęty był szukaniem szczepionki przeciw gruźlicy; Ambrosio w przeddzień przedstawienia światu energii elektrycznej poznał księdza, który rozmiłował go do szaleństwa w Chrystusie i spowodował, że wstąpił do zakonu; Ocatavio Starszy zjadł za dużo duszonych grzybów podczas obiadu z Filipem II Habsburgiem, któremu miał zademonstrować balon na ogrzane powietrze; mój ojciec został zamordowany przez żonę jako zwykły producent gadżetów; ja opuściłem łono morderczyni, by zostać żebrakiem; a Hector w wieku siedmiu lat zdecydował, że zostanie anonimowym członkiem orkiestry. Postanowiłem wyplenić z mojego syna zainteresowanie muzyką dzięki użyciu subtelnej sztuki perswazji, nie zaś siły. Bym jednak mógł na niego jakkolwiek

oddziałać, musiałem wpierw puścić w niepamięć feralne pierwsze spotkanie i pozyskać jego zaufanie. W tym celu prosiłem go, by jak najczęściej przychodził i opowiadał mi o sobie: „Moje życie jest takie nudne” – mówiłem mu codziennie. – „Zupełnie jakbym był na statku i nie robił nic innego, tylko stał przed burtą i obserwował fale morskie. Tyle że w rzeczywistości siedzę przed barierką odgradzającą chodnik od ulicy i obserwuję morze jednakowych ludzi. To okropne. Opowiadaj mi o sobie, bym mógł pożyc chociaż przez chwilę twoim radosnym życiem”. Całymi latami relacjonował mi z dokładnością kronikarza każdy dzień swojego krótkiego życia. „Uciekłem dziś z lekcji, żeby pomóc mamie kolegi odczytać napisany po norwesku list. To znaczy, uciekłem z lekcji, żeby przeczytać ze słownika jak najwięcej słów w tym języku, a po lekcjach wszystkie tak dobrze trzymały się mojej pamięci, że odszyfrowałem list bez problemu...” Mijały tygodnie. „Byłem dziś na *Godzinie hiszpańskiej* w Liceu, moja mama śpiewała główną rolę...” Mijały miesiące. „Grałem dziś ze szkolną orkiestrą fragment mszy h-moll Bacha...” Mijały lata. „Jestem dzisiaj taki dumny, pan Salazar powiedział, że jestem wybitny...” Pan Salazar? Pan Salazar??? Nowa postać wkradła się w jego monolog, gdy był już czternastoletnim młodzieńcem. Jaki znów pan Salazar? Byłem wzburzony. Samo wspomnienie tej przebrzydłej kreatury, Antonia Salazara, powodowało u mnie odruch wymiotny. Zapomniałem ci wspomnieć, Feliksie, że ten obrzydliwy typ z duszą artysty, ten głęboko wrażliwy na rzeczywistość, ten pajac i obibok, u którego stacjonowałem

przeszło pięć lat, dopuścił się na moich oczach haniebnego czynu: wdał się w romans z pokojówką Teodorą! Jak on śmiał, rozpustnik jeden, też mi dusza artysty, co to nawet do pięciu zliczyć nie potrafi, byłem zdruzgotany, nie mogłem uwierzyć własnym oczom, jak tak w ogóle można... „Pan Salazar uczy mnie od miesiąca gry na wiolonczeli...” - odpowiedź Hectora utwierdziła mnie w przekonaniu, iż jego wspaniały pan Salazar był tym samym zwyrodnialcem, którego miałem nieszczęście spotkać na swej drodze przed laty. Z trudem tłumiliem w sobie nową falę gniewu: „Czemu, do diabła, tak cię interesuje ta wiolonczela?” - zmieniłem front, nie chcąc wchodzić na temat rozczarowań mojej młodości. „Nie oczekujesz czegoś więcej od życia? Jesteś nieprzeciętnie inteligentny, ba, powiedziałbym nawet, że jesteś jedyny na miliony miliardów! Chcesz się zmarnować?” - zapytałem. Hector roześmiał się, ale już bez tej dziecięcej prostoty, z którą wypowiadał się lata temu jako brzdąc. „Ależ to nie jest marnowanie się! Kiedy gram na wiolonczeli, czuję się tak niewymownie przyjemnie! Muzyka jest jak magia: rytm pobudza serce, melodia duszę. Ja wprost uwielbiam grać! Nie rozumiem, po co miałbym robić coś, co nie sprawia mi radości, a co jakiś szalony starzec, z całym szacunkiem dla nieprzeciętności jego umysłu, raczył uznać za niemarnowanie się”. Jego ostentacyjnie zimny ton rozzłościł mnie na dobre. Wciąż jeszcze jednak zdołałem nie podnosić głosu. „Tylko ty masz przyjemność z tego, że grasz na wiolonczeli. Nie wolno być egoistą. Świat potrzebuje twojego umysłu, twoich genialnych odkryć, twoich innowacyjnych

rozwiązań. Ludziom mogłoby się żyć lepiej, gdybyś tylko zechciał oddać się nauce, a nie kuglarstwu”. Hector był bardzo silnie przywiązany do głupot, które wpajała mu matka. „Czy świat naprawdę potrzebuje odkryć i innowacyjnych rozwiązań? Czy ciągłe modernizacje stanowią linię, po której człowiek powinien piąć się do szczęścia? Nie sądzę. Rozpacz jednostki w dzisiejszym świecie ma swoje podłoże w przyjmowaniu roszczeniowej postawy i w braku pokory. Gdyby tylko ludzie, wracając do domu z pracy, zamiast gderać: Och, dlaczego jeszcze nie wynaleźli maszyny, dzięki której można się teleportować, a ja muszę marnować godzinę mojego cennego czasu na transport?, postanawiali sobie: Jeżeli mi tak zależy na tej jednej godzinie, to muszę dać z siebie wszystko, żeby ją zaoszczędzić, dlatego od dzisiaj codziennie będę wstawał z łóżka o godzinę wcześniej, społeczeństwo byłoby szczęśliwsze. Uśmiech, pokora oraz uczciwość w małych i przyziemnych sprawach to klucz do harmonii w świecie. Nawiasem mówiąc... mam coś dla pana. *Carmen* Bizeta. Na pewno pan słyszał o tej operze. Śpiewam w chórze chłopięcym, to mój pierwszy raz na scenie Liceu i być może, chociaż bardzo bym tego nie chciał, ostatni. Mam darmowy bilet na dzisiaj, na dwudziestą, zależy mi, by pan poszedł. Może przestałby się pan dziwić, za co kocham muzykę”. Propozycja wydała mi się śmieszna, więc oczywiście odmówiłem: „Nie mogę. Zobacz, w jakim jestem stanie, śmierdę jak knur, a wyglądam jak jaskiniowiec. Nawiasem mówiąc... Bredzisz, chłopcze, zupełnie jakbyś był

indoktrynowany przez Kościół. Czy i do tej zastojoyej instytucji przylepiła cię matka, chcąc cię uchronić przed rozwinięciem skrzydeł?”. Chłopiec wbił się w moje źrenice spojrzeniem tak ostrym, iż poczułem, jak wnętrzności mojej czaszki wypływają przez oczodoły. „Tak. Mama pokazała mi wiarę i wiolonczelę, dwie najcenniejsze rzeczy w moim życiu. Wiolonczela wskazuje kierunek, w którym ma zmierzać moja egzystencja na odcinku ziemskim, a wiara jest kompasem dla jej całokształtu”. Miałem ochotę go rozszarpać. „Czy ty wiesz, że boży słudzy spalili na stosie twojego wielkiego praprzodka, Wenceslao Ganzúę za to, że jako jeden z nielicznych był w stanie wyrwać świat z ciemnoty?” Jednak wobec okoliczności, w jakich się ze sobą widywaliśmy, musiało to zabrzmieć jak splotzone przez przeżarty alkoholem mózg banialuki. „Nie wiem, o czym pan mówi, ale sądzę, że nie ma aż takiej potrzeby przyczyniania się do postępu technicznego świata i dawania tym samym wygodnickim z natury ludziom podłoża do jeszcze większego rozleniwienia. Zamiast tego należy wymagać maksimum od siebie, jako od człowieka, bez względu na panujące realia. Robić małe dobre rzeczy, nawet jeśli nikt miałby się o tym nie dowiedzieć. Być właśnie tym, który mówi, że jeżeli potrzeba mu dziennie jednej godziny więcej, to będzie wcześniej wstawał z łóżka. Albo tym, który mówi, że codziennie styka się ze swoim ojcem: gwałcicielem, mordercą i demoralizatorem łudzącym się, że występuje incognito; ale zamiast ciągać go po sądach, próbuje zdobyć się na szacunek i zrozumienie. Nawiasem mówiąc... Ma pan

ochotę pójść na *Carmen*?”

ROZDZIAŁ VIII

Stowarzyszenie Walki z Ogórkami

- Jedynym, na co miałem ochotę po usłyszeniu tej wypowiedzi, było schowanie głowy głęboko w piach. Smarkacz wyznał mi oto bowiem między wierszami, że rozgryzł moją prawdziwą tożsamość, nim ja zdążyłem go nawet o to podejrzewać. Cóż za upokorzenie! Cóż za wstyd! Trzeba ci wiedzieć, Feliksie, że nasza relacja była w rzeczywistości jedną wielką rywalizacją umysłową. Nie wspominaliśmy oczywiście jawnie o tym, że słowa, którymi w siebie ciskamy, są tak naprawdę orężem mającym za zadanie doprowadzić do tryumfu nad przeciwnikiem, ale skrupulatnie odnotowywaliśmy nasze zwycięstwa i porażki w pamięci. Tę rundę zwyciężył on. Punkt dla ciebie, Hector, punkt dla ciebie. „Dobrze, Hectorze, pójdę na *Carmen*”. Z wyraźną trudnością odkleiłem się od miejsca, do którego przyssany byłem wieloletnią warstwą brudu. „A to co w nawiasie, niech się zredukuje”. „Wie pan, gdzie jest Liceu, prawda?” Pokręciłem głową z nieukrywanym wstrętem. Nie interesowała mnie lokalizacja wylęgarni jakichś dwudziestowiecznych wagantów i innych cwaniaczków. „Kawałek trzeba przejść”. Dałbym głowę, że radość Hectora spowodowana była bardziej moją porażką w naszej potajemnej grze aniżeli informacją, że niniejszym wybieram

się do opery. „Zaprowadzę pana pod drzwi wejściowe, a sam wejdę do garderoby przebrać się w kostium, dobrze?” Nie zamieniwszy już ze sobą ani słowa, dotarliśmy pod budynek Gran Teatre del Liceu. Tam Hector zostawił mnie na pastwę tłumu dystyngowanych damulek wtulonych w szerokie bary wąsatych amantów. Jakim upokorzeniem było czuć na sobie te pogardliwe spojrzenia pożółkłych gałek ocznych zamaskowanych tuszem do rzęs, widzieć te wzdrygnięcia trzęsących się od tłuszczu nadgarstków przyodzianych w atlas, powodowane moim smrodem! A śmierdziałem włóczęgą i niepranymi gaciami miliard razy gorzej niż na ulicy. „I co z tego, że śmierdzą, i co z tego, że śmierdzą” – myślałem sobie. „Gdyby intelekt człowieka przekładał się na jego wygląd i zapach, wówczas to oni musieliby ugrząść we wstydzie na całe życie”. Na niewiele jednak zdały się moje gorliwe zapewnienia. Wciągnięty w wir pięknych, eleganckich ludzi, poczułem się intruzem zaburzającym wszechobecny ład i harmonię. I wówczas dokonało się we mnie coś zgoła nieoczekiwanego, coś, czego nie jestem w stanie sobie wyjaśnić do tej pory. Zapragnąłem, mimo mojej najwyższej pogardy dla próżniactwa i ukrytego pod fałdami muślinu bezmózgowia, upodobnić się wizualnie do ludzi, którzy z dumą określają się mianem cywilizowanych. Być może ta niewierność moim ideałom i uległość normom wyznaczanym przez prostaków spowodowana była pięcioletnim wyposzczeniem od życia w świecie; być może zaś u jej źródeł leżał chwilowy, bolesny afekt, którego doznałem, znalazłszy się pośród świątyni wytworności.

Jakkolwiek by było: uległem. Moją najbardziej palącą potrzebą stało się odświeżyć swój wizerunek, bez powracania jednak do wizerunku Diogenesa Ganzúi, który w opinii publicznej nie żył. Chciałem przemienić się w arystokratę. By zdobyć środki materialne na tę zewnętrzną przemianę, dopadłem grubego fana opery, który zziębnięty biegał między wystrojonymi laleczkami, pytając, czy nie mają ochoty sprzedać mu biletu za podwójną stawkę. Zaczepiłem go z propozycją dobicia targu, dzięki czemu spojrzał na mnie jak na nieświeżą rybę o dziesięć sekund krócej, niż czynili to inni. Tuż po tym incydencie gnałem Ramblą przed siebie w poszukiwaniu jakiegokolwiek salonu kosmetycznego, wymachując ochoczo czterystoma peset. Po dosyć długim spacerze zza drzew kusząco wyłonił się szyld salonu piękności Mesdames Aliciente, opatrzony wizerunkiem blondynki o rozchyłonych namiętnie ustach. Wszedłem, licząc, że po godzinie będzie ze mnie coś na wzór owego widniejącego na szyldzie paradygmatu piękna. W głębi mało zachęcającego pomieszczenia siedziała, niczym stary, gruby kocur, nieprzyjaźnie wyglądająca baba. „Valeria Aliciente do usług” – pokłoniła się przede mną niezgrabnie, po czym nagle odskoczyła jak oparzona. „Och, pana brwi!” – jęknęła na mój widok. „Psują całokształt pana iście doskonałej aparycji!!! Proszę mi pozwolić na zrobienie im paru takich fików-mików...” Nie spodobał mi się wynik tej ekspertyzy. Cały niewiele się różniłem od szczura ściekowego, podczas gdy jedynie brwi, które odziedziczyłem w spadku po wielkim Venceslao Ganzúi, wciąż lśniły metalicznym blaskiem,

przywodząc na myśl mojego wielkiego pradziada. „Proszę pani” – powiedziałem stanowczo. – „Mam tu całe czterysta peset. Proszę za tę kwotę przemienić mnie całego od stóp do głów w dystyngowanego księciunia. Z wyjątkiem brwi. Te kocham takie, jakimi są”. Madame Valeria zmrużyła swoje wąskie, żółtawe oczy, a gruba warstwa makijażu spłynęła strumieniem na podłogę pod wpływem łez. „Niestety, proszę pana” – powiedziała drżącym głosem. – „Ja umiem robić tylko brwi. Nic więcej... Nie! Proszę czekać, ja to panu wytłumaczę! Ja panu powiem, dlaczego to tak... Widzi pan, rozkręciliśmy ten biznes dawno temu, z siostrą, tą ładną dziewczyną z szyldu, za spadek po naszych rodzicach, którzy zginęli w katastrofie lotniczej. Laura nie dość, że sama była piękna, to jeszcze umiała robić tak, żeby inni byli piękni, pomimo że ona zupełnie nic nie widziała. Była, nazywając rzeczy po imieniu, ślepa jak kret, a przez to pozostałe jej zmysły, w tym zmysł dotyku tak istotny przy rozprowadzaniu wszystkich tych kremów, były bardziej wyostrzone niż u normalnego człowieka. I to ona obsługiwała klientów, a ja byłam kopciuch od zamykania podłogi i wyrzucania pustych flakonów. Tylko jedną rzecz umiałam robić. Posiadając wyjątkowo krzaczaste, szkaradne brwi, zupełnie niechcący opanowałam do perfekcji, ćwicząc wciąż na własnej twarzy, ich regulację. I tylko to mogłam oferować klientom, resztę robiła Laura. Potem nagle ona, piękność nad pięknościami, wyjechała robić karierę w Hollywood. Tak, tak, to była jesień osiemdziesiątego ósmego, kiedy zostawiła mnie, tę brzydką, tę od brwi i od sprzątanania, samą! Zostawiła też, notabene,

swojego męża, który zdesperowany zupełnie się stoczył, stał się nikim więcej niż bezdomnym brudasem. Prawie nikt nie przychodzi od tego czasu do mojego salonu. Zarabiam tak mało, że nie mam nawet pieniędzy, by zmienić szyld. Wie pan, wyciąć twarz Laury, którą umieściliśmy tam dawno temu jako tę bardziej no wie pan... medialną; wstawić zamiast tego moją i dopisać, że ja się tu zajmuję tylko brwiami. Wtedy może więcej ludzi by tu przychodziło..." Zafrasowałem się niemało, bo historia sióstr przypomniła mi o ustawionej przez głupich, próżnych ludzi zaporze, która i mnie nie pozwalała czegokolwiek zdziałać. „Cóż za świat...” - rzekłem ze współczuciem. - „Czy to dobrze urodzeni, czy to urodziwi, mają zawsze otwarte wrota do swobody materialnej i mogą sobie pozwolić na renomę. Tacy ludzie, jak my, nigdy nic nie zdziałają, cholera”. „Dokładnie” - Madame Valeria, widząc moje zainteresowanie jej niedolą, zaczęła na nowo nakładać swój paskudny makijaż. - „Laura, och Laura, oczko w głowie rodziców, wszyscy na nią zwracali uwagę. Blond włoski, talia osy i zawsze uśmiechnięta. I do tego taka biedna, taka nieszczęśliwa, taka niewinna... I tylko dzięki temu jej się tak w życiu udało. Bo rozumu to za grosz, o, za grosz! Kiedyś, jak byłyśmy jeszcze dziewczynkami...” Sytuacja powoli zaczynała wymykać się spod kontroli. „Yyy... Mogę skorzystać z toalety?” - spytałem, czując, że mój pęcherz powoli zaczyna przypominać w swoim rozmiarze balon lotniczy. „Jasna sprawa”. Madame Valeria nie przejęła się zbyt tym niezbyt grzecznym wytrąceniem jej z toku narracyjnego. „Tylko proszę nie wchodzić do środkowej

kabiny, bo tam nie ma obecnie muszli”. Po raz pierwszy od pięciu lat otworzyłem drzwi toalety: było to, nie powiem, przeżycie zgoła transcendentalne, znaleźć się oko w oko z prawdziwie kulturalnym sedesem z prawdziwie kulturalną spłuczką i prawdziwie kulturalną szczotką klozetową. Po oddaniu się rozkoszy mikcji z czystej ciekawości otworzyłem drzwi środkowej, zakazanej kabiny, gdzie – jak rozsądnie przestrzegła mnie Madame Valeria – nie było muszli klozetowej. Zamiast tego w ścianie wyrębana była potężna dziura otwierająca widok na przestronne mieszkanie, którego właściciel najwyraźniej zaczął je urządzać, ale z jakichś przyczyn cisnął tę robotę w diabły i nie dokończył. Zwróciłem uwagę, że ułożone do połowy płytki podłogowe były w kolorze lapis-lazuli, wyjątkowo modnym we wrześnie osiemdziesiątego ósmego; a zatem, podążając za moim tokiem rozumowania, osoba, która zaczęła meblować kupione mieszkanie, dokonała tego wszystkiego jesienią osiemdziesiątego ósmego, innymi słowy była tą osobą siostra Madame Valerii, Laura. Jeżeli mieszkanie przez tyle lat stało nieużywane, Madame Valeria musiała ludzić się, że Laura powróci, by wznowić urządzenie wnętrza, a ta przecież nie miała po co wracać, skoro toczyła bajeczny żywot w swoim eldorado! Poczułem, jak powoli tracę kontrolę nad moimi gruczołami ślinowymi, świadom, jak niewiele brakuje, by niezagospodarowana przestrzeń mogła posłużyć mi jako kryjówka, i bym raz na zawsze mógł porzucić przebranie żebraka, znikając z pola widzenia barcelończyków. Poskromiwszy psi odruch, jakim jest wywalanie języka na

trzydzieści centymetrów w akcie zachwytu, opuściłem toaletę, po czym powściągając wciąż jeszcze widoczną euforię, z cierpkim uśmieszkiem dandysa zagadnąłem Madame Valerię: „Z ciekawości odwiedziłem środkową ubikację i zjrzałem przez dziurę w ścianie. Cóż to za mieszkanie, tam wewnątrz? Pani tam mieszka?”. Machnęła ręką. „Och, nie, tam kiedyś miało być mieszkanie Laury. Laury i jej męża”. – Zajęła się strząsaniem puszek z poręczy swojego fotela. – „Ale ona się wyniosła do Stanów, on, zupełnie załamany, zszedł na manowce, widziałam go raz w szynku jakimś, to zalany był, że hej, potem wypadek chyba jakiś miał, bo nikt go już później nie widział, i mieszkanie zostało w takim właśnie niedokończonym stanie. Początkowo planowaliśmy, że ich kibel będzie sąsiadować przez ścianę z kibelem naszego salonu piękności, no ale montowanie obydwu kibli zostało przerwane, kiedy właśnie Laura, dostrzeżona przez jakiegoś tam reżysera w reklamie serka topionego, dostała propozycję pracy w Hollywood. I teraz jest dziura, taka to historia”. Postanowiłem udawać głupiego: „To czyje jest teraz to mieszkanie?”. Na szczęście Madame Valeria z taką werwą ścierała puszek z poręczy fotela, że nie dostrzegą w wilczego głodu w moich oczach. „Niczyje... Czeka na jej powrót... Na powrót Laury... Chociaż ona pewnie nie wróci, co? Nie wróci?” Potrząsnąłem głową. „To ja nie wiem, proszę pana, naprawdę, nie wiem czyje, może nawet i moje?” No, no zatarłem łapki, przyszedł czas wyłożyć kawę na ławę. „I nie sprzeda go pani?” Madame Valeria uśmiechnęła się zawadiacko, pukając się palcem w czoło.

„A któż by, proszę pana, choćby i za darmo chciał mieszkanie, do którego wchodzi się przez... przez kibel?” To wystarczyło, bym rzucił się jak lew na antylopę. „Na przykład ja” - wypaliłem. - „I to nawet nie za darmo. Za całe czterysta peset. Mogę pani je dać do ręki. O, proszę. Kupi pani sobie nowy szyld”. Madame Valeria wyszczerzyła swoje szerniałe zęby w uśmiechu tak szerokim, że cały makijaż znowu zleciał na podłogę. „Naprawdę? - wykrzyknęła wniebowzięta - ojej, cóż za szczęśliwy dzień, taka oferta!” Chuchnęła na plik banknotów. „Może pójdę za te pieniądze na kurs manikiuru? Może pedikiuru? Może nauczę się nakładać makijaż tak, żeby nie spadał ciągle z twarzy? Istny łut szczęścia, dobry Boże! Może mam dla pana jeszcze coś zrobić? Chce pan, żebym oprowadziła pana po nowym mieszkaniu? Albo zapoznała pana z nowymi sąsiadkami? Señora Antonina i señora Florentina to naprawdę urocze kobiety...” „Na razie oprę się tym pokusom, madame Valerio” - wykręciłem się uprzejmie od wątpliwej przyjemności spędzenia upojnego wieczoru w towarzystwie señory Antoniny i señory Florentiny. Wszak oto mieszkanie moich marzeń: przestronne, niedostępne, a co najważniejsze ukryte przed całym światem, należało do mnie! „Na razie pójdę po mojego synka”. Uradowany wizją skrycia się w głębi niedostępnego nikomu pomieszczenia, przemknąłem w mgnieniu oka Ramblę. Pod gmachem Liceu znalazłem się akurat w momencie, kiedy horda elegancików opuszczała budynek, deliberując zaciekle na temat wykonania arii *Quand je vous*. „Nie przyszedł pan” - wyrzucił mi Hector, który tak bardzo się śpieszył z tym oskarżeniem,

że zapomniał zahaczyć o garderobę i zdjąć swój śmieszny kostium. „Sprzedał pan bilet jakiemuś grubemu wąsaczowi, który pewnie przed rozpoczęciem opery pytał, czy ktoś nie ma biletu do odsprzedania. Zwróciłem uwagę, że siedział na miejscu, które miał pan wpisane na swoim bilecie”. No proszę, jak zgrabnie wyartykułował to stojący naprzeciw mnie śmieszny czternastolatek w swoim śmiesznym kostiumie. Kolejny punkt dla ciebie, Hector! „Przepraszam, wstydzilem się, że tak to ujmę, doznań węchowych oferowanych przez moje ciało; chyba to rozumiesz. Tacy ludzie jak ja, którzy nie mogą za długo stać w jednym miejscu, bo brud sprawia, że przyklejają się do chodnika, raczej nie chadzają do opery”. Hector przyznał mi rację. „Kupiłem sobie mieszkanie za pieniądze z biletu, który od ciebie dostałem” – pochwaliłem się. – „Nadszedł czas na wydostanie się z marazmu!” Mój syn, pomimo rozczarowania moją postawą, wyglądał na zadowolonego z mojego sukcesu. „Bardzo się cieszę. Mogę panu przynieść z domu materac do spania”. „Nie trzeba, synu. Wystarczą mi latarka, zeszyt i ołówek”. Następnego dnia Hector dostarczył mi latarkę, zeszyt i ołówek. Zagnieździłem się w zimnym i pustym jak cela więzienna mieszkaniu i znów w swoim żywiole, bez chwili wytchnienia, projektowałem tysiące, miliony, miliardy urządzeń. Prosiłem Hectora, by dostarczał mi regularnie: magnesy, druty, szpilki, klej, śrubki, dziurawe garnki, odpadające klamki, stare temperówki i zwoje gumki do majtek. Wkrótce wytworzyłem tak wiele wynalazków, że moja dwukondygnacyjna, nieumeblowana przestrzeń była

doszczętnie zagracona. Przywołałem do siebie Hectora. „W nieużywanym dziś pokoju twojego mieszkania był kiedyś sklep z zabawkami twojego ojca, nawet został szyld. Może mógłbyś wystawić niektóre z moich projektów na ekspozycji, a nuż ktoś by je kupił? Pieniądze ze sprzedaży mógłbyś zachować dla siebie”. „W porządku” – zaskoczył mnie. – „Poza jednym. Pan potrzebuje pieniędzy znacznie bardziej. Wszystko, co tylko uda mi się zarobić, będę tu panu przynosił”. Pieniądze nie miały szans zrujnować moich planów tak, jak miało to miejsce na początku mojej kariery, więc nie zaproponowałem. „Weź wszystkie zabawki, czekam”. Niebawem Barcelonę obiegła wiadomość, że syn zbiegłego do Rosji mordercy, a przy okazji sprzedawcy zabawek okazał się, mimo bardzo młodego wieku, wykazywać niewyobrażalne zdolności. Podziwiać i nabywać jego prace zjeżdżali się ludzie z całego miasta... Ba! Z całej Hiszpanii! Hector zaczął sprzedawać prawa: do otwierania filii, do kopiowania pomysłów, do sygnowania czyichś produkcji swoim podpisem... Ja zaś nagromadziłem tyle bogactwa, że nie tylko mogłem wyskoczyć z podartych łachów i odświeżyć swój wygląd, ale i zmodernizować tę moją katakumbę. Własnymi rękami wyburzyłem strop, by uczynić foyer podobnym wewnątrz starogreckiej świątyni, a dziurę pozwalającą każdemu klientowi salonu Madame Valerii na poznanie sekretów mojego świata zakryłem dwoma sedesami przylegającymi do siebie tyłem, jak dzieciaki przy porównywaniu, kto jest wyższy. W ramach wyposażania mojego mieszkania zaopatrzyłem się również w radio.

Generalnie gardzę mediami jako głównym propagatorem schematyzmu myślenia, ale wychodziłem z założenia, że od kiedy Hector stał się znakiem firmowym moich zabaweczek, właśnie za pośrednictwem tych kabotyńskich dziennikarzyn będę mógł usłyszeć, jak tam mu się powodzi. Pamiętam, że był środek lata, gdy po raz trzeci pokusiłem się, by uruchomić owo urządzenie. Dwa pierwsze starcia: Ganzúa versus czarne pudło sony zakończyły się moją porażką, bo w końcu marca nadziałem się na transmisję meczu piłkarskiego: hiszpańscy konserwatyści przeciw hiszpańskim liberałom, którą zmuszony byłem wyłączyć, gdy natężenie owacji kibiców przekroczyło próg bólu, natomiast w okolicach 1 maja miałem zaszczyt stać się na dwie minuty słuchaczem audycji na temat wpływu zorzy polarnej na miesiączkowanie pingwinów. Do trzech razy sztuka, myślałem sobie, odpalając pudełko pod koniec lipca. Moje oczekiwania jednak po raz kolejny zostały sromotnie zawiedzione, gdyż tym razem spiker prowadzący wieczorne wiadomości bez pardonowo wyznał, że tego dnia na całym świecie nie wydarzyło się zupełnie nic. Ku mojemu zdziwieniu, powiedział dokładnie to samo, gdy nazajutrz nastawiłem wieczorne wiadomości. Tak było przez tydzień, a po jego upłynięciu, włączwszy radio na przypadkowej stacji, można było usłyszeć jedynie powtarzany bez końca komunikat: „Przepraszamy – sezon ogórkowy. Przepraszamy – sezon ogórkowy. Przepraszamy – sezon ogórkowy”. Ta osłabiająca znacząco budżet mediów sytuacja w mgnieniu oka spłodziła w moim umyśle iście rewolucyjny plan

pozwalający mi na jednoczesne sterowanie losami świata i wyrażenie buntu wobec realiów charakterystycznych dla nizin społecznych. Na parę chwil ponownie przyodziałem przebranie włóczęgi, po czym wyszedłem na miasto. Zgarnąłem do swojej siedziby najsilniej cuchnących żebraków rozsianych po ulicach Barcelony (w tym także pokłóconego z życiem męża Laury Aliciente, nad którym władza mogła mi dać pewność, że ani on, ani jego hollywoodzka żona nie przekroczą progu swojego starego mieszkania aż do mojej śmierci). Planowałem solidnie wesprzeć ich wszystkich materialnie za użyciem zgromadzonych bogactw, by stanęli na nogi, a w zamian zażądać wyświadczenia mi co jakiś czas drobnych przysług. Mógłbym wtedy podpisać pakt z mediami, na którego mocy, gospodarując moimi zatrudnionymi w różnych miejscach Barcelony pomagierami, planowałbym i realizował w naszym mieście zgoła abstrakcyjne, dziejowej rangi wydarzenia, które zapewniałyby mediom niewyobrażalny przyływ gotówki... Nie rozumiesz, Feliksie? Mechanizm działania naszego stowarzyszenia, które przyjęło wdzięczną nazwę „Stowarzyszenie Walki z Ogórkami”, jest bardzo prosty: mnie wpada do głowy pomysł na niesamowite zdarzenie, które mogłoby odbyć się w Barcelonie; rozpracowuję i opisuję co do szczegółu jego przebieg na miliardach kartek tak, by mój udział w nim pozostał tajemnicą po wsze czasy; następnie wzywam tych poddanych, których tożsamości są w stanie przydać się do realizacji planu, i żądam od nich odegrania opisanej przeze mnie roli; a po wypełnieniu misji upojone

gotówką media płacą mi bająnskie sumy pozwalające na dalszy rozwój stowarzyszenia i wzbogacanie go o nowych członków. Również i ty, Feliksie, musisz być od tej pory w stałej gotowości i twoja tożsamość portiera Mario Lombriza może mi się przydać w przyszłości. Pierwsze aranżowane przeze mnie akcje były mało skomplikowane, bo moich pracowników było niewielu i zajmowali stanowiska takie jak kontroler biletów, kasjer czy producent koszyków wiklinowych. Z czasem jednak moi podwładni zaczęli piąć się na coraz wyższe stanowiska, a liczba zatrudnionych wzrastała. Gdy wreszcie zgromadziłem dla siebie sto osób rozstawionych na różnych posadach w Barcelonie, zabraliśmy się za naprawdę fenomenalne numery: znikające łóżka w barcelońskich szpitalach, inwazja kosmitów w Badalonie, porwanie sióstr zakonnych z klasztoru żeńskiego Valldonzella... Och, to zaledwie skromna egzemplifikacja naszej konspiracyjnej działalności. Oczywiście wszystko to wygląda tak efektownie wyłącznie od strony publiczności, za kulisami niezmiennie pełno jest trudu i znoju. Konstruowanie planów wymaga ode mnie bowiem długich, wybiegających daleko w przyszłość przemyśleń i bezbłędnych obliczeń zapobiegających możliwości niepowodzenia jakiegoś detalu i niepozwalających na kres działalności stowarzyszenia. Mimo całej satysfakcji, jaką czerpałem z mojego nowego zajęcia, stale korciło mnie, by poprosić o wsparcie umysłowe Hectora, który już nie sprzedawał moich zabawek, zorientowawszy się, że pomoc przestała być mi potrzebna. Gdyby on zgodził się wesprzeć

mnie w konstruowaniu planów, stworzylibyśmy potęgę nie tylko na skalę Barcelony, lecz także na skalę całego świata! „Synu, może miałbyś ochotę mnie odwiedzić?” – spytałem go któregoś razu. Zgodził się, więc wkrótce ruszyliśmy do gabinetu kosmetycznego Madame Valerii. „Udało mi się nareszcie zrobić coś wielkiego. Jestem miliarderem” – pochwaliłem się po drodze. „Dalej produkcja zabawek?” – spytał mnie. Prychnąłem. Wyrosłem z zabawek. „Wyprodukowałem ich już tak dużo. Zresztą, zabawki, cóż to są zabawki, komu na co są zabawki? Moim powołaniem jest kreowanie takich rzeczy, które wstrząsnęłyby światem, które ludzie pamiętaliby po wsze czasy!” – wykrzyknąłem emfaticznie. „Cóż więc takiego pan robi?” „Ach... synu...” – pękałem przed nim z dumy pewien, że mu zaimponuję. – „Mam armię zatrudnionych w całej Barcelonie poddanych, którymi wprawnie sterując, aranżuję rozmaite zamieszki, żeby media miały z czego żyć. Mój umysł nie otrzymał warunków na to, by wykreować wielkie rzeczy dla świata w pozytywnym znaczeniu, a więc zająłem się kreacją rzeczy destruujących panujący w naszym mieście ład i porządek. Wiesz, Hektorze, skandale, katastrofy, zjawiska paranormalne, tego typu sprawy...” Kiedy mówiłem, twarz Hektora stopniowo przeobrażała się z zaciekawionej w rozeźloną. Już wiedziałem, że popełniłem błąd, od razu odsłaniając przed synem wszystkie moje karty, już wiedziałem, że się przeliczyłem, już wiedziałem, że Hector nie był osobą, której powinienem był zdradzać moje plany. „W takim razie żegnam pana i życzę powodzenia

w kształtowaniu dziejów Barcelony!” – odwrócił się na pięcie, nim jeszcze przekroczyliśmy próg salonu piękności Mesdames Aliciente, po czym na wiele lat zniknął z mojego życia. Jak bardzo pożałowałam zwrócenia się o pomoc do tego żalostnego piętnastolatka z zaburzoną hierarchią wartości! Mój geniusz był przecież wystarczająco potężny, by ogarnąć całokształt! Może i zupełnie błędne nie było przypuszczenie, że gdyby mój syn pomógł mi konstruować plany, byłyby one dwa razy ciekawsze, dwa razy zręczniejsze, przeprowadzone, na dwa razy wyższym poziomie, ale powinienem był wyeliminować tę ewentualność na starcie, gdyż on był wychowany w duchu miłości dla głupców i braku szacunku dla tego, co naprawdę cenne. Dlatego zresztą zginął tak, jak zginął. Nie będę jednak do tego wątku powracał. Dziś, Feliksie, dziesiątki tysięcy mieszkańców Barcelony rozsiadanych po przeróżnych stanowiskach są ze mną w zмовie. To znaczy, ja regularnie dostarczam im bogactw, których są tak bardzo żądni, a oni na każde moje skinienie wykorzystują wykreowaną przeze mnie tożsamość i odgrywają wyznaczoną przeze mnie rolę. Już dwudziesty dziewiąty rok, wykorzystując słabość i bezsilność mediów wobec braku trzymających w napięciu wydarzeń na świecie, reżyserujemy je sami rozstawieni w całej Barcelonie jako bezładna plątanina przypadkowych świadków. Nikomu nigdy przez myśl nie przeszło, że to, co przywykło się traktować jak rzeczywistość, jest w istocie szatańskim planem geniusza, diabolicznie bezbłędnym rozstawieniem pionków na planszy... Jednak moje życie nie jest tak szczęśliwe, jak by

się wydawało. Mimo że genialnie konstruowane przeze mnie plany faktycznie zapisują się na kartach światowych kronik, to wciąż nie jest to szczyt możliwości intelektualnych przedstawiciela rodu Ganzúa. Rzekłbym wręcz, że robię śmiesznie mało w stosunku do tego, co mógłbym robić. I niewiele brakowało, a byłbym skazany na żywienie się takim połowicznym sukcesem, na doświadczanie takiego niepełnego szczęścia, na działanie niczym prosty, pokorny, rzemieślnik do końca życia, a moje nozdrza do końca moich dni przenikałby swąd porażki intelektu u stóp ciemnoty. Tak by było, gdybym w momencie śmierci mojego syna nie odkrył skrętnie tajonego przez niego tyle lat faktu. Mam wnuczkę, Feliksie. Oto nadeszła nowa era w dziejach świata, nowa nadzieja zarysowała się na horyzoncie. Istnieje świeży, nienadpsuty, emanujący młodzieńczym wigorem i pulsujący nadprzyrodzoną inteligencją materiał, w którego żyłach płynie moja krew, a którego umysł rozpiera mój intelekt. Materiał rozpoczynający dwudzieste pierwsze pokolenie od czasu Venceslao Ganzúi. Pierwsze pokolenie wolne od klątwy. Do czegoż musimy się uciekać w obliczu porażki. Kobiecie przyszło uczyć świat myślenia.

ROZDZIAŁ IX

Wiolonczelista na dachu

Już parę minut po ucieczce z tego pandemonium gnałem jak wariat w kierunku domu Inocencii, w którym musiała mieszkać prawdopodobna spadkobierczyni potęgi umysłowej swoich przodków. Świadom, ile trudu musiał włożyć Mistrz, by tak długo taić istnienie córki przed jednym z największych geniuszy świata, chciałem wypełnić moją powinność względem niego, nie tracąc ani sekundy. Zacząłem już nawet wyobrażać sobie, że niczym dzielny ksiączę z bajki staczam krwawy bój z ogromnym, poczwarnym smokiem i wyzwalam z jarzma niewoli królową (która przy okazji może grzeszyć urodą i zostać moją małżonką), jednak po czwartym zderzeniu z tą samą latarnią uliczną na skrzyżowaniu Carrer de la Canuda z Rambla dels Estudis dotarło do mnie, że, niestety, ni w ząb nie pamiętam drogi do domu Mistrza na via de Saint Lluís.

Jak zwykle w akcie desperacji potruchtałem do oddalonej o sto metrów Churrerii i jak zwykle świetnie poinformowany właściciel sklepiku z ciastkami pomógł mi trafić na trop córki wiolonczelistki z Gran Teatre del Liceu. By zebrać myśli, musiał uprzednio odejść na chwilę i przegonić chuliganów, którzy rzucali kamyczkami w jego szyld, próbując trafić w ptaka skaczącego z litery „h” na „e” i z powrotem. Kiedy

nareszcie ptak usiadł na literze „a”, przez co wraz z chuliganami zniknął sprzedawcy z pola widzenia, szepnął mi do ucha:

- Przy Carrer de l'Arc del Teatre znajdzie pan stary budynek zwany dzisiaj Casa del Arte^[1], albo po prostu Casa de Locos^[2], który przed wojną stanowił miejsce spotkań emisariuszy partyjnych, a dziś obrócony w ruinę ściąga w swe mury najbardziej zdziwaczałych artystów Barcelony: malarze rezerwują sobie parter, wyżej działają poeci, Rómulo Escultor i jego warsztat zielonych figurek mieszczą się na drugim piętrze, a na samej górze odbywają się próby młodzieżowej orkiestry pod batutą Saturnina Caballo. O tej porze - spojrział na zegarek - z pewnością ją pan tam znajdzie.

Spośród najobskurniejszych i budzących najgorsze skojarzenia budynków, jakie kiedykolwiek widziałem, zdecydowanie najobskurniejszym i budzącym najgorsze skojarzenia był Casa del Arte. Schody, przez które przeprawa ukazywała panoramiczny obraz całego tego królestwa syfu, trzeszczały pode mną jak kruszony wafel, poręcz, na której niefortunnie położyłem dłoń, skropiona była ludzkim moczem, wizerunki nagich kobiet na ścianach uroczo wkomponowały się w pojedyncze ślady działalności kątników domowych, z pomieszczeń, które mijalem, dobywała się zatechła woń niemytego ciała, a artyści, na których natykałem się po drodze, wyglądali jak żywe repliki Frankensteina.

- Sztuka, chłopcze - poinformował mnie jeden z nich,

prezentując mi amforę uwalaną odchodami kozła – jest jak ekskrementy. Jakkolwiek byś się wysilił przy produkcji, ludzie i tak stwierdzą, że to gówno.

Gdy szedłem na górę, minąłem także emanujący zielenią warsztat Rómulo Escultora, który po poprzednich doznaniach węchowych wydawał się pachnieć akacjowym gajem, czeremchą i bzem. Korzenie bujnej roślinności wypełniającej wnętrze zdążyły już wrosnąć w ściany, podłoga wyściełana była malachitami, a na jedynym wolnym od liści skrawku ściany wisiało zdjęcie ślubne właściciela warsztatu, który z wyrazem upojenia na twarzy obejmował ciągnącą się smugę zieleni. Przyłapany przez Rómula na podpatrywaniu pokazałem mu pospiesznie wyprodukowaną przez niego figurkę wiolonczelistki, licząc po cichu na jego entuzjazm. Trochę się przeliczyłem z tym entuzjazmem, bo szalenie wyrwał mi gwałtownie mój brelok, bełkocząc pod nosem jakieś niezrozumiałe obelgi, i nigdy już nie odzyskałem mojej panienki z awentury.

Kiedy tylko pozostawiłem to kuriozum na pastwę samotności, mój węch pobudzony został przez kolejny z wachlarza aromatów przesiąkających Casa del Arte. Był to zapach imbiru. Rozdygotany z emocji dotarłem wiedziony magiczną wonią do ukrytych w głębi korytarza drzwi, które lekko pchnąłem. Pośród ciemności rysował się kontur mężczyzny siedzącego na bujanym fotelu. Gęsta broda lała się wzdłuż całego jego tułowia, a ramiona niemal dwukrotnie przekraczały szerokość oparcie fotela.

To był Czarnoksiężnik.

- Mistrzu! - wykrzyknąłem. - Więc pan żyje!

Przepełniony radością przekroczyłem ochoczo próg drzwi. Ledwie jednak poczyniłem parę kroków naprzód, dostrzegłem, że twarz milczącego mężczyzny nie była w rzeczywistości twarzą mojego profesora. Zamiast mądrych, emanujących wigorem, brązowych oczu w głąb jego pulchnej twarzy wciśnięte były małe, świńskie oczka, natomiast w miejscu dobrego i sprawiedliwego uśmiechu, który pamiętałem z dzieciństwa, malował się jedynie nieciekawym grymas. Wciąż zbliżałem się do tej zaklętej przez ciemność karykatury Mistrza z wyciągniętą ku niemu ostrożnie ręką, kiedy nagle wynurzona z półmroku kobieca postać chwyciła mnie mocno za nadgarstek. W eterycznej piękności o oczach z lodu rozpoznałem waltornistkę Karin Ledsen, której zawdzięczałem złamaną przegrodę nosową. Wtem przypomniało mi się, co powiedziała mi rano. Musiała być przekonana, że ten skryty w ciemnościach człowiek to Czarnoksiężnik.

- Zapomnij, co tu widziałeś, chłopcze - powiedziała, wyprowadzając mnie z pokoju i zamykając człowieka na bujanym fotelu na klucz. - Po prostu zapomnij.

Mój nadgarstek, którego dotknęła, do końca dnia przyobleczony był grubą warstwą szronu.

Jedyni goście Casa del Arte, których z czystym sumieniem nazwałbym ludźmi cywilizowanymi, urzędowali na piętrze trzecim. Orkiestra złożona z niewiele starszych ode mnie instrumentalistów była - jak zdążyłem się zorientować, zaglądając przez dziurkę od klucza - nie

w komplecie. Z ledwie słyszalnej przez drzwi rozmowy wynikało, że czekali na dyrygenta, jednego z kontrabasistów i wiolonczelistkę.

- Bardzo jestem ciekaw - gderał stojący samotnie po prawej stronie półokręgu chłopak z kontrabasem - kto pomoże mi wziąć początek *Niedokończonej*^[3], kiedy i Pedro, i Pablo są w Stanach, a Dorotea znów się spóźnia!

- Ma nam dziś pomóc syn tego grubego kontrabasisty z Gran Teatre del Liceu... - odezwała się dziewczyna zajmująca stanowisko koncertmistrza.

Zapadła cisza przerywana jedynie szelestem wyciąganych nut; zupełnie, jakby kontrabasista cieszył się bardzo złą sławą, o której nie wypada jednak otwarcie mówić.

- Jak ten stary Saturnino mógł pozwolić, byśmy się męczyli z takim bałwanem? - ośmielił się wreszcie przerwać ciszę kontrabasista. - To przecież jeden z tych, którzy nie widzą nic poza szczytem własnego brzucha...

- Cśśś, Jeremiaszu - przerwała mu koncertmistrzynie, przykładając palec do warg. - Słyszę harmonię jego soków żołądkowych... potęgowaną przez burzliwe crescendo... musi być coraz bliżej! Jego ojciec - dodała półszepem - jest osobą, której się nie odmawia. Starsza z moich sióstr, Priscila pracuje z nim w orkiestrze. Podobno dokooptował syna do naszego zespołu ze względu na Doroteę. Nakazał mu uwieść naszą wiolonczelistkę, która jest z kolei córką jego ukochanej, by zwiększyć swoje szanse na związek z jej matką. Niezły spryciarz, nie?

Opis tej zagmatwanej paranteli zbyt silnie przyciągnął moje ucho do drzwi i nieopatrznie je otworzyłem.

- Ejże! - wykrzyknął ktoś. - Kto nas podsłuchuje?

Chciałem już dać zwinnego susa na dół, ale - ponieważ od dołu przejście zatarasowane było przez człapiącego na górę grubasa - jedyną drogą ucieczki stały się schody wiodące jeszcze wyżej.

Nigdy do tej pory nie byłem na dachu, a już szczególnie na dachu pozwalającym na zamknięcie w dłoni miasta tak cudownego jak Barcelona. Z jednej strony widoczna była gęstwina mikroskopijnych domków otoczonych kawalkadą świateł samochodów, z drugiej uśmiechał się do mnie rozświetlony Port Vell na wielkim Morzu Śródziemnym. Najwspanialszy jednak widok rozpościerał się tuż pod moimi nogami. Przez sporych rozmiarów okno w dachu obserwować mogłem, jak na ekranie, muzyków, pośród których incognito występowała córka Mistrza. Uchyliłem je, by móc ich nie tylko podpatrywać, lecz także podsłuchiwać, akurat w momencie, gdy drzwi trzasnęły i kontrabasista, na któregoomalże się przed chwilą nadziałem, wkroczył do pomieszczenia.

- Słyszałem wszystko, co do słówenka. Kto to tak ładnie o mnie mówił? - wychrypiał.

- Ja. Nazywam się Margarita Clarín, kochany! - Wyraźnie dumna ze swojej szczerości koncertmistrzyni podbiegła do nowo przybyłego z wyciągniętą przyjaźnie ręką. - Witaj w naszej orkiestrze, mam nadzieję na owocną współpracę!

Margarita Clarín. Automatycznie moją głowę nawiedziły

słowa Czarnoksiężnika z czytanego po tysiącokroć listu do Inocencji: „[...] Tam, zamiast do domu, udaj się prosto do mieszkania Margarity Clarín, znajdź pośród pijanych imprezowiczów Doroteę i poproś ją, by wręczyła ci klucz do kanału orkiestrowego, który ukradła portierowi 24 grudnia [...]”.

- Ja również mam taką nadzieję - burknął basista, pocierając kalafonią smyczek. - Raimundo Pildora. W klanie Pildorów ciągłość kontrabasistów jest nieprzerwana od czasów habsburskich, więc, żeby była jasność, kontrabas i jeszcze raz kontrabas, nie żadna tam Dorotea, był, jest i będzie alfą i omegą mojego życia.

Mój mózg pracował z takim wysiłkiem jak dziewiętnastowieczna maszyna licząca. Jeżeli ten spaślak Raimundo miał na nazwisko Pildora, to jego ojcem niewątpliwie był Abelardo. A zakładając, że ukochaną ojca Abelarda była Inocencia, to właśnie oczekiwana wiolonczelistka, której na imię było Dorotea, była córką Mistrza!

Wtem drzwi trzasnęły po raz drugi.

- Słyszałam wszystko. Kto o mnie mówił?

Nim właścicielka tego niskiego, gładkiego, jak szklana powierzchnia i tak dobrze znanego mi głosu znalazła się w moim polu widzenia, pomyślałem, że słuch płata mi figle. Dopiero po chwili moje przypuszczenia się potwierdziły. Na moim ekranie pojawiła się ta sama dziewczyna, którą poznałem pewnej lutowej nocy w murach Gran Teatre del Liceu jako ducha Gabrieli Vengador. Czarnowłosa piękność,

idée fixe moich marzeń sennych, dziewczyna, na myśl, o której cudnej powierzchowności cały kalejdoskop wspaniałych kobiet – od Nefertiti poprzez Kleopatrę, Helenę Trojańską, Afrodytę, Judytę i Esterę, aż po orszak muz greckich – przemykał mi przed oczami, była zatem Doroteą: spoiwem wszystkich składowych mojej przygody!

- O, witaj, Doroteo. - To znów Margarita. - Mówiliśmy właśnie o tym, że nasz nowy kontrabasista musi cię uwieść pod groźbą bury od ojca.

- Och, jeżeli ultimatum jest naprawdę tak drastyczne, to oczywiście upozoruję uwiedzenie, pozwolę się przedstawić ojcu i zostać pocałowaną w usta w jego obecności – mówiła głośno i teatralnie, błyszczała, fascynowała wszystkich dokoła tak, że nie mogli wprost oderwać od niej wzroku. - Zaprotestuję dopiero na ślubnym kobiercu, wybacz, kochany!

Śmiech przerwało trzecie już trzaśnięcie drzwi.

Dyrygent Saturnino Caballo, leciwy jegomość o aparycji somnambulika i gadce katarynki, rozpoczął próbę od poczęstowania pierwszych pulpitów paroma sprośnymi żartami, a całej reszty rogalikami własnej produkcji oraz opowiedzenia, jak podczas podróży po świecie z pewną orkiestrą został zatrzymany przez celnika za nielegalny przewóz czterech waltorni i musiał się tłumaczyć, że kolekcjonuje nocniki ze złota. Potem przeszedł do rzeczy.

- Do jasnej cholery, Margarita! Ile razy mówiłem, że macie być nastroszeni, zanim przyjdę? Och, Raimundo, niechże cię uścisnę, synku... Flety, wyżej „a”! Raimundo, twój tata mi mówił, że będziesz z nami grał, to dla nas

zaszczyt, a dla ciebie, cóż, początek wspaniałej przygody... waltornie nie stroją! Czas naszych prób i występów to czas magiczny, doborowe towarzystwo czyni atmosferę na wyjazdach zagranicznych naprawdę niezwykłą... na pewno będziesz zadowolony, Raimundo, na pewno!

Przez cały czas mierzenia się młodych muzyków z *Niedokończoną* Schuberta bezczelnie wpatrywałem się z ukrycia w szarpiącą z namaszczaniem struny Doroteę, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że najwspanialszym dziełem sztuki w całym Casa del Arte jest właśnie ona. Gdy po dwóch godzinach smyczki oraz batuta zostały wreszcie ostatecznie opuszczone, a zatem moje widowisko dobiegło końca, postanowiłem, że odtąd każdego wieczora będę przychodził na ten dach, by móc bezkarnie obserwować przez szybę dziewczynę moich marzeń.

Z tą radosną myślą zacząłem zbierać się do powrotu na ziemię, kiedy nieoczekiwanie czarny odcisk mojej postaci na dachówkach zaczął być stopniowo wchłaniany przez znacznie większy cień. Obróciłem się za siebie w poszukiwaniu jego źródła. Jej postać, jeszcze wspanialsza niż tamtej nocy w Liceu, rozcinała niebo jak ogromny, czarny ptak.

- Przez całą próbę zastanawiałam się, co ten poczciwy chłopina, Mario Lombriz, robi na dachu domu wariatów. No, prawdziwa wisienka na torcie! - Roześmiała się, a widząc, że odkrycie przez nią mojej tożsamości zbiło mnie z tropu, dodała: - Ale tak między nami mówiąc, Mario, jesteś jakiś młodszy, niż kiedy widziałam cię ostatnim razem. Pamiętasz, wtedy, w portierce, kiedy próbowałeś zachować zimną krew

w walce ze zjawą. Pomyślałam sobie tamtego dnia, że jesteś bardzo bohaterski, Mario. I cóż, biorąc pod uwagę, że wspiąłeś się na dach tylko po to, żeby sobie na mnie popatrzeć, to chyba się nie pomyliłam.

[1] Casa del Arte - dom sztuki.

[2] Casa de Locos - dom wariatów.

[3] VIII symfonia h-moll *Niedokończona* Franza Schuberta rozpoczyna się wstępem wiolonczel i kontrabasów.

ROZDZIAŁ X

A wszystko przez tego niedouczzonego smarkacza!

Na dach przychodziłem wieczór w wieczór przez trzy miesiące i dwadzieścia dwa dni (dokonawszy oczywiście uprzednio odpowiednich pertraktacji z Amadorem Lechuzą, tak by jego spryt i brawura mogły przez wieczory mojej nieobecności wystarczyć za nas dwóch). Jak za czasów, kiedy ze wzrokiem stęsknionego psa wyczekiwałem momentu przekroczenia przez Mistrza progu szkoły, tak teraz odliczałem minuty, aż odbywająca się na dole próba z Saturninem Caballo dobiegnie końca i cudowna wiolonczelistka (która, co prawda, wciąż nie wiedząc, jak mam naprawdę na imię, zwracała się do mnie per Mario), odwiedzi mnie na dachu.

Mimo że spotykaliśmy się tam codziennie, nawet nie próbowałem brać się za postawione przez Czarnoksiężnika zadanie. Mieliśmy przecież u stóp całą Barcelonę, niemal sięgaliśmy chmur, znajdowaliśmy się na granicy nieba i ziemi! Do tych realiów wspomnienie śmierdzącego czosnkiem Diogenesa Ganzúi zdecydowanie nie pasowało. Zupełnie na miejscu były za to długie, sięgające niekiedy późnych godzin nocnych rozmowy o sprawach znajdujących się wysoko ponad światem rzeczywistym, generowanych

przez tę część umysłu, nad którą nie ma zwierzchnictwa świadomość, wyciekających prosto z krainy wyobraźni jako błękitne strugi zlewające się w wielką, mieniącą się rozmaitymi barwami kałużę. Ta niemal czteromiesięczna sielanka była jednak pomysłem wysoce nierozważnym, gdyż łączące nas uczucie nieopatrznie rozrosło się przez ten czas do rozmiarów, na które na razie nie powinienem być pozwolić. Pamiętacie moje marzenia o byciu dzielnym księciem z bajki, który toczy krwawą walkę ze smokiem, by uwolnić królową? Mój błąd polegał na tym, że romansując z Doroteą na dachu domu wariatów, pchałem się do prześlicznej królowy bez stoczonej uprzednio walki ze smokiem, a ten mógł zionąć w naszą stronę ogniem w każdej chwili. I nie był to smok byle jaki: ział czosnkiem i nazywał się Diogenes Ganzúa.

W każdym razie był właśnie sam środek pachnącego magnolią lata i ani myśleliśmy zajmować się ziejącymi czosnkiem smokami.

- Miałem kiedyś wspaniałą dziewczynę - podpuszczałem ją któregoś wieczoru. - Kolegowaliśmy się, odkąd byłem zupełnym dzieciakiem. Jak podrosłem, stała się moją przyjaciółką, a potem, z dnia na dzień, ukochaną. Potrafiłem się wsłuchiwać w jej śpiew całymi dniami, tak bardzo pragnąłem chłonąć cudowne brzmienie jej głosu. A potem ona wyjechała i utraciłem ją być może na zawsze. - Kątem oka starałem się wybadać jej reakcję.

Dorotea bardzo długo nie odpowiadała. Było już całkowicie ciemno i słychać było grę cykad w znajdujących

się u naszych stóp koronach drzew.

- Jak miała na imię ta jędza? - wycedziła w końcu przez zaciśnięte zęby.

Roześmiałem się, bo zgodnie z moimi przypuszczeniami wzięła mnie za bezczelnego.

- Nie mów o niej źle, bo ona siedzi tuż obok i wszystko słyszy. - Wskazałem na instrument, który dziewczyna oparła niedbale o swoje nogi. - Ta jędza ma na imię wiolonczela.

- A tu się akurat pomyliłeś, bo moja wiolonczela ma swoje imię. Nazywa się Feliks, czyli Szczęśliwy. - Dorotea zaczęła rozsuwać pokrowiec, a widząc moje kompletne osłupienie, dodała: - Przecież instrumentom nadaje się imiona, czyż nie? Czy może twoja ukochana była bezimienna? - Zaprzeczyłem gwałtownie, wciąż nie wierząc w ten niesamowity zbieg okoliczności. - Jeśli chcesz, dam ci na chwilę Feliksa, byś przez moment mógł mieć chociaż namiastkę swojej ukochanej po tak długiej rozłące, ale bądź ostrożny, bo on jest kapryśny i współpracuje jedynie ze swoją właścicielką.

Wiolonczela o imieniu Feliks wpadła w moje objęcia, jakby faktycznie była ukochaną sprzed lat. Po paru powitalnych niezręcznościach, krótkiej chwili skrępowania i nieśmiałości, pełen werwy zabrałem się za pierwszy utwór, który przyszedł mi do głowy, a było nim oczywiście pamiętne allemande. Mimo półrocznej przerwy zagrałem utwór przed Doroteą tysiąc razy ładniej, niż jako dzieciak uczyniłem to przed blondyneczką o oczach jak kule bilardowe, efekt nie był jednak lepszy. Musiałem być żenująco kiepskim

wiolonczelistą-łamaczem serc, bo lata temu blondyneczka zmieszała mnie z błotem po koncercie, a tego wieczora Dorotea po prostu się rozplakała. Kobiet nie sposób zrozumieć: nie miałem żadnego pomysłu, co mogło ją tak zasmucić.

- Zastanawiasz się pewnie, czemu płaczę. - Dorotea przerwała ciszę, która właśnie zaczynała być niezręczna. - Bo tak się składa, Mario, że ja wiolonczeli nienawidzę. Jestem skazana na ten instrument wyłącznie ze względu na kaprys człowieka, który z nami mieszkał. On miał plan mojego życia opracowany jeszcze chyba przed własnymi narodzinami. Ledwie wyszłam z kołyski, wypożyczył mi z muzeum mikroskopijnych rozmiarów instrument i sterował moimi paluszkami po gryfie. Po krótkim czasie jednak moja inteligencja zbuntowała się przeciwko tej upokarzającej czynności, jaką jest odtwarzanie wciąż od nowa tych samych utworów muzycznych. Myślisz pewnie, że muszę być bardzo nieskromna, mówiąc wprost o swojej wybitnej inteligencji. Ale widzisz, Mario, kiedy byłam niemowlęciem, błyskawicznie przeliczałam w pamięci dziesięciocyfrowe liczby i zapamiętywałam możliwie najdłuższe ich sekwencje. Kiedy trochę urosłam i rodzice zaczęli pozwalać mi spotykać się z innymi dziećmi, doznałam szoku, że one nie potrafią robić rzeczy będących dla mnie na porządku dziennym. Wyobraź sobie, że ty, idąc do przedszkola, dowiadujesz się, że wszystkie dzieci na całym świecie nie widzą, nie słyszą i nie mówią, i w dodatku, że to one są normalne. Najpierw pojawia się uczucie jakiegoś zagubienia, nieśmiałości,

skrępowania tym, że operujesz czymś, czego nie znają i nie poznają rówieśnicy. Są nieudolne próby rozmów, niezrozumienia, zawody... Ale potem przychodzi ta okropna świadomość marnowania własnego potencjału pośród ludzi nierozumiejących idei na twoim poziomie intelektualnym. A jeśli nikt nie pozwala tego potencjału wyzwolić, zostaje już tylko nienawiść... To właśnie człowiek, który z nami mieszkał, doprowadził do eksplozji tego ostatniego uczucia, bo nie dość, że zawyrokował, gdy miałam sześć lat: „Będiesz wiolonczelistką”, to nakazał mi w dodatku gnić w instytucji zwanej szkołą. Nienawidziłam tych matolów, którzy musieli się uczyć dat, słówek i wierszy na pamięć, żeby mieć cokolwiek do powiedzenia. Nienawidziłam nauczycieli, którzy znudzonym głosem czytali podręcznik, licząc na takie zainteresowanie z mojej strony, jakby odkrywali Amerykę. Człowiek, który z nami mieszkał, mówił mi wielokrotnie, że obcowanie ze słabszymi intelektualnie ludźmi i przyzwyczajenie do normalnego środowiska nauczy mnie pokory i docenię to dopiero jako w pełni dojrzała osoba. Ale uwierz mi, Mario, jest dokładnie odwrotnie! Zabijanie czasu w szkole wyzwala we mnie nieludzkie wręcz pokłady zła! Na lekcjach łamię z wściekłości ołówki, przegryzam sobie na wylot język, rozrywam paznokcie o wystające z ławek śrubki i obrzucam w myślach najgorszymi przekleństwami człowieka, który z nami mieszkał, i wszystkich tych powciskanych w ławki kretynów. Korci mnie, by zwyciężyć w światowym konkursie, zrobić wielki projekt naukowy, przedrzeć się do elity intelektualnej

świata! Ale jakiegokolwiek przedsięwzięcia naukowe były mi zabronione tak surowo, jak zwykłemu dzieciakowi zabrania się bicia kolegów i wracania do domu po dwudziestej drugiej. Nie wiem doprawdy, czemu człowiekowi, który z nami mieszkał, aż tak bardzo zależało, bym nie korzystała z możliwości, jakie otwiera przede mną mój umysł. On powinien rozumieć moje pragnienia, bo gdy jeszcze żył, dysponował tym samym intelektem, co ja. Poznałam się na tym jeszcze, nim wyjechał do Polski: kiedy byłam małą dziewczynką naturalne dla mnie było spędzanie większej ilości czasu z nim niż z mamą, bo tylko on był w stanie pojąć wszystko, co rodziło się w mojej głowie; tylko z nim mogłam rozmawiać w pełnym tego słowa znaczeniu. Już wówczas jednak budził moją nieufność: żył swoimi sekretami, całą energię zużywał na jakąś okrytą grubą płachtą tajemniczy działalność i znikał bez śladu na bardzo długie okresy. Gdy miałam dziesięć lat, czyli wkroczyłam w ten wiek, kiedy komplet rodziców jest najbardziej potrzebny, zniknął, mówiąc, że jedzie najwyżej na dwa tygodnie do Polski, by poznać chłopca, który chce się u niego uczyć gry na wiolonczeli. Opuścił nas dla jakiegoś niedouczonego smarkacza, potrafisz to sobie wyobrazić, Mario? Potem mijały dni, miesiące, lata, a on nie dawał znaku życia. Obie z mamą nie znałyśmy nawet dokładnego miejsca jego pobytu, po trzech latach zaczęłyśmy wątpić w to, że żyje. Mama była wręcz przekonana, że zginął – wierzyła w szlachetność jego serca zbyt mocno, by w ogóle dopuścić do świadomości, że mógł umyślnie zadawać jej taki ból. Zrozumiałam, że jeśli

ona tak dzielnie znosi wielki trud, to i ja będę musiała dać coś z siebie i postanowiłam, że wbrew swojej woli skupię się na karierze artystycznej. Żeby się przekonać do wiolonczeli, zaczęłam nawet przychodzić nocami do Liceu, by grać na scenie przed nieistniejącą publicznością. Uwielbiam być podziwiana i tylko wyimaginowane uczucie bycia gwiazdą estrady mogło sprawić, bym pokochała tę upokarzającą czynność. Po jednej z takich właśnie nocnych eskapad doszło do przełomowego wydarzenia. Przyszłam wtedy do domu przed świtem, wyglądając jak nieboskie stworzenie. Mama, która czekała wytrwale przez pół nocy, podniosła na mnie zmęczony wzrok znad kart książki. Opowiedziałam jej zgodnie z prawdą, że wieczorem poszłam do Liceu, by grać na wiolonczeli, a gdy opuściłam teatr i skierowałam się do stacji metra, jakiś łobuz uderzył mnie i wyszarpnął mi z ramion instrument. Mama ze stoickim spokojem przyjęła wiadomość o stracie i oznajmiła, że przygotuje mi opatrunek. I właśnie wtedy, gdy uklękała naprzeciw mnie, chcąc zdezynfekować ranę na moim przedramieniu, w drzwiach wejściowych zarysowała się sylwetka osoby, która miała nie żyć od sześciu lat. Obie zamarłyśmy w dziwacznej pozycji, nie będąc w stanie wykrztusić słowa. Stał sobie nonszalancko oparty o framugę, w tym samym płaszczu, z tą samą walizeczką, z którą opuścił nas lata temu, uśmiechnięty wesoło, wręcz psotnie, zupełnie jakby przez pomyłkę wpadł w pętlę czasu i sześć lat upłynęło mu jak sześć dni. Marzyłam w tamtej chwili, by z mojej cichutkiej mamy wyskoczyła nagle dzika pantera, natchniona buntowniczką, która

przemówi w imieniu nas obu, która zabije tego drania siłą słowa, która zmiażdży go, rozgromi, raz na zawsze spędzi ten uśmiezek Dyla Sowizdrzała z jego twarzy. Ale moja mama nie przestała być osobą, którą była głęboko w środku, to znaczy pokorną Inocencją Hechicero, wierną żoną swojego męża, *la femme idéale*, która przebaczyłaby nawet swojemu egzekutorowi na ułamek sekundy przed tym, jak utnie jej głowę. Ku mojemu zdumieniu po prostu wstała i po prostu zarzuciła mu ręce na szyję, mówiąc: „Witaj, Hectorze! Patrz, jakiś łobuz ukradł dziś wiolonczelę naszej Dorotei”. Co zdumiało mnie jeszcze bardziej, on zamiast cokolwiek wyjaśnić, zakomunikował uroczyście, że wobec tego nazajutrz kupi mi nową wiolonczelę. Jakże mnie rozwścieczyła ta jego spóźniona hojność, to jego jak gdyby nigdy nic, wpadłam w istny szał! Wiolonczelę! Nie chciałam żadnej wiolonczeli! Żadnej cholерnej wiolonczeli, żadnego pudła z czterema drutami, żadnej idiotycznej kupy drewna, która pewnie przydała się temu wariatowi z ulicy tylko jako pojemnik na śmieci! Mama, nie zwracając uwagi na moje emocje, powiedziała, że jeżeli chcę być wiolonczelistką, logiczne, że muszę najpierw posiadać wiolonczelę, więc jeśli tata proponuje mi jej zakup, to powinnam być mu bardzo wdzięczna. Myślałam, że mnie rozniesie przez ten jej ugrzeczniony ton! Tata! Dobrze sobie! To nie był żaden tata! To był cholerny zdrajca, przez którego moja mama harowała za dwóch i przez którego obie ubierałyśmy się na zapas na czarno i nie wychodziłyśmy z domu nawet w karnawale! Zrobiłam wtedy straszny raban. Ciskałam w podłogę

patelniami, darłam na sobie ubrania, kopałam w krzesła. Żaden akt furii nie był dostatecznie brutalny, by odzwierciedlić siłę moich emocji. Wreszcie, gdy wszystko już było doszczętnie zniszczone, a ja byłam wrakiem człowieka, osunęłam się na sofę, nie patrząc nawet na tych dwoje. Marzyłam, by już nic nie mówili, zresztą, co też mogli w takiej sytuacji powiedzieć? Zapytać, jakiej marki wiolonczela najbardziej mi odpowiada? Kiedy po sobie posprzątam? Czy nie zechciałabym pójść już spać? Oczywiście słono się przeliczyłam, licząc, że zachowają milczenie. Oboje najwyraźniej znajdowali się właśnie u szczytu swej podłości, bo mama zapytała człowieka, który z nami mieszkał, czy nie ma ochoty na herbatę, on zaś odpowiedział, że jeśli jeszcze się nie skończyła ta o smaku bergamotki, to z chęcią się napije. Od tego czasu człowiek żył sobie w naszym domu, jakby nic się nie wydarzyło: za nic nie przeproszał, z niczego się nie tłumaczył, nic nam nie mówił i niczego nie żałował. Jak przed sześciu laty nosił swój długi płaszcz i kłaniał się w pas setkom ludzi na ulicach, jak przed sześciu laty grał w orkiestrze Gran Teatre del Liceu, jak przed sześciu laty pilnował, bym przypadkiem nie wykroczyła z ambicjami ponad pospólstwo, i jak przed sześciu laty miał te swoje tajemnice wagi państwowej, których nie mógł zdradzić nawet kobiecie, która kochała go nad życie. Moja mama jest taka naiwna. Za dobra, za łagodna, za szybko zapomina, za mało walczy o swoje. Ja, już od chwili, gdy stanął w progu naszych drzwi z tym obrzydliwym uśmiechem niewiniątka, wiedziałam, że nigdy

nie odezwę się do niego słowem. Nie reagowałam, gdy do mnie mówił, nie wychodziłam z pokoju, kiedy krzątał się po mieszkaniu, nie dawałam żadnych dowodów na to, że rejestruję jego obecność w moim życiu. On z kolei, podłóż iście mistrzowska, zachowywał się, jakby nie rejestrował nierejestrowania przeze mnie jego obecności. Nigdy nie zapytał mnie, czemu nie odpowiadam na jego pytania, nie spytał też mamy, czy jego córka zaniemówiła; zachowywał się, jakby ze mną było wszystko w porządku. Kiedyś, gdy jadąc na wesele ciotki Gabrieli, byłam skazana na jego towarzystwo w aucie, mówił do mnie nieprzerwanie przez całą drogę. Z pasją opowiadał historię o techniku z Gran Teatre del Liceu, który zawsze chowa się między fotelami, kiedy gram samotnie, bo się zakochał we mnie i w mojej grze. Myślałam tylko o tym, że najchętniej zastrzeliłabym jego i tego cholernego faceta z obsługi technicznej. Jakiegoś obleśnego knypka, który zamiast pójść z rodziną do parku, siedzi wciśnięty między fotele i wyobraża sobie, że wielki z niego Romeo. On uparcie jednak kontynuował: „Tak nawiasem mówiąc, jesteś już dużą dziewczynką, Dori, i wypadałoby, żebyś znalazła sobie jakiegoś *novio!*”. Wypadałoby! Dobrze sobie! On, człowiek, który nie uznał za stosowne wytłumaczyć się przed żoną z ucieczki z domu na sześć okrągłych lat, mówił, co by mi wypadało! „Na pewno nie znajdę sobie chłopaka - wycodziłam przez zaciśnięte zęby pierwszą chyba od czasu jego powrotu kwestię - chyba że po twoim trupie”. To, co powiedziałam, było okropne. Okropne i bezduszne. Nie mogłam chyba dopiec mu

w bardziej przykry sposób, jednak on, ku mojemu zdumieniu, roześmiał się: „Oczywiście, że to nie ty go znajdziesz! On znajdzie ciebie, a na imię będzie miał Szczęśliwy. I – westchnął – niestety masz rację, dojdzie do tego dopiero po moim trupie”. Ach, jakże nienawidziłam go za to, że podkpiwał z mojego uschniętego jak gałązka wawrzynu zimową porą życia uczuciowego! Z czystej przekory nazwałam Feliks, czyli Szczęśliwy, moją wiolonczelę, jedyne partnera życiowego, którego człowiek uważał za stosownego dla mnie. Przed tegorocznymi świętami Bożego Narodzenia, ku mojemu zniesmaczeniu, człowiek, który z nami mieszkał, zaczął krzątać się po kuchni i to nie tylko z nietypowym u przedstawiciela płci przebrzydłej zapalem, ale wręcz z pedanterią godną świeżo wyklutej kury domowej, dla której kolosalne znaczenie ma, jaki jest kolor pojemnika, w którym stoją majeranek i zioła prowansalskie i ile widelców było widzianych tego i tego dnia między godzinami tą a tą. Nie pozostawiał złudzeń, że nadchodząca kolacja wigilijna nie będzie jednym z tych jarmarków, kiedy mama zapraszała wszystkich samotników z Barcelony, których trzeba było wypraszać o północy tak masakrycznie ubabranych czekoladowym kremem (amunicją podczas Wielkiej Walki na Jedzenie), że nie wiadomo było, kto jest kim. To miała być milcząca kolacja w smętnym gronie: mama, ja i człowiek, który z nami mieszkał. Kiedy dwudziestego czwartego ubrana w najgorszy dres, jaki miałam, zasiadłam przy stole, by udać puszczenie pawia na widok pieczonej kaczki wiadomego pochodzenia, mama po

raz pierwszy zwróciła mi uwagę: „Doroteo, w Wigilię nawet zwierzęta mówią ludzkim głosem. Dlaczego ty nie mogłabyś spróbować?”. Galopując wzrokiem po wszystkich ruchomych i nieruchomych elementach materii, które tylko nie były oczami człowieka, który z nami mieszkał, odpowiedziałam, że dla niej akurat zawsze będę miała ludzki głos. On tymczasem, jak zwykle, ni to niedosłyszał, ni to zbagatelizował, ni to przyjął moje słowa do wiadomości, oznajmiając pogodnie, że przywiózł z Polski pewien zwyczaj: wręczanie prezentów w samą Wigilię, nie zaś w Trzech Króli, co byłoby zgodne z hiszpańską tradycją. Dopiero gdy doszło do wymiany podarków, zrozumiałam ukryty sens przejścia do kwestii prezentów akurat w tym wypełnionym napięciem momencie: o ile mamie człowiek sprezentował piękny pierścionek, ja dostałam od niego jedynie jakieś pomięte papierzyska, których nawet nie odpakowałam. To był już niekwestionowany znak otwartej wojny, wet za wet: on nie zasługuje na słowa, ja nie zasługuję na cokolwiek więcej niż kupa śmieci. W drugi dzień świąt mama poprosiła mnie, bym zdobyła się na rozmowę z człowiekiem, który z nami mieszkał. Skąd w ogóle przyszedł jej do głowy ten śmieszny pomysł? Następnego dnia poprosiła o to samo. Znów odmówiłam, wojna to wojna, niech on sobie kapitułuje, jeśli mu się podoba, ale ja do miękkich nie należę i broni nie złożę tak prędko. Nazajutrz sytuacja się powtórzyła. Trzydziestego mama wyjechała ze swoim kwartetem do Rabatu, dokąd zostali zaproszeni w celu zainaugurowania Nowego Roku, mówiąc mi na odchodnym, że jeśli nie spełnię jej prośby

przed sylwestrem, jego serce pęknie z bólu. Na sylwestra wybrałam się do mojej przyjaciółki z orkiestry, Margarity Clarín, która rokrocznie organizuje największe imprezy dla muzyków z całej Barcelony. W okolicach dwudziestej pierwszej gospodyni imprezy zakomunikowała mi, że przyszła do mnie moja mama. Dziwnie wytrącona z równowagi, podchodząc do drzwi, zastanawiałam się tylko nad jednym: kto i po co wymyślił taki głupi żart? Wiedziałam przecież dobrze, że w owej porze moja mama była w Maroku, gdzie grała na bardzo ważnym koncercie. Nic nie przebije mojego zdumienia, gdy w progu drzwi faktycznie dostrzegłam postać mojej matki, dziwnie rozedrganej i oblanej falą trupiego zimna. Nie ulegało wątpliwości, że stało się coś złego. „Twój ojciec nie żyje” – szepnęła. „Prosił w swojej ostatniej woli, żebyś oddała mi klucz do kanału orkiestrowego, który ukradłaś 24 grudnia. Poproszę” – wyciągnęła rękę. W głębi mojej czaszki pulsować zaczęła jakaś potężnych rozmiarów materia niepozwalająca na swobodne myślenie. Człowiek nie żyje. Człowiek nie żyje, człowiek... Ojciec nie żyje. Gdzieś w głowie powiększał się i kurczył ciepły balonik, zalewając od wewnątrz moje ciało wrzącą lawą. Czy to jakaś farsa, jakieś nowe libretto, a może zmowa złych ludzi? Czy to ta sama rzeczywistość będąca jeszcze pięć minut temu zakrapianą szampanem rzeczywistością, pośród której wirowałam zaplątana w serpentyny radości w ramionach Aureliana Blanco, czy to ten sam pierwszy stycznia, czy to ta sama Barcelona, czy to w ogóle ten sam świat? „Doroteo” – powtórzyła mama

z nieznanym mi dotąd w jej głosie pierwiastkiem natarczywości. - „24 grudnia ukradłaś klucz do kanału orkiestrowego. Oddaj go”. Te słowa przebiły ostatecznie pulsujący balonik w mojej głowie, tak, to ta sama rzeczywistość, ten sam 1 stycznia, ten sam świat, tyle że bez tej jednej osoby, która złamała ci życie. Stoisz, Doroteo, w domu Margarity Clarín, w swojej ulubionej satynowej sukieneczce i pożyczonych bamboszach, stoisz naprzeciw matki, która zarzuca ci kradzież. Kradzież?! Ejże, ejże, brzydzę się kradzieżą! Pewność, że niczego nie ukradłam, sprawiła, że zaczęłam gorączkowo odtwarzać w wyobraźni drogę, którą przebyłam do domu po tym, jak ostatnio grałam na scenie Liceu. Wtem zdałam sobie sprawę, że klucz faktycznie nie pojawił się z powrotem na stoliczku portiera, zatem musiałam go wziąć ze sobą, choć nie zarejestrowałam nawet tego faktu! Nagle przeraziło mnie, że moja nieograniczona, niepokonana, niezawodna pamięć mogła ukryć przede mną jakiegokolwiek fakty! Skąd te czarne plamy wzięły się w moim wybitnym umyśle, skąd te przebłyski zwykłej, ludzkiej niedoskonałości intelektualnej u takiej istoty jak ja? Ach, już wiedziałam, już skojarzyłam fakty: owej ostatniej nocy na scenie Liceu byłam wyjątkowo roztrzęsiona, gdyż wychodząc wieczorem z domu, ujrzałam przed furtką ogrodzenia skuloną, przemarzniętą do szpiku kości zakonnicę, która musiała siedzieć tam już od bardzo dawna. Zapytana przeze mnie, co tam robi, odparła, że modli się każdego wieczora, bym przebaczyła ojcu. Kim była, skąd znane jej były nasze problemy rodzinne i dlaczego, u licha,

zależało jej na moim przebaczeniu? Przepędziłam ją na poły zdenerwowana, na poły przerażona i to właśnie z jej powodu nie mogłam już później zebrać myśli i zapomniałam, wracając do domu, o kluczu. „Nie wiem, gdzie jest ten klucz, mamu. Przepadł” – odrzekłam szczerze. Ledwie wypowiedziałam te słowa, najłagodniejsza na świecie owieczka, moja święta, opanowana mamusia, która cierpliwie czekałaby, aż na oczach milionów gapiów rozszarpia ją lwy, jedyny raz w swoim życiu straciła nad sobą panowanie. „Dawaj mi zaraz ten klucz!” – wydarła się niespodziewanie w nagłym przyływie szału. „Słyszałaś? Dawaj! Dawaj!!!” Szarpnęła za kołnierz mojej pięknej sukni, powodując rozdarcie tak głębokie, że musiałam wrócić do domu w awaryjnej sukience Margarity. „Ten klucz zginął, mamu” – odpowiedziałam spokojnie, zgodnie z prawdą. – „Tak samo, jak zginął człowiek, który z nami mieszkał” – nie mogłam się powstrzymać od tej kąśliwej uwagi. Moja matka spojrzała mi w oczy z mieszaniną lęku i rozpacz, po czym się oddaliła. A zakonnica, która co wieczór modliła się o pokój w naszej rodzinie, nie pojawiła się już nigdy więcej.

Gdy Dorotea skończyła mówić, cykady dawno poszły spać. Na kanwie nocy wzory swe haftowała już jedynie czarna, gęsta ciecz zwana ciszą. Dziękowałam po stokroć mojej męskiej intuicji, która przez tyle czasu powstrzymywała mnie od wyjawienia dziewczynie mojej prawdziwej tożsamości. Teraz modliłem się, by na tych słowach poprzestała, nie podejmując niebezpiecznego wątku niedouczonego smarkacza, dla którego opuścił ją ojciec, już

nigdy więcej.

ROZDZIAŁ XI

Skok w bok

Nagle spadłem z nieba na ziemię. To wydarzyło się osiemdziesiątego trzeciego wieczora spędzanego na dachu i przebiegło bardzo prozaicznie: chcąc lepiej usłyszeć, co tam w sali prób szepce do ucha drugiemu wiolonczeliście wybranka mojego serca, szarpnąłem za klamkę okna tak mocno, że wyrwałem je z zawiasów, a sam spadłem przez wylot prosto w środek sekcji kontrabasów, nadziejąc się na smyczek Raimunda Pildory. Zamiast wprowadzenia przez klarnet pierwszego tematu *Niedokończonej* rozległ się zbiorowy fałsz.

Nikt z muzyków (za wyjątkiem Raimunda, któremu nieopatrznie wymknął się bukiet niewyszukanych epitetów na mój temat) nie śmiał się odezwać. Dorotea, która wyglądała jak spetryfikowana, była ostatnią osobą gotową przyznać, że ma ze mną cokolwiek wspólnego.

- Koniec próby - zarządził surowo dyrygent, na co muzycy zaczęli w popłochu zwijać swoje manatki. - Chłopcze, chyba musimy poważnie porozmawiać.

Powaga sytuacji sprawiła, że zacząłem się gwałtownie pocić, a moja lewa powieka wpadła w niekontrolowane drżenie. Saturnino Caballo nie był tą samą osobą, która jeszcze osiemdziesiąt trzy dni temu opowiadała o kolekcji

nocników ze złota.

- Co masz na usprawiedliwienie swojego postępuku? - warknął, gdy już wszyscy poza jedną osobą opuścili pomieszczenie.

Obecność tej jednej osoby (fagocisty, zasuwanego w żółtym tempie pokrowiec swojego instrumentu, który najwyraźniej bardzo chciał świadkować, jak dostaje mi się po uszach) peszyła mnie niemało.

- Widzi pan - próbowałem wymyślić naprędce alibi dla prowadzenia obserwacji na dachu - jestem redaktorem naczelnym pewnego poczytnego czasopisma muzycznego i przymierzałem się właśnie, by napisać artykuł o prowadzonym przez pana zespole...

- Kochasiu, redaktora naczelnego to ja już kiedyś miałem. Przylepiał się do mojego zespołu jak rzep do psiego ogona, kiedy przed laty wyjeżdżaliśmy koncertować do Afryki. I, wyobraź sobie, na tych wyjazdach każdorazowo dziczeli nam jeden po drugim wszyscy muzycy. Normalnie dziczeli, kochasiu: myli zęby widelcami, czesali się grzebieniem pod pachami i próbowali wmówić mi, że w poprzednim wcieleniu byłem nałożnicą Tutenchamona. - Fagocistę najwyraźniej zaintrygowała ta opowieść, bo przekraczając próg drzwi, cofnął się gwałtownie i zaczął udawać, że szuka czegoś w pokrowcu. - A ja, skończony idiota, dopiero na trzecim wyjeździe rozgryzłem zagadkę pana redaktora naczelnego: żaden był z niego redaktor, to był po prostu amator wdzięków młodych muzyków przyjeżdżający na coroczną wyżerkę! Musiałem w trybie

natychmiastowym wcielić się w rolę przyzwoitki, w przeciwnym razie organizowane przeze mnie wyjazdy koncertowe pozostawiłyby niesmak i odrazę po wsze czasy. Błyskawicznie odkryłem taktykę lubieżnego spryciarza. Poruszał się po orkiestrowej szachownicy ruchem konika szachowego i każdej nocy atakował jednego pionka bądź jedną królową. Spryciarz od siedmiu boleści! Łudził się, że stojący na przeciwnym krańcu szachownicy król jest tak daleko, że niczego nie widzi. A król widział doskonale. I jeszcze doskonale zasadził się na nędznego konika.

Nie dowierzałem, w jak kuriozalnej sytuacji znalazłem się w związku z zupełnie przypadkowym użyciem słowa redaktor. Spodziewałem się otrzymać siarczystą reprimendę, a tymczasem serwowana była mi opowieść o rozwiązłości seksualnej orkiestry młodzieżowej w Afryce.

- Na próbie poprzedzającej wieczór, w którym poprzysiągłem sobie go zdemaskować, przeanalizowałem rozmieszczenie pionków. Nie było to łatwe, gdyż kiedy byłem już pewien, że dzisiejszą ofiarą ma być altowiolista Efrain Enano, w paradę weszła mi skrzypaczka Solange Zapato, która zaczęła przesadzać skrzypków, bo komuś rzekomo śmierdziało z paszczy, a ona nie wiedziała, czy to z prawej, czy z lewej. Ostatecznie Solange zawyrokowała, że z paszczy śmierdzi Efrainowi, sama uciekła do ostatniego pulpitu, a Efrain, wedle moich wcześniejszych przypuszczeń, zajął miejsce ofiary konika. Po próbie zasugerowałem mu, żeby tej nocy zamienił się ze mną namiotem, bo wielka armia moskitów szepnęła mi na ucho, że zamierza odwiedzić nocą

jego namiot, a ja przecież nie mogę stracić swojego najlepszego skrzypka. Tym sposobem jeszcze przed zachodem słońca redaktor wpadł w moje sidła! Nic nie przebije jego zdziwienia, kiedy zamiast Efraina o subtelnym licu i poczciwym serduszku spostrzegł starego, rozzłoszczonego Saturnina Caballo. Zdążył tylko bąknąć: „przepraszam”, nim zrobiłem taki raban, że jeszcze się za tym redaktorkiem kurzyło!

Przestępując niezręcznie z nogi na nogę zastanawiałem się, czy wypada teraz pogratulować dyrygentowi heroicznego pozbycia się redaktora naczelnego, czy też powinienem zacząć zadawać jakieś pytania do superbohatera. Na szczęście mój problem rozwiązał fagocista, który wybuchnął śmiechem.

- A pan w to uwierzył, maestro! - wykrzyknął, kierując się tym razem już naprawdę do wyjścia. - Wszak pan redaktor przychodził do naszych namiotów grać w szachy! Każdy chciał rozegrać z nim partyjkę, bo szczyił się tytułem mistrza Barcelony, więc musiał wybierać sobie przeciwników, stosując taktykę konika szachowego. Przegrany musiał za karę wykonać następnego dnia różne abstrakcyjne zadania: umyć zęby widelcem, bądź podrapać się po plecach fletem, a ponieważ redaktor był niepokonany, na wariatów zawsze wychodziliśmy my! - Po tych słowach trzasnął głośno drzwiami.

Dyrygent, który wcale nie wyglądał na zmieszanego tym nieoczekiwanym zwrotem akcji, poderwał się w tym samym momencie z miejsca, przekręcił kluczyk w zamku i przysłonił

okna roletami. Dopiero wtedy przypomniałem sobie właściwy cel mojej wizyty w sali prób. Włosy stanęły mi dęba, bo w rogu zaciemnionego już teraz pomieszczenia dostrzegłem pałki do kotłów, które przypomniały mi o brutalnych metodach wychowawczych męża pani „Grales-Gralem”. Byłem przekonany, że teraz naprawdę przyszedł czas na chłostę, że oto wybiła ostatnia godzina mojego życia. Jednak Saturnino Caballo, który, ku mojej uldze, nie chwycił pałek, uśmiechnął się do mnie. Wyglądało na to, że pean na cześć własnego bohaterstwa, który właśnie odśpiewał, znacznie poprawił mu humor.

- Chłosty nie będzie, to ja poluzowałem okno w zawiasach. - Klapnął sobie obok mnie i siorbnął głośno łyk zaparzonej dopiero co herbaty. - Musiałem sprawić, byś wreszcie spadł na ziemię, poza tym chciałem się z tobą spotkać. Bujasz w obłokach, chłopcze, nieświadom, że właściwą część swojego zadania musisz wykonać w świecie realnym. Poprosiłem cię na rozmowę, bo chcę opowiedzieć ci pewną starą historię - ściszył głos i znowu siorbnął. - Mam nadzieję, że w ten sposób przynajmniej po części wypełnię moje zobowiązanie względem osoby, którą kocham.

Nie wiedzieć czemu, właśnie wtedy moje serce, które powinno było zwolnić obroty (bądź co bądź nie czekała mnie już chłosta) zaczęło bić bardzo prędko. A więc i ten człowiek był w jakiś sposób w to wszystko uwikłany?

- Była zima dziewięćdziesiątego czwartego, zaraz przed tym wielkim pożarem w Gran Teatre del Liceu. Przesłuchanie do wyjazdu do Afryki wypadło w tamtym roku

katastrofalnie, bo równolegle odbywał się festiwal poświęcony osobie Karla Böhma, na który wybrała się większość młodych muzyków z Barcelony. Gdy właśnie słuchałem gry oboisty Nestora Remolachy, bez kolejki i jakiegokolwiek uprzedzenia, na scenę wkroczył syn pierwszego mezzosopranu w Hiszpanii, Matilde Hechicero, Hector. Długa szata trzepotała wzdłuż całej jego monumentalnej postaci, wprowadzając w osłupienie Nestora, którego pauza rozciągnęła się nieoczekiwanie do dwudziestu sześciu minut. Rosły młodzieniec bez słowa zapowiedzi zaczął grać, a wtedy mój gniew w mgnieniu oka ustąpił rozkoszy powodowanej doskonale budowanymi napięciami, perfekcyjną intonacją, błyskotliwymi figuracjami, mistrzowsko rozegranymi zawieszzeniami i nieziemską pewnością i stabilnością gry. Gdy schodził ze sceny, na jego twarzy malowała się taka sama mieszanka niewzruszenia i pogardy, jaką zaprezentował, kiedy na nią wstępował, a ja uwiedziony mocą jego gry wpisałem go na listę niepomyślnego jego impertynencji. Godzinę po Hectorze, bezpośrednio po wyjątkowo żylastej i odrażającej blondynce, która z precyzją zegarmistrza wykonała na wiolonczeli partitę Bacha, weszła drobna dziewczynka. Nie wiedziałem, kim była, ale musiała pochodzić z niemuzycznej rodziny, zdradziła ją ta niepewność ruchów, to speszenie, gdy z nerwów upadły jej nuty... Takie zachowania nie są typowe dla dzieci wirtuozów, o nie, kochasiu. Pełen ojcowskiej czułości poradziłem jej, by się tak nie denerwowała, a wówczas zerknęła na mnie nieśmiało z klęczek. Jej duże, okrągłe oczy wyjrzały na

ułamek chwili z cienia, tak, bym mógł spostrzec, że są dokładnie tej samej barwy, co zielony kwarc, w którym rzeźbi mój przyjaciel Rómulo Escultor. Ona też mnie zaczarowała, tyle że swoją osobą, i pomyślałem, że w przyszłości będę jej musiał podarować najwspanialszy awenturyn Rómula pod postacią pierścionka zaręczynowego. Oczywiście bez najmniejszych skrępułów skreśliłem wpisaną uprzednio na listę chudą blondynkę i wpisałem na to miejsce wdzięczne imię nieśmiałej wiolonczelistki: Inocencia. Postawa Hectora Hechicero, którego pokochałem za jego grę, zaniepokoiła resztę składu już podczas podróży: jego pycha i wyniosłość udzielały się wszystkim pasażerom jeepa, do którego trafił. Do prawdziwej jednak kulminacji pomstowań na jego osobę doszło po tym, jak jednego z pierwszych wieczorów zasiedliśmy w kręgu tak, by każdy mógł coś o sobie opowiedzieć. Kiedy przyszła kolej na wypowiedź Hectora Hechicero, ten oznajmił głośno: „Moi przodkowie od strony ojca posiadali największe umysły w dziejach, a ja jako spadkobierca ich geniuszu marzę, by wreszcie wyrwać świat z ciemnoty”. Przez krąg przetoczyła się fala nietłumionego zgorszenia. Jak on śmiał opowiadać takie farmazony? Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Hechicero to zarozumialec niereformowalny i że trzeba będzie czym prędzej pozostawić go na pastwę losu na Saharze. Już po dwóch dobach plan porzucenia go na pustyni, rozpisany szczegółowo na trzech ostatnich kartkach papieru, które przetrwały atak dzikiego samumu, leżał grzecznie w apteczce jeepa, czekając na dzień osiągnięcia

określonych współrzędnych geograficznych. Wydarzenia z dni dzielących nas od realizacji planu tylko utwierdziły mnie w przekonaniu, że Hector Hechicero to członek grupy, którego należy skazać na kwarantannę. 21 stycznia, w przeddzień planowanego porzucenia wiolonczelisty na pustyni, w samym środku nocy drzwi mojego namiotu zostały gwałtownie rozsunięte. Pośród mroków zdołałem wychwycić zarys masywnej twarzy wiolonczelisty. Bardzo często nie spałem nocą, a to z tego powodu, że temperatury pobiły wszelkie rekordy i mieliśmy problemy z zestrojeniem na tyle poważne, że nim docieraliśmy do piątego taktu, drewno było już o cały ton za wysoko, smyczki o pół za nisko. Po nocach siedziałem więc i transponowałem, by koncert trąbkowy Haydna smyczki miały zapisany w E-dur, a drewno w Cis-dur. W każdym razie, Hector był cały rozpalony i krzyczał, że przyśnił mu się przeraźliwy ogień. Trębacz, który przyszedł spać do mojego namiotu, bo bał się ciemności, bąknął zgryźliwie, że pewnie zanadto go podekscytowało dzisiejsze ognisko (nie mogliśmy wiedzieć, że tego dnia spłonął budynek Gran Teatre del Liceu, dowiedzieliśmy się o tym dopiero wiele dni później, w gabinecie dentystycznym w Chartumie, do którego poszliśmy, kiedy fagocistce wypadła plomba). Wiolonczelista, którego groźna postać rozświetlająca kompletną ciemność mroziła nam krew w żyłach, majaczył jak w malignie tak długo, aż zwinięty w kłębek trębacz wydarł się wniebogłosy, że chce się, do jasnej cholery, wyspać i żeby w tej chwili opuścił namiot. Te nocne odwiedziny utwierdziły mnie w przekonaniu, że

Hectora należy się pozbyć nie tylko ze względu na jego zarozumiałość, lecz także dlatego, że jest niepoczytalnym wariatem mogącym stanowić zagrożenie dla otoczenia. Nazajutrz wszyscy w napięciu wyczekiwaliśmy zachodu słońca. Zgodnie z planem mieliśmy odczekać, aż Hector uśnie snem kamiennym, a wtedy zakraść się do jeepów i odjechać hen, hen, daleko. Kiedy zaczęło się ściemniać, zapanował chaos jak na planie filmowym: muzycy dosłownie nie wychodzili z mojego namiotu, dopytując się gorączkowo, co mają zrobić, z której strony wyjść, z której wejść, jaki znak dać kierowcy, żeby ruszył, jak schować instrument, żeby nie było hałasu, jak się szybko przebrać z piżamy, co zrobić, jeśli ktoś zaśnie w namiocie i nie zdąży wbiec do jeepa, a co jeśli warkot silnika rozbudzi Hectora. W okolicach dziewiętnastej, gdy w moim namiocie trochę się już rozluźniło, odwiedziła mnie Inocencia. Rozłożyłem szeroko ramiona, mówiąc: „Wszystko będzie dobrze”. Ona jednak zlekceważyła ten gest. „Nie wolno nam tego zrobić, maestro” – powiedziała chłodno i stanowczo. – „To zbyt surowa kara za pychę, którą grzeszy przecież tak wielu ludzi. Nie my jesteśmy od wyrokowania. Nie pan, maestro...” – zawahała się. – „Nie pan, maestro, jest od kierowania kciuka w górę lub w dół”. Oczywiście, że kochałem Inocencję i oczywiście, że rzuciłbym się za nią w ogień piekielny, szczególnie gdy tak słodko i z takim przejęciem mówiła o pysze, wyrokach, o surowych karach i o tego typu wzniosłościach. Po prostu tym razem sytuacja była wyjątkowo wyjątkowa i naprawdę nie mogłem zanadto wczuwać się w to, co ona tam dokładnie

mówiła, ażeby nie utracić autorytetu. „Inocencio, czterdzieści sześć osób od tygodnia nie myśli o niczym innym niż o zemście na osobie Hectora Hechicero. Nie mogę sprawić im tak wielkiego zawodu, odwołując nagle całą tę doskonale zaplanowaną akcję! Chyba to rozumiesz”. Lecz wiolonczelistka moich marzeń i snów już opuściła namiot. Sygnał, że Hector usnął snem kamiennym, dotarł do muzyków tego samego dnia o północy. Na paluszkach zwinęliśmy nasze manatki i przekradliśmy się do jeepów, a potem, tak jak to było ustalone, odjechaliśmy hen daleko. Zemsta dodała nam skrzydeł, byliśmy podekscytowani i szczęśliwi, że udało nam się spleść figla nielubianemu wiolonczeliście. Cieszyliśmy się tak bardzo, że nie zwróciliśmy uwagi na nieobecność Inocencii... Moja mała dziewczynka pozostała na pustyni z tym, którego kochała... Och, jakże żałuję, że wtedy, w namiocie nie przystałem na propozycję Inocencii: wiolonczeliści bowiem nie dość, że przeżyli wspólnie tę trwającą osiemdziesiąt trzy dni walkę o przetrwanie na kompletnym odludziu, to musieli odebrać ją jako niezwykle romantyczny epizod w ich życiu, gdyż wkrótce po powrocie do Barcelony się pobrali. Co jednak najdziwniejsze, zamiast gniewać się na mnie, wynieśli moją skromną osobę na piedestał jako tego, który pozostawiając ich na pustyni, odmienił ich życie. Zostałem nawet zaproszony na ich ślub z tytułem gościa honorowego – patrona ich miłości. Sprawilem im w prezencie dzieła mojego przyjaciela Rómulo Escultora: Inocencia, która miała dostać ode mnie pierścioneńkę zaręczynową, dostała parę kolczyków

w kształcie gołębi, natomiast Hectorowi, który podczas pobytu na pustyni spokorniał i dojrzał, podarowałem miniaturową replikę swojej żony grającej na wiolonczeli. Na tym jednak, och, po cóż było się łudzić, skończyła się moja rola w życiu Inocencii: po wyjściu za mąż stała się szanowaną panią Hechicero, no i rzecz jasna przestała grać w młodzieżowej orkiestrze, którą na jakiś czas przestałem w związku z tym prowadzić. Potem powiła córeczkę, złapała posadę wiolonczelistki w Gran Teatre del Liceu, a młodość, Afryka i stary Saturnino Caballo pozostali dla niej w sferze odległych wspomnień... Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedykolwiek będę miał do czynienia z Inocencią Hechicero. Tym większe było moje zdziwienie, kiedy którejsz środy, gdy właśnie rozgrywałem u siebie w domu pasjonującą partię brydża z moimi wyimaginowanymi przyjaciółmi, w progu pojawił się nie kto inny jak Hector Hechicero. „Maestro, orkiestra Gran Teatre del Liceu pana potrzebuje!” – zawołał. Krótka wymiana zdań pozwoliła mi się zorientować, że nowy dyrygent, niejaki Eleuterio Pentagrama (cóż za idiotyczne nazwisko), ledwie radzi sobie z utrzymaniem batuty i konieczna będzie moja interwencja, jeśli wielki seans oper Rossiniego, wydarzenie na światową skalę, ma zostać wykonany na odpowiednim poziomie. Potajemna interwencja, rzecz jasna. Serce uderzyło mi mocniej, poderwałem się gwałtownie z siedzenia i, tak jak stałem, w ogrodniczkach i z wachlarzem kart w dłoni, pospieszyłem do teatru, chcąc jak najszybciej spotkać się z przyjaciółmi z dawnych lat. Kolorowe wspomnienia krążyły po

zakamarkach mojego umysłu, znów poczułem ten wyjątkowy klimat wyjazdów do Afryki, ten czar niezwykłych osób emanujących młodzieńczą radością życia. Zaraz miałem ponownie wcielić się w rolę ich dyrygenta, zaraz miałem powrócić do grona jedynych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miałem – w orkiestrze Gran Teatre del Liceu był przecież czerwony jak pomidor oboista Nestor Remolacha, fagocista Claudio Coquetón, Hector Hechicero, poza tym kontrabasiści Silverio i Abelardo, waltornistka Giulietta i kotlista Orlando! Skłamałbym jednak, gdybym nie powiedział, że najintensywniej myślałem w tamtym momencie o Inocencji, że to za nią najbardziej tęskniłem, że to do niej najbardziej się spieszyłem, biegnąc Ramblą w kierunku teatru. Jednak już pierwszy rzut oka na zespół wystarczył mi, by zorientować się, że mojej ukochanej wiolonczelistki nie ma wśród członków orkiestry. „Maestro!” – rzucali mi się na szyję muzycy, wciskając mi przy tym flety i klarnety do oczu i uszu. – „Maestro, jak nam pana brakowało! Jak tęskniliśmy!” Dlaczego? Jak to? Gdzie jest Inocencia? – niewypowiedziane pytania ginęły wśród serdeczności, uścisków i powitań. Gdzie jest moja kochana dziewczynka? Nikomu oczywiście nie zamierzałem przyznawać się do swojej słabości, nikomu nie zamierzałem zwierzać się z mojego rozczarowania, w niczyich oczach nie miałem zamiaru być kimś innym niż tytanem pracy, szwajcarskim zegarkiem o perfekcyjnie rozwiniętym słuchu. Po prostu zacząłem robić swoje, to znaczy, trenować z orkiestrą dzień w dzień po kilka godzin, po to, by jakiś szanowny palant

mógł pewnego pięknego dnia spać śmietankę z mojej pracy. Ale coś ci zdradzę. Gdzieś tam w głębi wierzyłem, że opatrność boża sprawi, że moje poświęcenie zostanie mi kiedyś wynagrodzone. I zresztą się nie pomyliłem. Inocencia pojawiła się w progu moich drzwi zaraz po wykonaniu *Nowego Roku z Rossinim*, do którego nie doszło ze względu na pożar. Dwa dziesięciolecia nie zniekształciły pierwotnej czystości jej naznaczonej dwoma kwarcami twarzy. Na jej widok moje zastygłe w bezruchu serce nagle się poruszyło i chyba dopiero wówczas w pełni zdałem sobie sprawę, jak bardzo zakochany byłem w tej kobiecie, która nigdy nie mogła być moja. „Dorotea” – wyjąkała nerwowo, ignorując moje otwarte ramiona dokładnie tak samo, jak przed laty. – „Wiolonczelistka z zespołu z Casa del Arte, to moja córka. Jest jak młody Hector niemogący uwolnić się od pokus związanych z potęgą swojego umysłu. Tobie, Saturnino, udało się sprawić, by Hector nauczył się pokory. Może i jej zarozumiałość i ośli upór uda ci się pokonać. Proszę cię, chociaż spróbuj”. Z wciąż rozwartymi szeroko ramionami obserwowałem parę zielonych gołębi znikających chyżo pośród wyściełającej ulicę mgły. Biedaczka nie wiedziała, że to nie w moich rękach leży moc przemieniania ludzi. Że moc taką posiada jedynie miłość. Nie mówię ci tego bez przyczyny, kochasiu. Przez te osiemdziesiąt trzy dni w jej postępowaniu zmieniło się bardzo wiele. Tylko że zrobiłeś już wszystko, co mogłeś dla niej zrobić na pustyni. Teraz musisz zaopiekować się Doroteą na ziemi.

ROZDZIAŁ XII

Najgorszy portier w historii ludzkości

Na poziomie marzeń i fantazji nie można się zbłądzić nawet i przed największym geniuszem świata. Ale na poziomie ziemskim Dorotea w sposób jawny i bezpośredni przerastała mnie zarówno intelektualnie, jak i wertykalnie.

- Mucha - ostrzegłem ją kiedyś na tarasie jej domu, widząc, że mały insekt frunie, by zaatakować ją od tyłu.

- Niegroźna - oceniła, nie odwracając się. - To zwykła *musca domestica*, poznaję po częstotliwości i poziomie decybeli dźwięku wydawanego przez skrzydełka.

I tak było ze wszystkim. W ciągu dwóch dni nauczyła się języka polskiego (przy czym drugi dzień potrzebny był jej jedynie na szlifowanie akcentu) i okazała się mieć jeszcze większą biegłość w określaniu czasu niż sam Czarnoksiężnik (nie musiała ani nosić zegarka, ani obserwować słońca, bo jej genialny umysł sam dyktował bezbłędnie, która jest godzina). Istotną wadą Dorotei było natomiast wspomniane przez Saturnina Caballo niereformowalne zarozumialstwo typowe dla przedstawicieli rodu Ganzúa. Każda z moich prób opowiedzenia jej skomplikowanej historii, w którą była uwikłana przez sam fakt swoich narodzin, obrażała, w jej mniemaniu, jej inteligencję i kończyła się, co tu dużo mówić, klęską.

- Daj już spokój, Mario - zwykła komentować moje wywody. - Zajmij się połowem ryb, hodowlą pszczół albo liczeniem słoików na pniach drzew, ale, na litość boską, nie próbuj wzbogacać literatury science fiction o te dyrdymały!

Cały szkopuł tkwił w tym, że nie mogłem zacząć opowieści od samego początku, to znaczy ujawnić, że zostałem nasłany przez jej ojca, który był moim Mistrzem, bo wówczas spadłbym w jej oczach do rangi niedouczonego smarkacza. Żeby nie zostać określony tym niewdzięcznym mianem, bardzo długo opowiadałem jej owe spotykające się z wieczną dezaprobatą historie bez początku, końca, ładu i składu. Prawdopodobieństwo, że Diogenes porwie dziewczynę do swojego świata, wzrastało jednak z dnia na dzień, a moja reputacja nie miała prawa być ważniejsza od losów całego świata...

- A wiesz, że ja też mam na imię Feliks? - zapytałem ją wreszcie 20 listopada, kiedy szukaliśmy w sklepie muzycznym prezentu imieninowego (nowego pokrowca) dla jej wiolonczeli, Feliksa.

- Nie, Mario - zaprzeczyła z nutką politowania w głosie - ty masz na imię Mario. Coś ci się chyba poprzewracało w tej kudłatej łepetynie, ale spójrz tylko, możemy dostać pokrowiec za pół ceny, jeśli weźmiemy dodatkowo jeden z tych breloczków.

- Słuchaj, Doroteo. - Zagroziłem jej drogę do breloczków. - To ja jestem niedouczonym smarkaczem z Polski, dla którego opuścił cię ojciec. Mistrz wiedział, że tu kiedyś przyjadę i domyślał się, że od razu cię pokocham,

dlatego wspomniał ci, że twój *novio* będzie miał na imię Szczęśliwy. Doroteo, musisz mi uwierzyć! - krzyknąłem desperacko na widok pogardy w jej oczach, zamachując się przy tym arcypaskudnym breloczkiem z kocią łapą. - To ja jestem uczniem Czarnoksiężnika! - wykrzyknąłem patetycznie.

Skutek tych słów był jednak o wiele gorszy niż zyskanie w oczach Dorotei reputacji niedouczonego smarkacza. Ona pomyślała, że po prostu drwię z niej i z jej niefortunnej relacji z ojcem, więc zaczęła traktować mnie jak zwykłego szczura ściekowego, utrzymując, że nie chce mnie znać, a także, że jeśli chcę się do niej odezwać, to mogę to uczynić wyłącznie w pełnym pogmatwanych zasad języku, który specjalnie na tę okazję wymyśliła. Wojna trwała parę ładnych dni i całe szczęście, że patent Mistrza z wiolonczelą i graniem pod oknem tańców z suity okazał się być całkiem sprawny. Najpierw, co prawda, warknęła, żebym tym fałszowaniem nie burzył jej wewnętrznego poczucia stroju równomiernie temperowanego^[1], ale potem parsknęła śmiechem i pozwoliła się zaprosić na słodką bułkę do Churrerii.

- Señorita pracuje w Gran Teatre del Liceu? - Sprzedawca skierował do widzianej po raz pierwszy Dorotei swoje sztandarowe pytanie, które pomagało mu rozeznaczyć się, czy ma traktować klienta ulgowo.

- Na razie nie, proszę pana. Kiedyś pewnie dołączę do orkiestry, ale na razie proszę portiera, by nocami wpuszczał mnie na scenę i pozwalał mi grać na wiolonczeli dla

wyimaginowanej widowni – wyznała z właściwą sobie bezpośredniością córka Mistrza, uśmiechając się szelmowsko. – Czuję się wtedy jak gwiazda.

Sprzedawca pobladł. Byłem świadkiem osuwania się jego bezwładnej dłoni z lady i staczania się upuszczonego przez nią pączka wprost do kałuży.

– Señorita, to są tylko żarty, prawda? Nie są? Och, señorita... Señorita, bardzo proszę tego więcej nie robić. To jest... to jest sprzeczne z prawem...

– Czyżbym miała do czynienia z zakamuflowanym pośród stosu ciastek stróżem prawa? – prychnęła Dorotea. – Cóż na tym świecie nie jest zabronione? Gdyby wszyscy byli tacy restrykcyjni jak pan, z pewnością byłoby więcej samobójstw, bo ludzie pomarliby z nudów, robiąc tylko to, co wolno. Zakazany owoc smakuje najlepiej!

Niecodzienna sytuacja: moja ukochana i znajomy sprzedawca ciastek spierali się o to, czy wolno włamywać się nocami na scenę teatru operowego! Chyba dostałbym palpacji serca, gdyby w owym momencie ręka boska nie umieściła pod budką zbawiennej chmary klientów. Zebraliśmy się z Doroteą do ucieczki pewni, że sprzedawca skieruje na nich swoją uwagę, ten jednak, ignorując przepełnione wilczym apetytem oczy rodziców z sześciorgiem dzieci, odszedł od lady i chwycił na poły przelęknioną, na poły rozbawioną Doroteę za rękę. Zaczął wpatrywać się w jej oczy wzrokiem tak przenikliwym, jakby szukał ukrytego gdzieś w ciemnych zakamarkach jej czaszki zasianego dawno zła. Najwyraźniej wyłowił je stamtąd, gdyż

po chwili przemówił:

- Czy señorita wie, kto tak samo robił? Czy wie, kto miał zwyczaj grania nocami na scenie teatru... Co, señorita Hechicero? - Oboje aż podskoczyliśmy zdziwieni, że znał jej nazwisko. - Tak robił panienki ojciec, gdy był młody. On też chadzał nocami na scenę Liceu, by grać na wiolonczeli. Syn śpiewaczki Matilde Hechicero, Hector.

Dorotea zaśmiała się pogardliwie, obracając się na pięcie.

- Proszę czekać! Wiem, co mówię! Hector Hechicero, wiolonczelista z Via de Saint Lluís. Kilkanaście lat temu ściągnął na teatr Liceu wielką katastrofę, grając tak sobie nocami! Założę się, że to ta panna powieliła jego wyczyn w tegoroczną noc sylwestrową, tyle że podobnie jak tatuś nawet nie ma tego świadomości!

- Hej, jaką katastrofę?! Proszę zaraz mówić, skąd pan to wszystko wie? - wydarłem się o kilkanaście decybeli za głośno. Państwo przy ladzie, którzy właśnie analizowali, czy bardziej opłaca się kupić szesnaście francuskich rogalików, czy osiem pączków z nadzieniem z dzikiej róży, spojrzeli na mnie ze zgorzeniem.

Właściciel Churrerii opuścił nas już jednak na rzecz wygłodniałych klientów.

- Czy ktoś z państwa pracuje może w Liceu?

Przypomniały mi się słowa Abelarda Pildory o metodach włamywacza z dziewięćdziesiątego czwartego. Wedle relacji jego ojca intruz sprzed dwudziestu lat grywał nocami na scenie teatru. Czy zatem to mój Mistrz, który musiał być

wtedy w naszym wieku, podpalił Gran Teatre del Liceu? Jak do tego miała się opowieść Saturnina Caballo, w której Czarnoksiężnik przebywał w Afryce, kiedy wybuchł wielki pożar?

By poznać odpowiedź na te pytania, blisko północy odwiedziłem Churrerię ponownie.

- Pójdźmy na taki układ - zaczepiłem sprzedawcę. - Widzi pan, tak się składa, że osobiście jestem na posadzie portiera w Liceu i to ja osobiście odpowiadam, kto wchodzi do środka, a kto nie. - Wyjąłem zza pazuchy identyfikator portiera Mario Lombriza. - Nigdy więcej nie wpuszczę córki Czarnoksiężnika nocą na scenę, ale pod jednym, jedynym warunkiem. Opowie mi pan teraz dokładnie, co wydarzyło się 31 stycznia 1994 roku.

Sprzedawca ciastek przygryzł wargi, a jego ręka zadrżała nieznacznie, gdy kładł ostatnią już monetę na pięciopiętrowej zaledwie wieży. Napotkał na swej drodze mój nieznający cienia litości wzrok, po czym zwinął interes, wskazał mi najbliższą ławeczkę i rozejrzawszy się, czy w promieniu dziesięciu metrów nie kryją się szpicle, podjął wyzwanie.

- Na początku lat osiemdziesiątych zacząłem pracować jako portier w Gran Teatre del Liceu. Ubóstwiałem operę, ale nie w takim znaczeniu jak to jest powszechnie rozumiane. Nie rajcowały mnie złoto i purpura, welwet i aksamit, kryształowy żyrandol i duch Mozarta, unoszący się wysoko nad ogromną połacią świeżo wykrochmalonych szat znamionujących dystygowaną elitę kulturalną Barcelony.

O przyspieszone bicie serca przyprawiało mnie obserwowanie tego magicznego świata od wewnątrz, przyglądanie się muzykom jeszcze przed ich przemianą. Czułem się wtedy, jakbym wnikał w jakiś utajniony proces tworzenia, a ściślej mówiąc, za kulisy procesu tworzenia. Jakbym siedział po turecku obok Pana Boga i podglądał, jak dmucha nos, zanim stworzy morza i oceany, jak zdejmuje paproch z surduta, nim powoła do życia człowieka. Poza tymi wszystkimi wspaniałościami miałem wreszcie wystarczająco dużo czasu dla mojej ślicznej dziewczyny Margarity, z którą ubóstwialiśmy snuć się całymi dniami po mieście, a raz w miesiącu za darmo mogliśmy gościć w budynku opery. Oczywiście nie ja sam zajmowałem stanowisko portiera; było nas trzech, tak by jeden mógł pracować, gdy drugi odsypia noc, trzeci zaś, gdy drugi odsypia dzień. A zresztą po cóż ja to panu tłumaczę, skoro sam stanowi pan jedno z ogniw tego mechanizmu. Moi zmiennicy zmieniali się tak często, jak pierścionki na palcach mojej Margarity. Na początku był Faustino Vapor, zwany przez wszystkich dzieciołem, przez to, że potrafił przez kilka godzin nieprzerwanie stukać w jednym rytmie nogą o podłogę (później odkryliśmy, że miał w uszach słuchawki i po prostu w kółko słuchał tego samego utworu: trzeciej części *Wielkiej* Schuberta). Następnie dołączył do mnie Marcelo Zángano, który służył z hulaszczego trybu życia i którego trzeba było wkrótce spacyfikować, gdyż częstował wysoce nieodpowiednimi żartami harfistki. Zastąpił go Jose Guante o wyjątkowo gburowatym usposobieniu. Przez jego złośliwe docinki

i zbytnią podejrzliwość problemy z dostaniem się do środka mieli nawet sami muzycy... Jak widzisz, moi koledzy zmieniali się jak w kalejdoskopie. Ja tymczasem bez szemrania grzałem portierski taborecik przez całe osiemnaście lat. Ten teatr był moim domem: wszystkie jego zakamarki, tajemnice i mity były dla mnie chlebem powszednim, podczas gdy sam stałem się dla niego nieodłącznym elementem wyposażenia, czymś w rodzaju wmurowanej w ścianę szafy. Przez ten długi czas poznałem samych muzyków lepiej niż własną kieszeń. Wiedziałem o ich umiejętnościach, nawykach, troskach i problemach. Kiedy już przestałem się spotykać z Margaritą, zdarzało mi się nawet rozmawiać... może trochę za długo... ze śpiewaczkami... Jedna z nich była bardzo bliska mojemu sercu... nazywała się Irene Martillo i śpiewała sopranem... Miała najpiękniejsze rączki na świecie... miękkie jak płatek róży... i tak białe, jak gdyby oblane mlekiem... podziwiałem je na kolanach... dopóki nie zagościł na nich pierścionek zaręczynowy od... od... od... tego zatuczonego kontrabasisty, Claudia Pildory! Och, bezczelny, jak śmiał? Jak on śmiał? Przepraszam, że o tym mówię, ale... ta szpilka wciąż tkwi gdzieś w moim sercu i kole je w najmniej oczekiwanych momentach... Epizod z Hectorem rozpoczął się w połowie lat osiemdziesiątych. Wówczas zwróciłem uwagę, że posągowej postury śpiewaczka Matilde Hechicero, notabene wielka przyjaciółka i powierniczka mojej Irene, przyprowadza ze sobą do garderoby swojego synka. Oczywiście nie miałem nic przeciwko wpuszczaniu go do strefy pracowników, wiedząc,

że odrobina uprzejmości wystarczy, by Matilde uchyliła mi rąbka tajemnicy w kwestii spraw sercowych Irene. Zresztą te moje małe przekręty nie trwały długo, bo wkrótce chłopiec, jako że zaczął śpiewać w chórze chłopięcym, dostał własną przepustkę i mogłem go wpuszczać zupełnie legalnie. A słodkie słówka o rzekomej miłości Irene do mnie skapywały z ust Matilde w dalszym ciągu. „Irene szepnęła mi dziś podczas próby, że to wielka szkoda, że pan pracuje na zmianie wieczornej i nie może zająć miejsca na widowni podczas dzisiejszego wykonania *Toski*, bo ona gra główną rolę, a kiedy ma szansę wyłowić pośród publiczności osobę bliską swemu sercu, jej wykonanie jest nieporównywalnie lepsze” – powiedziała któregoś dnia. Te słowa poruszyły mnie do tego stopnia, że zdobyłem się, by poprosić okropnego Josego Guante o zastąpienie mnie tego wieczora, obiecując w zamian za to zastępowanie go na wszystkich jego zmianach do końca miesiąca; odkupiłem od ulokowanego w pierwszym rzędzie brata Irene jego bilet, wykorzystując ku temu całe moje oszczędności, które odkładałem na wymarzoną podróż na Wyspy Kanaryjskie; ufryzowałem brwi u działającej nieopodal Madame Valerii, włożyłem garnitur i muchę, i zjawiłem się jeszcze tego wieczora na *Tosce*. Dobry Boże... Była w amarantowej sukni, tak tkliwie oblekającej jej doskonale wyrzeźbione ciało... I śpiewała... Ja to jestem prosty człowiek i się nie znam... Ale jej głos był jak szlachetny kamień... I taki potężny... Ja bym się zupełnie nie spodziewał, że moja Irene, mijająca mnie co drugi dzień dziewczyna w bluzce i spodniach, która wita mnie w ten sam

sposób, co moja sąsiadka z naprzeciwka, kryje w sobie tak ogromny skarb. Płakałem, gdy śpiewała, bo wiedziałem, że to dzięki mnie, dzięki obecności kochanej osoby na widowni udaje jej się tak pięknie. Po operze cały rozdygotany pobiegłem do garderoby, by ją wyściskać, by ją wycałować i by jej wreszcie powiedzieć o moim nieznanym granic uczuciu. Wiedziałem, że ona powie, że zawdzięcza dzisiejszy ładunek emocjonalny swojego śpiewu wyłącznie miłości do mnie, a wówczas wszystko się odmieni, marzenia staną się rzeczywistością! Gdy jednak dotarłem do jej drzwi, które były już uchylone, spostrzegłem przez szparę kontrabasistę Claudia Pildorę, klęczącego naprzeciw niej i wykonującego ów charakterystyczny gest. A następnego dnia, gdy okazywała przepustkę, na jej dłoni był już ten szpecący nieskazitelne dłonie pierścionek z ametystem... Straciłem całą sympatię dla Matilde Hechicero i dla jej syna, wiedząc, że koloryzowała swoje historyjki, by tylko mnie usatysfakcjonować. Poza tym, któregoś dnia doszła do mnie skarga, że dziecko zostało znalezione na scenie poza godzinami swojej pracy i żebym na przyszłość lepiej pilnował, kogo i kiedy wpuszczam. Od tej pory stałem się czujny i zawsze sprawdzałem godziny pracy chłopca o posępnej twarzy, gdy ten chciał wejść. Pewnego razu przyszedł o wyjątkowo późnej porze, kiedy nie było żadnego przedstawienia. „Nie musi pan sprawdzać” – powiedział. – „Dziś nie śpiewam. Proszę mnie tylko wpuścić”. Pomyślałem sobie: A figa z makiem, smyku! wspominając krzywdę, jaką wyrządziła mi jego matka. „Nie jestem uprawniony, by cię

wpuszczać” - rzekłem sucho. - „Zostałem wręcz specjalnie poproszony, aby tego nie czynić”. „Mam ze sobą wiolonczelę” - wskazał na gigantyczny toból na swoich barkach. - „Chciałbym wejść na scenę i zagrać dla wyimaginowanej publiczności”. „Każdy by chciał, ale takimi prawami rządzi się ten teatr” - na widok rozczarowania chłopca, moje serce trochę zmiękło. „No, jeśli chcesz, ja mogę być twoją publicznością, wcale nie wyimaginowaną”. Chłopiec bez słowa zdjął bagaż z pleców i w skupieniu odpakował swój skarb. Przysunął sobie pierwsze lepsze krzesło i zaczął grać. Nie śmiem o tym mówić, bo wiem, że nie starczyłoby mi słów na opisanie tego dziwnego uczucia, które towarzyszyło mi przy słuchaniu jego wykonania. W każdym razie skutek był natychmiastowy: bez chwili zastanowienia dałem chłopcu wszystkie klucze potrzebne, by dostał się na scenę i nie prosząc nawet, by uważał i nie natknął się na jakiegoś szpicla, pozwoliłem mu wkroczyć na scenę Liceu. Wrócił po dwóch godzinach, kiedy właśnie słuchałem w radiu prognozy pogody. Dostrzegając kątem oka jego postać, nakazałem mu samym gestem, by odłożył klucze na miejsce i był cicho (wybierałem się bowiem następnego dnia na urlop i pod żadnym pozorem nie mogłem przegapić informacji na temat ewentualnych opadów deszczu). Gdy wróciłem z wakacji, spodziewałem się przykrych reperkusji mojej nadmiernej pobłażliwości, takowe jednak nie nastąpiły. Wrócił natomiast tajemniczy chłopiec ze swoją wiolonczelą na plecach. Przybył o równie późnej porze, jak poprzednio i równie grzecznie poprosił mnie o klucze na scenę. „Nie,

chłopczyku, dosyć tego!” - zakrzyknąłem przerażony bezlitosną siłą emanującą z czarnych oczu dziecka. „Nie ma mowy! Słuchaj, ja... Ja tu pracuję, mi nie wolno!” Dostrzegłem, że wyjmuje instrument. „Nie graj!” - krzyknąłem, wiedząc, jaki wpływ na mnie ma jego uwodzicielska muzyka. „Zaklinam cię, nie graj!” Wybiegłem z portierki, szukając zakątka, do którego nie dotrą jej dźwięki. Okazało się to jednak niemożliwe, bo już po chwili w całym teatrze rozbrzmiała symfonia potężnych, niczym brzmienie organów, dźwięków penetrujących każdą dziurę w podłodze i rozkochujących w sobie każde żywe uszy w promieniu kilometra. Nie upłynęła minuta, a klucz leżał już na jego wyciągniętej, jak po jałmużnę, dłoni. Ta nasza partyzantka trwała latami. Hector rozrósł się przez ten czas jak wielki dąb, a jego twarz stała się jeszcze bardziej posągowa. Mimo to wciąż nie przestawało go ekscytować oddawanie się naiwnym marzeniom o wielkiej karierze na scenie teatru. Ja zaś zdążyłem zaufać mu już na tyle, że zawsze, gdy nadchodziła noc, kładłem pęczek kluczy na ladzie, bym w razie czego nie musiał się specjalnie budzić. W styczniu dziewięćdziesiątego czwartego roku poinformowano mnie, że na scenie odbędą się pod koniec miesiąca prace konserwatorskie. Ja zaś, kompletny idiota, nie pomyślałem, że nawet jeśli Hector przyjdzie, nie będzie mógł dostać się na scenę, która jest w remoncie, i w związku z tym głupotą będzie dalsze kładzenie kluczy na ladzie. Nic niepożądanego jednak, mimo iż to regularnie czyniłem, nie wydarzyło się aż do końca miesiąca. Dopiero 31 stycznia, nad

ranem, dopadła mnie w portierce rozgorączkowana Matilde Hechicero, mówiąc, że szuka syna. Dodała, że wie, że on często przychodzi do Liceu, by grać na wiolonczeli na scenie, dlatego chciałyby przeszukać budynek. „To już dorosły chłopak” – postarałem się, by efekt tych słów był wierną repliką uczucia, które ogarnęło mnie kiedyś na widok pierścionka z ametystami. – „Pewnie wyjechał ze swoją dziewczyną na parę uroczych dni do Lloret albo imprezuje z gdzieś kumplami...” „Bardzo proszę ze mnie nie drwić!” – wzburzyła się. – „My mamy na tym świecie tylko siebie. Mąż przepadł, gdy Hector miał trzy lata. On... mój synek nigdy nie zniknął na dłużej niż na jedną noc i za każdym razem tłumaczył mi się, że idzie do Liceu, by pograć na scenie. Cztery dni temu nagle zniknął, nie zostawiając mi żadnej informacji. Proszę zrozumieć i pozwolić mi sprawdzić”. Śmieszyła mnie. „Hormony, proszę pani, hormony. Zwróciłbym chyba uwagę, że przeszedł” – burknąłem oschle, dodając pod nosem coś na temat przewrażliwionych mamusiek, które nie mogą się pogodzić z tym, że czas robi z ich pieśzczošków mężczyzn. Jednak w tym samym momencie, kiedy nałożyłem okulary, by wyglądać ociupinkę bardziej srogo, zauważyłem brak kluczy, które parę godzin wcześniej odruchowo położyłem na ladzie. Przeszło mi przez myśl, że faktycznie podczas mojego snu mogło wydarzyć się coś niepożądanego, do środka mógł wejść ktoś znacznie bardziej niebezpieczny niż syn śpiewaczki. „Wie pani co?” – wypaliłem nieoczekiwanie. „Właściwie to ma pani rację, trzeba koniecznie sprawdzić, czy pani syna tu nie ma!” –

wykrzyknąłem, po czym dzikim galopem przemierzyliśmy płataninę korytarzy, by dostać się na scenę. Tam, ku mojej najwyższej uldze, krzatali się jedynie konserwatorzy, którzy pogwizdując beztrosko, odpakowywali właśnie z teczek drugie śniadanie. „Cholera! - pieklił się jeden z nich - dopiero wczoraj pomalowałem ten pręt, a już jakiś osioł przyozdobił mi go jakimiś literkami *P*! Odcisnął chyba stempelek, czy co, pomysłowy jakiś!” „Pewnie Hector jest w mojej garderobie”. Matilde Hechicero po gruntownym przebadaniu sceny pobladła jeszcze bardziej. „Pójdę tam, by to sprawdzić”. Nie mogłem wiedzieć, że po raz ostatni widzę ją żywą. Kiedy Matilde Hechicero poszła do swojej garderoby, w której zgodnie z jej wersją od czterech dni gościł jej syn, ja, uspokojony, że wszystko w porządku, wróciłem na swoje stanowisko. Ku mojemu zdumieniu pęczek kluczy leżał z powrotem na ladzie, a zatem, nim doszedłem na miejsce, Matilde musiała zdążyć znaleźć w garderobie syna i opuścić z nim teatr. Uśmiechnięty szeroko, nucąc sobie pod nosem *Twinkle, twinkle, little star*, zacząłem odwieszać klucze na haczyki, kiedy spostrzegłem, że w pęczku brakuje klucza od garderoby śpiewaczki. W popłochu zacząłem przeszukiwać wszystkie możliwe szuflady, w których mogły leżeć klucze zapasowe do garderoby Matilde Hechicero, żadnego z nich jednak nie znalazłem. Gubiąc się w natłoku rodzących się w moim umyśle wersji wydarzeń, pognałem zaniepokojony w kierunku garderoby matki Hectora i lekceważąc wszelkie zasady prywatności, szarpnąłem za klamkę. Drzwi, ku

mojemu jeszcze większemu zdumieniu, były zamknięte. Już miałem zawrócić z powrotem do portierki, by sprawdzić, czy w takim razie klucze wróciły na swoje miejsce, kiedy raptem z wnętrza pomieszczenia dobiegło moich uszu łomotanie w drzwi. Mogłem się domyślić, że intruz, który nocą zabrał klucze, a w momencie mojego opuszczenia portierki zwinął również wszystkie klucze zapasowe, uwięził tam poszukującą syna Matilde Hechicero. Jej wielki mezzosopran wyśpiewujący ostatnie błagalne okrzyki przed śmiercią, tłumiony był przez ściany, które zostały specjalnie skonstruowane tak, by muzycy nie słyszeli nawzajem swoich ćwiczeń rozśpiewujących. Nie miałem pojęcia, jak jej pomóc, nigdy nie należałem do osób zaradnych. Pognałem w tej sytuacji na górę, do konserwatorów, by powiedzieć im o uwięzionej mezzosopranistce i spytać o radę. Tam jednak mój wzrok napotkał żywe płomienie pożerające kolejne elementy sceny. Pracownicy na moich oczach rozpierzchli się w popłochu, a ja przez parę sekund gapiłem się bezwolnie w ogień, obserwując, jak stopniowo imperium zamienia się w popiół. Powoli, jak na filmie w zwolnionym tempie zaczęło do mnie docierać, że doprowadziłem do katastrofy w jednym z największych teatrów operowych świata. Że jestem najgorszym portierem w historii ludzkości... Wtem przypomniałem sobie o Matilde Hechicero uwięzionej w swojej garderobie i chwyciłem jakiś płonący niczym pochodnia słup, który dopiero co oberwał się z sufitu. Ściskając go ze wszystkich sił, zbiegłem na dół, by wyważyć nim drzwi do garderoby śpiewaczki. Uderzyłem prętem

parokrotnie zbudowane chyba ze stali drzwi, ale skutek był opłakany, bo tylko niepotrzebnie roznieciłem ogień w korytarzu. Dostrzegłem też, że biegnąc z pochodnią, zająłem ogniem mijane obiekty. Wężykowaty, gorejący strumień, sunący po poręczy schodów, powoli doganiał mnie wciśniętego w głąb korytarza. Wiedziałem, że zasłużyłem co najmniej na taką śmierć, jaką sprowadziłem na tę nieszczęsną kobietę, ale rozpierające mnie pragnienie ponownego ujżenia białych rączek Irene Martillo (choćby i przyodzianych w ten obrzydliwy pierścionek z ametystem), zwyciężyło. Skierowałem w szczelne drzwi niesłyszane przez nikogo przeprosiny, po czym szybkim slalomem wyminąłem ogniste kępki i opuściłem już na zawsze gmach Liceu. Zmieszałem się po cichu z tłumem obserwującym w przejściu, jak tytan opery na skalę światową przeobraża się w zgliszcza. Żaden z gapiów nie domyślał się nawet, że zakamuflowany pośród nich cherlawy niezdara jest właśnie sprawcą całego nieszczęścia. Oczywiście później, podczas śledztwa, wielokrotnie brano moją osobę pod lupę, nikt jednak, nawet w najśmielszych wyobrażeniach, nie był w stanie zrekonstruować wirtualnej kliszy, na której zarejestrowany był mój frenetyczny bieg po korytarzach Liceu ze ścisną kurczowo w dłoniach płonąca żywym ogniem pochodnią, a co za tym idzie, udowodnić mi winy wprost. Gnębiony wyrzutami sumienia otworzyłem tuż obok budynku teatru budkę z ciastkami, by w ramach rekompensaty za straty, które zostały poniesione z mojej winy, muzycy mogli przynajmniej żywić się za darmo. O ile

sprawa wielkiej Matilde Hechicero, która spłonęła w czeluściach Gran Teatre del Liceu, była bardzo głośna, tak o osobie jej syna mało kto przy okazji wspominał. Ale ja o tajemniczym chłopaku z wiolonczelą, właściwej przyczynie całego zła, myślałem wręcz obsesyjnie. Wydawało mi się, że podobnie jak ja, osunął się gdzieś na czwarty plan życia miasta, tyle że w odróżnieniu ode mnie, pozostał nieświadom swojego udziału w całej tej tragedii, dlatego modliłem się, by sprawiedliwy Bóg miał przyklaskiwać jego inercji w stanie błogiej nieświadomości, ukarał Hectora stosownie do jego przewinień. Wszechmogący raz jeden, jedyny wysłuchał mojej modlitwy. 1 stycznia bieżącego roku moje radyjko poinformowało mnie, że wiolonczelista teatru operowego Gran Teatre del Liceu, Hector Hechicero spłonął uwięziony w kanale orkiestrowym...

Cała wyściełana mrokiem nocy ulica zastygła w bezruchu wsłuchana w opowieść starca. Nawet tańczące dokoła latarni beztroskie światełka znieruchomiały w powietrzu, pozostawiając złudzenie, że są mikroskopijnymi namiastkami gwiazd na wyciągnięcie ręki. Wszystkie istoty niemogące się poszczycić mianem żywych, zgromadzone tej nocy na Carrer dels Tallers, poznały nieznaną ludziom prawdę; prawdę, o którą pytali się nawzajem przemierzający na co dzień ulicę przechodnie; prawdę, której próżno dociekały media na całym świecie. Poznały ją i skapujące z latarni migoczące światełka, które z powodzeniem udawały gwiazdy, i pączki z nadzieniem z dzikiej róży, które parę godzin temu przegrały z rogalikami francuskimi, i nawet podżgana ławka,

na której siedzieliśmy. Ławka podżgana w dosyć specyficzny sposób, trzeba przyznać. Ławka, na której poręczach ktoś kiedyś rył igłą rzędkę cienutkich laseczek, by odnotować, ile już dni na niej spędza. Ławka na skrzyżowaniu ulic, ławka, na której raz przysiadł i na której ugrzązł na następne dziewięć lat sprawca wielkiego pożaru!

- Pamiętam tego człowieka. - Właściciel Churrerii wyglądający w latarnianym świetle jak widmo nie spuszczał ze mnie wzroku. - Potrafił spędzić pięć godzin, dłubiąc igłą w poręczy.

Przeszło mi przez myśl, że drobne kreseczki mogły być czymś więcej niż tylko kreseczkami, jeżeli na wyłobienie jednej z nich potrzeba było aż pięciu godzin. I wtedy jedna z nowo narodzonych latarnianych gwiazdek spadła tuż obok mnie, rozświetlając przede mną kolejną tajemnicę ulicy Carrer dels Tallers.

Jak się okazało i dla geniusza istniały sprawy wstydlive. Obie poręcze pokryte były w rzeczywistości nie kreskami, ale trzytysięcznowierszowym, miniaturowym rozmiarów poematem opiewającym urodę, wdzięk i dobroć serca Teodory o oczach jak chabry, żony tego zwyrodnialca z duszą artysty - Antonia Salazara.

[1] Strój równomiernie temperowany - strój muzyczny stosowany powszechnie od XVIII w.

ROZDZIAŁ XIII

Kolacja na orkiestrę symfoniczną

Jako mały chłopiec zapytałem mojego profesora, co to jest orkiestra. Zmarszczył wtedy brwi i zatopił wzrok w kłębowisku kolorowych obłoków za oknem. Musiałem poczekać na jego odpowiedź znacznie dłużej niż zazwyczaj.

- Orkiestra, Feliksie, jest tworem wyjątkowo niebezpiecznym, jak wielki, dymiący potwór w stanie letargu. Stanowi ją bowiem mozaika kilkudziesięciu nieobliczalnych indywidualności, które, gdy każda z nich zapragnie okazać swoje artystyczne ja, są w stanie sprawić, że potwór się rozbudzi - powiedział w końcu.

Nie rozumiałem tych słów przez wiele, wiele lat aż do 24 grudnia tegoż roku, kiedy to po powrocie z pasterki^[1] znalazłem się na via de Saint Lluís. Po drodze nasza mnie obawa, że jako nieproszony gość zaburzę świąteczny klimat uczającej rodziny Inocencii, ale będąc już prawie na miejscu, spostrzegłem zmierzającą w tym samym kierunku co ja waltornistkę Karin Ledsen, Królową Śniegu (która notabene przyodziana w biały płaszcz wyglądała jeszcze bardziej zjawiskowo niż zwykle). Musiała wciąż pamiętać o incydencie w Casa del Arte, bo pochwyciła nerwowo mój nadgarstek, który, jak poprzednio, pokrył się szronem.

- Nic nie pamiętasz, chłopcze, pamiętaj - szepnęła,

wbijając w moje serce sople generowane przez błękitne tęczyówki pięknych oczu. - Pamiętaj, chłopcze, że nic nie pamiętasz.

Chwilę potem, jak gdyby nigdy nic, przekroczyliśmy ramię w ramię z Karin próg tak dobrze znanego mi domu. Widok tłumów oblegających stół ciągnący się przez cały dom (z wyłączeniem schodów, stanowiących zjeżdżalnię, po której biesiadnicy mogli przekazywać sobie sztuce, potrawy i nuty kołęd), obalił w ciągu sekundy moją teorię o przysłowiowym nieproszonym gościu. Inocencia zaproponowała mi miejsce w części domu zdominowanej przez członków orkiestry Gran Teatre del Liceu, których co prawda znałem, ale tylko jako portier Mario Lombriz.

Na miejscu zajmowanym zazwyczaj przez seniora rodu siedział łysy kontrabasista, Abelardo Pildora. Przyodziały był w wyjątkowo ohydnie leżący na jego kulistym brzuchu szmaragdowy garnitur ze złotymi kłamrami. Miejsca pierwородnego i pierwородnej seniora zajmowali czerwony oboista Néstor Remolacha i jakieś eteryczne stworzenie o aparycji rezolutnej ośmiolatki, które jednak zbytnim rozsądkiem nie grzeszyło, co zdradził okrzyk na mój widok:

- Jak to dobrze, że twój mąż zgolił wreszcie tę ohydłą brodę, Inocencio, słowo daję, od razu dwadzieścia lat wstecz!

Tuż obok tajemniczej kobiety ulokował się potężny fagocista Gumersindo Abejorro, który odkąd wszedłem, miał głowę zadartą tak wysoko, jakby usiłował udowodnić komuś swoje pokrewieństwo z żyrafą.

- Karin, zająłem ci miejsce! - wrzasnął do przerażonej

waltornistki, odsuwając krzesło naprzeciw, a że nie raczył przedtem opuścić głowy, runęło ono prosto pod nogi niosącej napoje Inocencji.

Obok miejsca rezerwowanego dla pięknej Karin Ledsen, a naprzeciw wyfiokowanej gracji o amarantowych włosach spiętych w coś na wzór drapacza chmur, siedział zezowaty puzonista Paco Muneco, który deliberował z barytonem Olafem Espadą na temat składu chemicznego napoju zaserwowanego przez Inocencję. Dalsze miejsca zajmowała cała horda zgrzybiałych skrzypaczek, a za nimi znajdował się wielki tłum ludzi, których nie znałem.

O moim wyborze miejsca decydowało przede wszystkim prawdopodobieństwo, z jakim bezpośredni sąsiad mógłby rozpoznać we mnie portiera Mario Lombriza. Żeby zmniejszyć ryzyko do minimum, zasiadłem w kręgu skapcianałych skrzypaczek wyglądających na zupełnie ślepe.

- Zniewalająco czarujące! - Puzonista Paco Muneco parsknął szampanem prosto na nieznaną mi kobietę o amarantowych włosach. - Czarujące wszystkie cztery, jedna wspanialsza od drugiej!

- Nie pluj na mnie! - Tarła się z obrzydzeniem lafirynda z naprzeciwka. - Kto czarujący?

- Mowa o naszych flecistkach? - włączyła się do rozmowy wiekowa skrzypaczka ufryzowana na Marylin Monroe. - A czy znacie tę historię?

- Wszyscy ją znają, Magdaleno - prychnął senior rodu, a jego brzuch o promieniu trzech metrów zatrząsł złowrogo stołem. - Jeżeli plotka doszła do kontrabasów to znaczy, że

wszyscy, którzy mają wiedzieć, wiedzą.

- Ja nie znam! - pisnęła wściekle kobieta o amarantowych włosach, po czym pociągnęła sowity łyk szampana. - Proszę mi tu nie deprecjonować orkiestrowych weteranów!

- Znasz Constantego Pescadora, Yolando, prawda? - spieszyła z wyjaśnieniem Magdalena Monroe, dla której najwyraźniej nie było świąt bez opowiedzenia historii czterech flecistek. - To ten szarmancki jegomość, który czasem przychodzi do Neptuno pochwalić się, ile biletów operowych ma już w swojej kolekcji, były dyrygent jakiejś tam orkiestry w Walencji. To jest, jak się okazało, wspólny ojciec zatrudnionych na jesieni zeszłego roku flecistek! Wyobraź sobie, że Constante miał od wczesnej młodości jedną, jedyną słabość: nie mógł oprzeć się urokowi pań grających na flecie. Będąc w kwiecie wieku, miał w sobie tyle czaru, że obojętne z jaką orkiestrą, w jakim miejscu świata by nie pracował, w jakim wieku i stanie cywilnym nie były flecistki, zawsze padały jego łupem. I cztery spośród jego rozlicznych kochanek wyhodowały sobie potomstwo również grające na flecie, a te dziewczyny, niewiarygodna sprawa, spotkały się po latach w jednej orkiestrze, przy jednym pulpicie!

- Niesamowite! - wypowiedział się milcząco dotychczas baryton, Olaf Espada. - Ja też o tym nie wiedziałem. Ale jakie sprytne są te flecistki! Pamiętacie ten numer z Pentagramą?

- Ja nie pamiętam! - wyrwała się kobieta nazwana Yolanda, nim kontrabasista zdążył burknąć, że jeśli on wie,

to znaczy, że już wszyscy wiedzą.

- Filuterne flecisteczki uknuły sobie taki oto podstęp - odezwała się Inocencia, wchodząc do salonu z kolejnymi naręczami półmisków. - Każdorazowo, kiedy dyrygent miał pokazać wejście któremuś z dętych, pochylały się do przodu, ściskając instrument w gotowości i wlepiały w niego wzrok, jakby to one miały zaraz wejść. I, zgodnie z ich przewidywaniami, biedny dyrygent Pentagrama zawsze, gdy miał machnąć na fagocistę czy na waltornistkę, widząc ich przejęcie, dawał znak właśnie im. A zdezorientowany instrumentalista, któremu nie zostało pokazane jego wejście, niekiedy nie wchodził w ogóle.

- Mniej ciekawie robiło się, gdy dyrygent podchodził do sekcji fletów, by udzielić im reprimendy z użyciem batuty jako narzędzia tortur. - Oboista Nestor wzdrygnął się. - Aż mnie ciarki przechodziły, bo siedzę przecież tuż obok...

- Ależ to był kretyn! - wybuchł Paco, po czym otrząsnął się, przeżegnał i pocałował w palec. - Przepraszam.

- Kretyn, to ty jesteś, Paco, bo już zaczyna się trzynasty rok, od kiedy łudzisz się, że masz szansę u tych dziewczyn, a one cię po prostu o-le-wa-ją! - wyartykułował tubalnie kontrabasista Abelardo Pildora, który w sprawach sercowych miał nosa jak mało kto.

- Muszę zaprzeczyć, muszę zaprzeczyć! - zapiął spazmatycznie puzonista Paco. - W kwietniu 2006 roku, po Czajkowskim, Minerva wyznała mi miłość!

- Ech, niemądry - czknął kontrabasista, niestrudzenie dzierżąc prymat w rozmowie. - Znamy doskonale tę historię,

a prawdziwy jej przebieg jest taki, że Minerva powiedziała, że lubi puzon. I tyle.

- Powiedziała, że czuje przyjemne mrowienie, gdy puzon tak głośno, głośno rozbrzmiewa. No toż chyba trzeba być idiotą, żeby się nie dopatrzeć subtelnego podtekstu.

- Nie. Trzeba być idiotą, żeby zrobić to, co ty zrobiłeś!

- Co zrobił, co zrobił? - zaświergotała wścibsko kobieta o amarantowych włosach.

- Ja ci powiem, Yolando, co zrobił Paco z miłości. Postanowił przekrzywić pierwszego puzonistę, Baltazara, z użyciem całej swej siły skłębionej w tej rachitycznej klatce piersiowej. Gdy ten zorientował się, co Paco usiłuje zdziałać, wepchnął mu piłeczkę kauczukową do instrumentu tuż przed wykonaniem *Tytana* Mahlera. Podczas koncertu nasz puzonista potężnie zadął i dmuchnął z taką siłą, że piłeczka przefrunęła nad włosami wiolonczel, tuż obok ramienia dyrygenta, nad czternastoma rzędami słuchaczy, a ostatecznie wylądowała w krtani siedzącego na widowni księdza, powodując jego uduszenie i śmierć.

Kobieta nazwana Yolandą była wyraźnie zniesmaczona.

- Paco, jesteś mordercą!

- A kto wepchnął piłeczkę? Kto wepchnął? Hę? Baltazar wepchnął mi piłeczkę do puzonu!

- Baltazar jest mordercą! - Stuknął groźnie rączkami widelców w stół w momencie, kiedy Inocencia weszła z kolejnymi półmiskami.

- Kochani, może przez ten jeden wieczór roku zapomnijmy o tym, kto pośród nas jest mordercą... -

powiedziała z właściwą sobie serdecznością.

- Mordercą to jest, moi kochani, Gabriel Sacacorchos - orzekła głosem starej, doświadczonej ciotki skrzypaczka siedząca obok mnie. - Złożył wymówienie akurat tego dnia, kiedy doszło do morderstwa! No niesamowity zbieg okoliczności, doprawdy niesamowity!

- Sacacorchos? - Wypluł kęsek pieczywa oboista Néstor Remolacha.

- Co za Sacacorchos? Co za Sacacorchos? - świergotała Yolanda.

- Niepracujący już mój kolega oboista Gabriel Sacacorchos to był... - Zawiesił się z poetycko wyciągniętym przed siebie kawałkiem chleba Nestor. - Ech, ukryty idealista, ogromnie nieszczęśliwy człowiek. Zawsze niezmiernie go frasowała konieczność biernego siedzenia naprzeciw pulpitu i odliczania stu osiemdziesięciu taktów w celu zagrania marnych sześciu nut, które i tak pozostaną nieusłyszane przez publiczność. To był człowiek czynu. Aktywista, pozytywista, utopista, chyba nawet altruista. Na początku swojej działalności obliczał, ile domów dziecka mógłby odwiedzić, ilu żebraków mógłby wykarmić, ile przysług mógłby wyświadczyć sąsiadom podczas jednej próby. Stale informował mnie zresztą o wynikach swoich bilansów, powiem wam, że jego wypowiedzi były przesiąknięte takim autentyzmem, iż moje serce każdorazowo drżało leciutko i zadawałam sobie pytanie, czy ja na pewno nie jestem odnogą społeczeństwa, grając w orkiestrze.

- A ty byś się, Nestor, zamiast wynikami bilansów zajął porządnym czytaniem nut! Zauważyłam, że już trzeci raz zamiast fisis zagrałeś fis w...

- Po paru latach Gabriel się poddał. To znaczy, jeszcze wtedy nie zrezygnował z posady oboisty, to uczynił bardzo niedawno, porzucił po prostu swoje wzniosłe wyobrażenia, wyrzucił z siebie ducha idealisty. Zszedł, ośmieliłbym się rzec, na manowce, bo na próbach zamiast liczyć domy dziecka, zaczął jak gdyby nigdy nic grać w Snake'a na swojej nokii. Boże drogi, jakbym mu teraz wyskoczył z takim bilansem, ile czasu zabił, klikając w tę gierkę, to jego serce by nie tylko zadrżało, ale wręcz eksplodowało. Robił to przez kilka lat na każdej, ale to dosłownie każdziutkiej próbie! Siedząc obok, widziałem, że jego wąż w grze bywał tak długi, że na planszy było może z pięć czy sześć kwadracików niezaciemnionych przez gada. Wszystko zakończyło się, kiedy podczas pewnego koncertu Gabriel bił swój życiowy rekord, który, jak utrzymywał, miał być również rekordem świata. Cały czas kazał mi patrzeć, jak to jemu rewelacyjnie idzie, podczas gdy ja nie do końca mogłem, bo miałem nie najlepszy stroik, a musiałem strasznie cicho zagrać „b” małe... I właśnie, kiedy Gabriel był już o krok od pobicia owego rekordu, powinien był wejść ze swoją solówką. Oczywiście olał sobie tę solówkę i kontynuował manewrowanie wężem. Wślepiał się w swoją nokię nawet, gdy już po koncercie wnerwiony dyrygent, dźgając go batutą prosto w nos, informował, że osobiście dopilnuje, by go usunięto z orkiestry. To miał być zasadniczo kres pracy

Gabriela w Liceu, jednak niezbity z tropu oboista zgłosił się ze swoją nokią do Księgi rekordów Guinnessa i ku powszechnemu zdumieniu przyznano mu sprawiedliwie, że niniejszym wyhodował najdłuższego węża wszech czasów. Obdarzono zwycięzcę wszystkimi zaszczytami, a co za tym idzie, ponownie wkradł się w łaski dyrektora teatru jako wybitna i wszechstronna indywidualność. Pracował z nami aż do momentu, kiedy w Dzień Niewiniątek minionego roku dyrygent poprosił wszystkich instrumentalistów o przyjechanie na jedenastą, byśmy o wyznaczonej porze zastali na drzwiach karteczkę, która wywołała tak wielkie nieporozumienie. Gabrielowi, który dojeżdżał w dwie godziny z Palafrugell i który zgodnie z treścią informacji zmuszony był zawrócić do domu, przypomniał się pewnie jego wielki idealizm i obsesyjny niemalże szacunek do czasu, bo powiedział w brutalnych słowach, że pałeczka się przegięła i on rezygnuje.

- Bo, tak jak powiedziała Maria, zatarł ślady po dokonaniu zbrodni i wyjechał! - skonkludował wywód Olaf Espada.

- Co też wy najlepszego wygadujecie! - obruszył się czerwony już oboista Néstor, który zawzięcie bronił dobrego imienia oboistów. - Gabriel nigdy nie skrzywdziłby muchy. Prawdziwą przyczyną rezygnacji było to, że kupił nowy telefon, gdzie zamiast Snake'a 2D był Snake 3D, który już go tak nie rajcował i umierał z nudów na tych próbach.

- Ty się, Néstor, tak nie wymądrzaj, bo sam święty nie jesteś!

- Doprawdy? To mi jeszcze wmówcie, że to ja jestem mordercą! No, proszę bardzo!

Starowinka naprzeciw mnie, która wydawała się po każdej kwestii mieć coś do powiedzenia, ale nie starczało jej refleksu, by się wstrzelić, wreszcie – korzystając z niezręcznej chwili ciszy – dostała swoje pięć minut.

- Nie mordercą, ale darmozjadem, a to na jedno wychodzi! My harujemy w pocie czoła, piłując tymi smyczkami nieprzerwanie przez kilka godzin, a ty sobie podczas milionów taktów przerwy wychodzisz z kochankami na kolację! To jest życie, Néstor! A kasy dostajesz tyle samo! Proszę bardzo!

- Czy ty wiesz, Enriqueta, ile czasu i energii pochłania skrupulatne wyliczanie sobie, co do sekundy, ile trwa mój tacet^[2], czy wiesz, ile wstydu kosztuje zaproszenie dziewczyny na godziny tak absurdalne, jak dwudziesta dziewięć i czterdzieści sekund i powiedzenie jej, że będę musiał uciec o dwudziestej dwadzieścia trzy i trzynaście sekund? To wcale nie jest tak różowo! Quid pro quo, nie ma bata! Na randki muszę chodzić ze stoperem!

- Ależ sprytna metoda! - Puzonista Paco był pełen podziwu. - A jeśli kelner spóźnia się z wystawieniem rachunku? Jak sobie wtedy radzisz?

- Podchodzę do niego sam i pytam: „Czy kojarzy pan taką sekwencję nut c-d-c-d-c w partii drugiego oboju w sześćset siedemdziesiątym pierwszym takcie pierwszej części koncertu e-mollowego Chopina?”. Ten zaś, nie chcąc wyjść na dyletanta, odpowiada: „Ależ oczywiście, señor. To mój

ulubiony fragment!”. To ja mu na to: „Więc proszę sobie wyobrazić, że ja mam zagrać ten ustęp za dwie minuty i dwadzieścia cztery sekundy na koncercie w Gran Teatre del Liceu, a tracę czas, prowadząc z panem te idiotyczne rozmowy!”.

- Tak, tak - poparł kontrabasista wypowiedź skrzypaczki sprzed pięciu minut, ignorując słowa Néstora. - Wy, dęte, gracie tyle, co kot napłakał i na koncertach możecie sobie pluć i łapać. Nieroby!

- Abelardo, spokojnie - uciszyła rozjuszonego kontrabasistę Inocencia, dzięki czemu na ułamek sekundy spotulniał - są święta.

Oboista jednak nie dawał za wygraną.

- Tylko że jak gra obój, to każdy słyszy, że to właśnie obój. A wy pitolicie coś tam w tym waszym stadzie i nawet gdy któreś z was przestanie grać, to nikt nie usłyszy.

- A jak cały kwintet przestanie grać? Wtedy już nic nie uratujecie tymi waszymi popierdułkami! - Uderzył na nowo Abelardo Pildora.

- Ejże, ejże! - odezwał się przypominający Jasia Fasole fagocista, który do tej pory zadzierał głowę tak wysoko, że nie mógł swobodnie mówić, bo nie starczało mu skóry na szyi. - Fagot to akurat jest najważniejszy instrument w orkiestrze!

- Ty pyszałku! - wydarła się agresywnie najmniejsza i najbardziej pomarszczona ze skrzypaczek. - Jak śmiałeś wyjść po koncercie e-moll Chopina przed orkiestrę, stanąć pomiędzy solistką a dyrygentem i ukłonić się jako

najważniejszy instrumentalista w orkiestrze? Czy ty wiesz, jaki to był wstyd? Czy ty wiesz, co myśmy przeżywali?

- Tak, tak, muszę poprzeć przedmówczynię - zgodziła się Inocencia. - Nie powinieneś był tak robić.

- Za to jak wy czasem zafałszujecie to aż wnętrzości wykręca! - bronił się fagocista Gumersindo.

- A dęte to niby co? - huknął kontrabasista. - To dęte są źródłem całego fałszu i zakłamania! Wiedziecie, co wy wyczyniacie w *Małej Mszy Uroczystej* w takcie... w takcie... zaraz wyciągnę partyturę.

Inocencia, która właśnie weszła z kolejną porcją ciastek, zawadziła nogą o gigantyczną aktówkę Abelarda, który zajął nią cały przedsiónek w poszukiwaniu nut. Kontrabasista nie wahał się długo, by rzucić znaną dopiero co partyturę i pochwycić wiolonczelistkę w objęcia.

- Abelardo, chyba przesadziłeś z szampanem. - Wyśliznęła się z jego objęć, niespieszona, zbierając ciastka z dywanu.

- Smyczkowcy to niezdary - skomentował ten incydent fagocista w odwecie za pouczenie, którym poczęstowała go Inocencia parę minut wcześniej.

- Uh! Ty pyszałku! - warknął kontrabasista, wróciwszy na miejsce, a z jego nosa zdawała się buchać para. - Dęte to niezdary, choćby przez tych idiotów klarncistów, którym chyba jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło się, żeby nie zapomnieli na próbę klarnetu.

- Hej, to, że klarnciści są idiotami, to wcale nie oznacza, że wszystkie dęciaki są głupie! - obruszył się oboista. - To

jest jawna nadinterpretacja zasad indukcji, a może dedukcji. Indukcji, nie dedukcji. Chyba jednak indukcji.

- Masz rację, głupi to był dopiero Pentagrama - warknęła porywcza skrzypaczka.

- Ćśśś! O zmarłych nie wolno - zbeształ ją puzonista w ramach rekompensaty za poprzednią wypowiedź o Pentagramie.

- Jasne, że nie wolno! - zgodziła się skrzypaczka. - Tylko jedna anegdota w drodze wyjątku. Któregoś razu, nie wiem, czy... hi, hi, hi... pamiętacie...

- Wszyscy pamiętają, Enriqueta!

- Cicho, Abelardo!

- ...to dosyć krępujące, ale... jednocześnie zabawne, że podczas koncertu miał rozpięty rozporek. Między pierwszą a drugą *Trzeciej* Brahmsa usłyszał pomruk dobiegający ze strony kontrabasów: „Maestro! Rozporek!”. A ów nieszczęśnik instynktownie, nie chcąc wykonać tej krępującej czynności przodem do orkiestry, odwrócił się do nas tyłem... to znaczy przodem do publiczności!

Salwa śmiechu, która przepłynęła przez podłużny stół, stłumiła bohaterski okrzyk Abelarda: „To dzięki mnie! To ja byłem tym kontrabasistą! To ja mu zwróciłem uwagę!”. Nie śmiała się jedynie Inocencia, która zgorszona wybiegła wręcz z pomieszczenia, co nieoczekiwanie skomentowała piękna i milcząca Królowa Śniegu.

- Myślę, że nie powinniśmy się tak zachowywać. Inocencia jest w żałobie - powiedziała grobowym głosem, a nad stołem przeszła fala chłodu.

Kontrabasista zlekceważył jednak mrozącą krew w żyłach wypowiedź poprzedniczki.

- Nie ma sensu trwonić łez za Hectorem Hechicero, moi mili - zaczął oziębło, a mnie automatycznie naszło wspomnienie wielkiej przyjaźni Irene Martillo i Matilde Hechicero - bo zdaje się, że on miał drugie oblicze, o którym nikt z was nie ma pojęcia. Do tej pory lojalność nie pozwalała mi o tym mówić otwarcie, ale wasza naiwność zmusza mnie do wydania jego tajemnicy. Otóż, któregoś grudniowego dnia, gdy wychodziłem z teatru, dostrzegłem, że nasz wiolonczelista wręcza coś portierowi. Było jasne, że sprawa jest wysoce poufna, więc oczywiście zajrzałem mu przez ramię, co zważywszy na moją... ekhm... posturę... nie było czynem łatwym. Hector podawał portierowi jakąś figurkę wykonaną z drogiego zdaje się kruszcu, szepcząc mu: „Pierwszego stycznia teatr spłonie. Wszyscy rzucą się na ciebie jako na pilnującego w przeddzień katastrofy wchodzących i wychodzących, żądając wyjaśnień; ale ty, mimo iż wielokrotnie wpuszczałeś nocami w mury teatru czarnowłosą wiolonczelistkę, nie wydasz jej, choćby cię zarzynano, rozumiesz? Rzeźba, w zamian za tę przysługę, jest dla ciebie”. - Błyskawicznie odwróciłem się w stronę Dorotei, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarła na niej informacja, że Czarnoksiężnik krył ją do końca życia. Miejsce pomiędzy skrzypaczką Monroe a Karin Ledsen było jednak puste. Czyżby uszy dziewczyny nie mogły znieść tematu jej ojca? - Nim zostałem przyłapany na podsłuchiwanie, zdążyłem jedynie dostrzec, że figurka przypominała do

złudzenia naszą Inocencją. To była z pewnością ta miniaturowa rzeźba, którą otrzymał jako prezent ślubny! Osobiście uważam, że czynem sto razy bardziej haniebnym od rozniecenia pożaru w noc sylwestrową jest zaprzędanie swojej żony jakiemuś niewydukowanemu dziadydze w zamian za krycie członkini jego podstępnej szajki! On chyba Inocencii wcale nie kochał!!!

Muzycy zgodnie zalali się łzami. Do szczególnej egzaltacji doszło na miejscu seniora rodu, gdzie najpierw kulisty brzuch zderzył się z pokrywającymi stół półmiskami, a następnie jego właściciel pochwycił wchodzącą z powrotem Inocencję w swoje ramiona, snując fałszywie pieśni pokrzepiające. Ta jednak ponownie wywinęła się z niewoli, krzycząc radośnie:

- Cicho bądźcie! Mam *turron*^[3]!

Członkowie orkiestry poderwali się dziarsko, a łzy zastygłe na ich policzkach wpadły ostatecznie do talerzy, pozwalając uśmiechom zagościć na ich twarzach. W Polsce taka radość pojawiała się podczas kolacji wigilijnej tylko raz: gdy nadchodził czas na prezenty. Zafrasowałem się, bo nie pomyślałem o żadnym podarku dla Dorotei, która zdążyła zająć swoje miejsce z powrotem. Już zaczynałem czmychać w stronę łazienki, aby upozorować wyjątkowo długą przygodę toaletową, kiedy z tej próby ucieczki wyrwała mnie kierująca się w moją stronę ukochana. Dostrzegłem kątem oka, że ścisnęła coś za pazuchą.

- Gdy dowiedziałam się, że przed swą śmiercią ojciec oddał jakiemuś obcemu człowiekowi przedmiot tak ogromnej

wartości, tylko po to, bym nie miała nieprzyjemności, pobiegłam prędko do pokoju i kierowana nieludzką wręcz ciekawością wydłubałam to z głębin mojej szafy. – Wskazała mi poszarpaną paczuszkę świąteczną. – Czytając, z rocznym opóźnieniem zrozumiałam ojca, a przy okazji ciebie i twoje nieudolne próby przekazania mi informacji o nadchodzącym zagrożeniu. Na święta chcę ci życzyć, Feliksie, byś zawsze niezmordowanie dążył do swoich celów, jakkolwiek niedorzeczne by one były. W życiu przydaje się robić rzeczy niedorzeczne, a umiejętność uszanowania tego, jak się przekonałam, jest najwyższą mądrością.

Ledwie zdążyłem przetworzyć na moje standardy intelektualne sens tych kuriozalnych życzeń, Dorotea wręczyła mi obłożone rozdartym papierem prezentowym zawiniątko. Nim je wyjąłem, starannie wymacałem zawartość opakowania, by przygotować zawczasu moją mimikę do ewentualnej konieczności udawania zachwyty. Po omacku rozpoznałem wewnątrz jakieś kartki papieru (co jak co, ale słowo pisane jest moim wrogiem, no, chyba że jest zamaskowane pośród tomów *Harry'ego Pottera*), więc ostrzegłem moją twarz, że będzie musiała przez chwilę zadziałać antagonistycznie w stosunku do uczuć.

Wystarczyło jednak, bym przyjrzał się wielkiej, prześwitującej literze „D” inicjującej słowo „Doroteo”, bym mógł zezwolić twarzy na służbę uczuciom emitowanym przez moje serce. Było to bowiem to samo strzeliste „D”, które pojawiło się na informacji pod doniczką w sali dwunastej: „*Callistemon genofluvialis*. Doprasza się o niepodlewanie –

kwiatem opiekuje się H. Hechicero”.

[1] W Hiszpanii kolację wigilijną spożywa się po pasterce.

[2] Tacet – milczy; termin muzyczny oznaczający, że instrument lub głos nie bierze udziału w wykonaniu danej części utworu.

[3] *Turron* – nugat; odpowiednik opłatka spożywany w Hiszpanii podczas Wigilii.

ROZDZIAŁ XIV

Siostra Carmen

Doroteo, na te święta, które są już, niestety, moimi ostatnimi świętami, chciałbym podarować ci to, czego tak długo i gorliwie wyczekiwałaś: słowa wyjaśnienia. Żebyś jednak mogła w pełni zrozumieć mój stosunek do pewnych spraw, jak również motywy mojego działania, konieczne będzie cofnięcie się o wiele, wiele lat.

Moja mama była sopranistką sławy tak ogromnej, że bardzo często obcy ludzie kłaniali jej się na ulicach i prosili o autograf bądź o wspólną fotografię. Ojciec tymczasem przez długie lata toczył żywot marnego zabawkarza skryty w jej cieniu. W niedługi czas przed moim przyjściem na świat, tacie nieoczekiwanie zaczęło się fenomenalnie wręcz powodzić: jego zabawki znikły z półek w ekspresowym tempie, a sklep mieszczący się w jednym z pomieszczeń naszego mieszkania stał się mekką dla dzieciaków z całej Barcelony. Rodzice nie zdradzali mi, jaka jest magiczna przyczyna sukcesu ojca. Przyczyna, o której wiedzieli tylko oni dwoje i pewien karłowaty mężczyzna o nieprzeniknionej twarzy.

Oczywiście bez trudu domyśliłem się, że ów mężczyzna, pomocnik w sklepie taty, przedstawiający się jako Diogenes

Ganzúa, był właściwym twórcą wypełniających jego ludy wynalazków; geniuszem, który nie potrzebował ani sławy, ani pieniędzy, ale jedynie poczucia, że ktoś go potrzebuje. Domyśliłem się również, że ten mężczyzna, od którego na kilometr cuchnęło podłością, przez którego poźółkłe oczy przeziarał fałsz i którego nozdrza rozdęte były jak u wężącego ofiary padlinożercy, był moim prawdziwym ojcem. Miałem dwa lata, kiedy zaczął grać ze mną w szachy w pamięci i powiedział, że jestem jedynym człowiekiem na świecie posiadającym mózg tej samej klasy, co on. Brzydził mnie od stóp do głów, ale wiedziałem, że ma rację.

Marzyłem wprost, by przestał istnieć, by rozpułnął się we mgle albo został porwany przez wiatr. Czulem, że łącząca nas więź nie pozwoli mi uwolnić się od niego już do końca życia i nie pomyliłem się. Kiedy wieczorami bawiliśmy się z tatą kolejką elektryczną, a mama śpiewała nam arie, akompaniując sobie na pianinie, widziałem kątem oka kontury jego postaci skradającej się za oknem i wpatrującej się z nienawiścią w ludzi, którzy uczyli mnie, czym jest miłość. Wciąż pamiętam, jak porwał mnie do swego zimnego królestwa lęku i rozpaczy na szóstym piętrze starej kamienicy, by zademonstrować mi historie spisane przez jego pradziadów.

- To najcenniejsza spośród materialnych rzecz, jaką posiadam.

Opowiadał mi, że na genialny ród Ganzúa, którego jestem ostatnim żyjącym potomkiem, w szesnastym wieku nałożona została klątwa niepozwalająca na wyrwanie

ludzkości z ciemnoty. Pamiętam odór śmierci i szare, zimne ściany w jego śmierdzącym czosnkiem i zatęchłym moczem mieszkaniu.

Rodzice, którzy na szczęście wyrwali mnie z jego sideł, robili wszystko, by prześladowający mnie mężczyzna poniósł konsekwencje prawne swojego postępowania. Angażowali policję, wszczynali śledztwa detektywistyczne, aż wreszcie wytoczony został przeciw niemu proces w sądzie. Nim jednak nastął dzień rozprawy, tata nieoczekiwanie zniknął, a my z mamą otrzymaliśmy dziwaczny liścik podpisany jego imieniem, w którym informował nas, że w przyływie furii zamordował Diogenesa Ganzúę, spychając go z parapetu szóstego piętra, a także, że zbrodni tej dokonawszy, wyruszył daleko w głąb Rosji, by uciec przed karą. Śmierć Ganzúii pod oknem jego kamienicy została oficjalnie potwierdzona, ale zarówno mama, jak i ja znaleźliśmy aż za dobrze sztuczki Diogenesa. W głębi serca mieliśmy pewność, że biedny tata nie był w rzeczywistości mordercą, ale ofiarą, i że właściwy zabójca, ukrywał się gdzieś, czekając, aż ludzie zapomną o jego rzekomej śmierci.

Kiedy wkroczyłem w wiek szkolny, mama posłała mnie do szkoły muzycznej, bym uczył się grać na wiolonczeli.

- Będiesz wiolonczelistą - zawyrokowała tak, jak ja miałem to zrobić wobec ciebie wiele lat później. - Dobrze?

Ująłem w ręce instrument, który przywiódł mi na myśl dziesiątki anonimowych instrumentalistów schowanych w kanale Gran Teatre del Liceu, spojrzałem w nuty, których mnogość i powtarzalność spowodowała, że zaczęło kręcić mi

się w głowie, a jakiś cienki głosik w moim siedmioletnim umyśle szepnął, że ludzie tacy, jak ja mają prawo żądać od życia znacznie więcej.

- Nie wiem, mamó. - Chciałem być szczery. - Czas pokaże.

- Nie, Hectorze. - Tym razem głos matki był stanowczy i nieznoszący sprzeciwu. - Czas nie ma tu nic do rzeczy. Ty będziesz wiolonczelistą, mimo że na swej drodze napotkasz jeszcze tysiące przeszkód.

Tymczasem jednak w drodze powrotnej ze szkoły spotkałem Diogenesa Ganzúę. Siedział na ławeczce na skrzyżowaniu Carrer dels Tallers z Les Rambles ze skretem w zębach, udając żebraka, i dał się nabrać, że go nie poznałem. Kiedy tylko powiedziałem mu o mojej dopiero co rozpoczętej przygodzie z muzyką, z trudem powstrzymał emocje.

- Twoja mama jest tylko śpiewaczką! - okazywał najwyższą pogardę dla kasty, do której należałem. Był zdruzgotany, że nie rozwijałem się zgodnie z jego wolą.

Jego reakcja obudziła we mnie mściwą satysfakcję. Zrozumiałem, że brnąć w muzykę, skłaniam się ku rozwojowi sfery uczuciowej, rzeczy tak istotnej dla kochanej przeze mnie matki, nie zaś ku intelektowi, domenie budzącego we mnie lęk i odrazę Diogenesa. Zacząłem chodzić nocami do Gran Teatre del Liceu i prosić miłego portiera Fabiana Caballo, by pozwolił mi pograć na wiolonczeli na scenie. Wyimaginowane uczucie, że oto tysiące par oczu, wpatrzonych jest właśnie we mnie, było czymś bardzo

pomocnym w osiągnięciu perfekcji w grze na instrumencie.

Od momentu pierwszego spotkania, codziennie, przez siedem lat spotykałem mojego biologicznego ojca na tym samym skrzyżowaniu ulic. Staralem się, by nasze relacje miały charakter pokojowy, niemniej to właśnie widok jego ukrywanego nieudolnie rozgoryczenia spowodowanego moim rozwojem muzycznym napełniał mnie energią do odtrącania pokus skonstruowania pionierskiej maszyny, opublikowania rewolucyjnej rozprawy czy stanięcia w szranki z największymi mózgami świata. Można powiedzieć, że miałem swój konkretny interes w prowadzeniu z nim rozmów każdego dnia w drodze ze szkoły: to właśnie dzięki niemu i jego stosunkowi do mojej działalności udało mi się przez tyle lat wytrwale ćwiczyć na wiolonczeli.

Kiedy byłem niewiele młodszy od ciebie, Diogenes Ganzúa zniknął nagle ze skrzyżowania Carrer dels tallers z Les Rambles. Pozostała po nim tylko poręcz ławki zapisana równymi rządkami kresek niecierpliwego więźnia. Jego wolnością okazało się opuszczone mieszkanie na zapleczu salonu piękności Mesdames Aliciente, do którego zrobił, komediant jeden, specjalne wejście przez ubikację. Po niespełna roku założył tam Stowarzyszenie Walki z Ogórkami, którego liczni członkowie zajmują się aranżowaniem rozbojów, zbrodni i katastrof w Barcelonie, by zapewnić mediom dochód. Gdy się dowiedziałem, jak podły jest charakter jego działalności, uciekłem od jego szkaradnej osoby, przekonany, że tracę z nim kontakt już na zawsze.

Po tym jednak, jak nasze drogi się rozeszły, nie mogłem

już czerpać satysfakcji z gry na wiolonczeli dzięki poczuciu, że czynię to wbrew niemu. Wówczas zaczęła się prawdziwa wojna pomiędzy tym, co mnie nęciło, a tym, co podpowiadały mi moje zasady. To mocowanie się z własną naturą trwało całymi latami, ale nie przyniosło większych efektów. Nie byłem wszak ślepy i widziałem, jak głupi są ludzie wokół, jak próżni i bezmyślni, jak żałośni i śmieszni. Dostrzegałem głupotę w mojej matce próbującej w mozole nauczyć się na pamięć tekstu arii, w siedzącym ze mną przy jednym pulpicie wiolonczeliście, niezdolnym nawet określić składników wykonywanego przez orkiestrę akordu, i wreszcie, w pierwszej dziewczynie, z którą się spotykałem, pięknej Szwedce Karin Ledsen, która nigdy nie zetknęła się z innym słowem pisany niż tabele kaloryczne na opakowaniach produktów spożywczych. Ciągnęło mnie do tamtego, skrytego w czeluściach ubikacji salonu piękności Madame Valerii, człowieka, jedynej żyjącej osoby, która świadoma bolączki dzisiejszego świata, mogła mnie zrozumieć. Łącząca nas więź, o której wspomniałem już wcześniej i która nie pozwoliła uwolnić mi się od niego do końca życia, zaciskała na moim gardle coraz ciaśniejszy węzeł.

Poddałem się w tej wieloletniej walce którejś styczniowej nocy. Wierciłem się wtedy na łóżku zlany potem tak długo, aż wreszcie poderwawszy się na równe nogi, z łomoczącym sercem pobiegłem w kierunku Rambla dels Capuxtins, prosto do siedziby Diogenesa Ganzúí, do rajy dla mojego wyposzczonego umysłu. Był środek nocy, więc, rzecz jasna, wszystkie ulice świeciły pustkami. Tym większe było moje

zdziwienie, że akurat przed drzwiami sąsiadującymi z wejściem do salonu piękności Mesdames Aliciente stała kobieta, której uroda prześwitywała nawet przez czarną jak całun płachtę nocy.

- Tu było kiedyś moje mieszkanie - odezwała się niespodziewanie, wskazując na drzwi obok, gdy chwytałem za klamkę. - Ale mąż zamurował drzwi od drugiej strony pod moją nieobecność i powiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno mi do niego wejść. Od pięciu lat przychodzę tu każdej nocy i wyję z rozpaczy, że nie mogę się tam dostać... Widzi pan, podczas przeprowadzki zostawiłam w mieszkaniu pamiątkę po moich kochanych rodzicach, których zabrała mi śmierć, nim wybiła ich godzina. To była pozytywka odtwarzająca ulubioną melodię mamy...

Kobieta zdjęła rękawiczki i bez ostrzeżenia zaczęła oklepywać mnie ze wszech stron. Zszokowany zrozumiałem wreszcie, że musiała być niewidoma.

- Wygląda pan na silnego - oceniła z satysfakcją. - Pomógłby mi pan się tam włamać i odzyskać pozytywkę?

Wiedziałem już, że piękna dama nie pojawiła się akurat w tym miejscu przypadkowo. To była ostatnia szansa dana mi przez Boga, ostatnie koło ratunkowe rzucone po to, bym nie złożył wizyty Diogenesowi i nie dopuścił do tego, co z tej wizyty wynikło. Szatan zwyciężył jednak tym razem wojnę o moją duszę. Bezwzględnie minąłem kobietę, po czym przekroczyłem próg drzwi salonu piękności. Przemknąłem na paluszkach obok chrapiącej z pęsetą w gotowości Madame Valerii i wślizgnąłem się do środkowej ubikacji, gdzie

drzemiący w kucki mężczyzna - zdaje się, że nazywają go Charonem - rozpoznał we mnie syna Diogenesa i przepuścił mnie do drugiego świata.

Ojciec nie spał. Nigdy nie spał, bo uważał sen za marnotrawstwo czasu.

- Razem zrewolucjonizujemy świat! - wykrzyknąłem na powitanie.

Zachichotał pod nosem.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - odrzekł, wpuszczając mnie do swego królestwa.

Gdy tylko wszedłem do jego gabinetu, pierwotna euforia uleciała ze mnie niczym spuszczone z balonika powietrze. Okropny fetor sączący się ze wszystkich zakamarków pokoju przywiódł mi na myśl zimne, brudne mieszkanie, do którego porwał mnie, kiedy byłem małym chłopcem. Gruba warstwa kurzu sprawiła, że niemal zacząłem się dusić, a spośród wypełniających doszczętnie całe pomieszczenie papierzysk wyłowiłem wzrokiem nawet zdjęcie señory Teodory, żony profesora Salazara uczącego mnie gry na wiolonczeli.

Natychmiast pożałowałem wkroczenia w jego strefę, a nie za bardzo wiedząc, jak się z tej decyzji wycofać, burknąłem nieprzyjaźnie:

- Jestem bardzo wdzięczny mojej matce, że nauczyła mnie, jak opierać się twojej sile. To tylko przyszedłem powiedzieć.

Diogenes był wyraźnie zbity z tropu.

- Czemu tak uparcie idealizujesz tę kobietę?

- Mama ma dobre serce - odpowiedziałem mu zgodnie

z przekonaniem. - Twoje serce jest bezładną plataniną niekończących się korytarzy.

Wybuchnął szaleńczym śmiechem, by wreszcie po paru minutach przemówić:

- O, tkwisz w grubym błędzie, Hectorze. Lepiej byłoby, gdybyś oswoił się z myślą o zepsuciu twojej matki, nim prawda o jej przewinieniach spadnie na ciebie jak grom z jasnego nieba.

Bardzo byłem ciekaw, co ten stary szachraj był jeszcze w stanie wymyślić, by oczernić moją matkę.

- Proszę mnie zatem z nią oswoić - rzuciłem wyzywająco.

Pełną napięcia ciszę przerwał odgłos spuszczenia wody w toalecie madame Valerii.

- Nie jesteś pierwszym owocem mojego krótkiego związku z Matilde Hechicero - rzekł Diogenes z podłym uśmieszkiem, gdy wreszcie woda przelała się do końca. - Nim przyszedłeś na świat, Matilde powiła dziewczynkę, której pozbyła się wkrótce po jej narodzinach, zostawiając pod drzwiami klasztoru.

Roześmiałem się, gdyż było dla mnie oczywiste, że moja święta matka nie mogła skalać swojego sumienia czynem tak haniebnym. Diogenes również wybuchnął śmiechem.

- Idź do klasztoru żeńskiego Valldonzella i pytaj o siostrę Carmen. Jak wrócisz, pośmiejemy się razem.

Kierowany ciekawością, nazajutrz z rana udałem się prosto do klasztoru Valldonzella. Widok ogromnej i bliźniaczo podobnej do mnie samego Carmen, którą przeorysza pozwoliła mi odwiedzić, gdy dotarłem do

klasztoru, rozwiął moje wątpliwości. Miałem siostrę. Moja matka miała córkę.

- Jestem twoim bratem! - wykrzyknąłem pod wpływem emocji.

Jej zamglone oczy, w których tlił się jedynie rygor klauzury, zdradzały absolutny zanik życia uczuciowego.

- Wszyscy są moimi braćmi - odpowiedziała beznamiętnie, po czym poszła oddać się kontemplacji.

Jakkolwiek w dalekiej przyszłości poznałem Carmen bliżej, a nawet uczyniłem ją powierniczką moich najgłębszych tajemnic; wówczas uczułem na jej widok jedynie bezbrzeżny ból. Nie mieściło mi się w głowie, że moja kochana matka mogła lata temu uczynić rzecz tak potworną, jak zostawienie bezbronного dziecka na pastwę losu. Prosto z klasztoru przyleciałem zziębnięty do domu i od progu miotnąłem w mamę pytaniem, czy przed trzydziestu laty zostawiła własne niemowlę pod drzwiami klasztoru. Nie zaprzeczyła. Nigdy nie dałem ponieść się emocjom w takim stopniu. Nie słuchałem tłumaczeń mamy, która twierdziła, iż zrobiła to z rozkazu mojego ojca zawstydzonego, że spłodził osobę o przeciętnej inteligencji. Mnie, człowieka zaślepionego wiecznym poczuciem racji, nie interesowało, co miała mi do powiedzenia moja własna matka.

Postanowiłem uciec, wyruszyć przed siebie, oddalić się od kobiety, która tyle lat służyła mi za wzór cnót moralnych, a okazała się podlejsza niż wszyscy przestępcy zapełniający miejskie więzienia razem z więźni. Na tablicy informacyjnej w hallu głównym mojej uczelni wisiało akurat ogłoszenie

o wyjeździe do Afryki organizowanym przez Saturnina Caballo. Nie zwlekając ani chwili, dołączyłem do jego orkiestry i na trzy i pół miesiąca opuściłem Hiszpanię. Nabuzowany negatywnymi emocjami, zachowywałem się podczas wyjazdu jak najgorszy parszywiec i egoista, licząc na to, że po powrocie, wyprany z gniewu, powrócę do dawnego życia.

Myliłem się, moje życie nigdy nie miało już być takie samo. Gdy wróciłem, matka nie należała już do żywych – cały świat poza mną jedynym wiedział, że podczas mojej nieobecności w Barcelonie, spłonęła w pożarze Gran Teatre del Liceu. Nigdy nie dowiedziałem się, co się tak naprawdę wydarzyło i, prawdę powiedziawszy, to interesowało mnie najmniej. Najważniejsze, że przez własną pychę nie zdążyłem się pojednać i należycie pożegnać z tą, która nauczyła mnie, jak żyć mądrze i uczciwie. Z najszlachetniejszą i najsilniejszą kobietą, jaką znałem. Nigdy już nie uwolniłem się od poczucia winy.

To był moment, kiedy ostatecznie zwątpiłem w siłę umysłu. Skazałem się na wieczną ekspiację, dołączając do orkiestry Gran Teatre del Liceu jako nieznany nikomu osobnik o ponurym usposobieniu, zerowej błyskotliwości i miernym intelekcie. Rozpocząłem żywot przeciętniaka, odrywając mój potężny umysł od reszty ciała, gdyż niepasujący do takiego stylu życia geniusz ciążył mi i urągał, jak niepotrzebny szósty palec, trzecia noga, poczwarna narośl na skórze...

Chciałoby się już zakończyć tę historię, chciałoby się,

żeby na scenę nie wkraczała już postać Diogenesa Ganzúí. Niestety, ta przeklęta więź z szalonym geniuszem nie przestawała oddziaływać na mój los. Tydzień po tym, jak poślubiłem twoją mamę, Ganzúa wezwał mnie do swojej siedziby, gdzie poinformował mnie, że wie o mojej zmianie stanu cywilnego.

- Jeden z moich szpicli zainwestował w koloratkę - wyjaśnił. - I życie twojej żony może wisieć na włosku, jeśli mi teraz nie pomożesz - dodał groźnie.

Zamarłem z przerażenia. Nie mogłem pozwolić, żeby Inocencii spadł włos z głowy, a z drugiej strony moralność nie pozwalała mi na to, bym zawarł pakt z Diogenesem. Ostatecznie uznałem jednak, że stawka jest zbyt wysoka, bym cackał się ze swoją moralnością i wszedłem w kolaborację z moim ojcem, stając się wbrew własnej woli siłą roboczą siejącego zamęt Stowarzyszenia Walki z Ogórkami. To właśnie jedna z misji, w które zaangażował mnie ojciec, była przyczyną mojego sześcioletniego pobytu w Polsce, mojego zniknięcia bez słowa wyjaśnienia. Zrozum jednak, że nie mogłem wtajemniczyć w moją mało chwalebłą działalność ani twojej mamy, która często nie pojmowała, co do niej mówię, ani ciebie, w obawie, że jako osoba niedojrzała mogłabyś ulec pokusie kontynuowania tradycji rodu Ganzúa i próbować szukać Diogenesa na własną rękę.

Jeżeli twoja mama spełniła pierwsze życzenie zawarte w mojej ostatniej woli, to znaczy, jeśli działalność Diogenesa wyszła już na światło dzienne, nie proszę cię o nic. Jeśli jednak do tego nie doszło, zmuszony jestem poprosić cię

o pewną przysługę. Otóż kiedy słońce rozświetlające moje życie zaczęło chylić się ku zachodowi, pomyślałem, że zdążę zrobić dla świata jeszcze jedną, jedyną rzecz. Ostatnie moje dni poświęciłem rozpracowywaniu hasła do siedziby mojego ojca po to, by móc się tam włamać i zdemaskować publicznie oszusta. Poznałem ów szyfr, lecz nie zdołałem wedrzeć się do środka, ze względu na zaostrzoną czujność Diogenesa, którą wykazał wobec mnie pod koniec mojego życia. Proszę, byś ty wykradła schowane w gabinecie Diogenesa dokumentacje zbrodni Stowarzyszenia Walki z Ogórkami i wynosząc je na światło dzienne, upokorzyła publicznie mojego ojca i doprowadziła jednocześnie do kresu działalności stowarzyszenia. Światu będzie lżej bez tych darmozjadów.

PS Diogenes trzy razy dziennie schodzi do spiżarni po nową porcję czosnku, a pobyt tam zajmuje mu około piętnastu minut.

PPS By poznać odkryty przeze mnie szyfr do jego siedziby, będący jednocześnie hasłem do kartoteki, musisz wpierw spytać Szczęśliwego o jego największe marzenie.

ROZDZIAŁ XV

Walka na obój, nóż i smyczek wiolonczeli

Kiedy już opanowałem gwałtowne emocje, które targnęły mną po przeczytaniu wzruszającej opowieści Czarnoksiężnika, odłożyłem list, westchnąłem głęboko i odnalazłem pośród feerii świątecznych światełek jej czarne jak dwa węgle oczy.

- Mam bardzo wiele marzeń - zacząłem ostrożnie, nie chcąc przekłamać sprawy tak ogromnej rangi. W moim mózgu zaczęły pojawiać się wiolonczele i grające na nich miniaturowe repliki Czarnoksiężnika, zza wiolonczel wyłonił się pokonany ostatecznie Diogenes Ganzúa, moja mama wyrzucająca przez okno telewizor i tata mierzwiący mi czuprynę ze słowami: „Synek, my nie jesteśmy rzemieślnicy, my jesteśmy a r t y ś c i!”. Dopiero, kiedy ilość osaczających mnie widziadeł sprawiła, że nie mogłem już swobodnie myśleć; wizja przesładująca mnie od owej lutowej nocy, gdy zostaliśmy z Amadorem Lechuzą nawiedzeni przez czarnowłosą zjawę, przebiła wszystkie krążące dokoła postaci, jak gdyby były mydlanymi bańkami. - Ale największym z nich, odkąd cię pierwszy raz zobaczyłem, jesteś ty, Doroteo.

Jazgot życzeń nieoczekiwanie wyparował wraz z dymem świecy o zapachu pomarańczy, powodując tym samym chwilę

gęstej jak legumina ciszy. Twarz córki Mistrza zlała się na ułamek sekundy ze zdobiącym ścianę purpurowo-czerwonym gobelinem. Zaraz, zaraz, wcale nie zamierzałem być romantyczny, chciałem jedynie dać praktyczną wskazówkę.

- Twoje imię musi być hasłem do siedziby Diogenesa - dodałem nerwowo, by podkreślić suchy, urzędowy wydźwięk wypowiedzi.

Nie zrozumcie mnie źle - na romantyczność przyjdzie pora, w pierwszej kolejności trzeba było unicestwić ziejącego czosnkiem smoka.

- W takim razie wyruszmy, kiedy tylko ten komediant Abelardo pojedzie do domu. - Dorotea uspokojona nieco moim chłodnym, rzeczowym tonem, rzuciła mordercze spojrzenie kontrabasiście, którego drugi już tego wieczora złoty guzik surduta eksplodował właśnie w żyrandol. - Mama nie wybaczyłaby mi do końca życia, gdybyśmy zostawili ją teraz na jego pastwę.

Abelardo Pildora był ostatnią osobą, która wstała od stołu, a nastąpiło to po całej serii co najmniej niekonwencjonalnych zachowań. Zaczął od wylania mi szampana za kołnierz w momencie, gdy wszyscy obrócili się, by podziwiać cyrkonie w uszach Yolandy; następnie ogłosił, że ma zgagę po tym nugacie i zażądał, bym przeszedł się do apteki po jakiś środek przeciwbólowy (gdy zaś Inocencia zauważyła, że wszystkie lekarstwa są w szafce, drastycznie zmienił front, zachęcając, byśmy przeszli się z Doroteą do kościoła pomodlić się za jego zepsutą duszę); jeszcze później uparł się, że musi tu i teraz zainstalować wszystkie złote

guziki, które eksplodowały w sufit podczas nazbyt namiętnej konsumpcji, a że nie był zbyt zręcznym krawcem, trwało to do północy. Ostatecznie, wychodząc zawadził nogą o wycieraczkę i uznał, że naturalnie będzie teraz pozostać u Inocencji na rekonwalescencję.

I chyba już nikogo nie zdziwi, że rekonwalescencja trwała okrągły tydzień.

- Te brwi zasługują na nagane! - przywitała nas Madame Valeria w sylwestra, okrągły rok po wybuchu pożaru.

Nie próbując nawet domyślać się, na co w takim razie zasługuje koedukacja w męskiej toalecie, bez najmniejszych skrupułów wparowaliśmy do środkowej ubikacji. Tam Dorotea zaczęła poruszać spłuczką na wzór liter swojego imienia. Próbowwała pisać powoli i szybko, posuwiście i zamasyście, używając liter pisanych i drukowanych, z kursywą i bez. Ściana wraz z powierzchnią, na której staliśmy, nie obracała się jednak tak, jak miało to miejsce, gdy majstrował przy sedesie Charon. Czas płynął w zatrważającym tempie, a prawdopodobieństwo, że natkniemy się na granicy światów na Aureliana Nimentiroso, który z pewnością wyda nas Diogenesowi, rosło z każdą sekundą. I właśnie wtedy, gdy już zupełnie straciłem nadzieję, przypomniałem sobie jedyną ocaloną przez srogiego cenzora pośmiertną wskazówkę Mistrza dla mnie: „Kiedy stracisz nadzieję, Feliksie, anagramuj swą miłość”. Anagramem liter imienia mojej ukochanej było, niewiarygodnym trafem, imię tajemniczej wybranki serca nieprzeniknionego Diogenesa Ganzúi, imię zapisane

miniaturowymi literkami na ławeczce na skrzyżowaniu Carrer dels tallers z Les Rambles!

- Teodora! - wykrzyknąłem nagle oświecony. Jakie to oczywiste, że Ganzúa zaszyfrował wejście nie imieniem wnuczki, ale imieniem swej ukochanej! - Hasłem nie jest Dorotea, tylko Teodora!

W spojrzeniu córki Mistrza po raz pierwszy czaił się lęk: czyżby w rzeczywistości twoje serce służyło jakiejś poczwarze o tym szkaradnym imieniu? Nie, nie, głuptasie, służy tobie, ale wszystkie wyjaśnienia w swoim czasie.

Już po chwili znajdowaliśmy się w mieszkaniu człowieka, który po kryjomu rządził życiem Barcelony. Ukryliśmy się za jedną z kolumn doryckich, czekając, aż Diogenes Ganzúa opuści gabinet, by udać się po jedną trzecią dziennej porcji czosnku. Według moich obliczeń w najgorszym wypadku miało to nastąpić za siedem godzin i czterdzieści minut, więc musieliśmy mieć sporego farta, bo ledwie skryliśmy się za kolumną, gdy Ganzúa pojawił się na korytarzu. Na tym nasze szczęście się jednak skończyło, bowiem Diogenes nie zszedł wcale na dół, do spiżarni, ale stanął naprzeciw znanego nam dobrze sedesu, przyglądając mu się uważnie.

- Kto tu jest?

Strumień potu spłynął ciepłą strużką po moim czole.

- Ja. - Śmiałym krokiem wystąpiłem zza kolumny, wiedząc, że to jedyna szansa, by ocalić Doroteę przed szponami jej dziadka. - Skąd pan wiedział, że tu jestem?

Ganzúa ku mojej uldze wcale nie wyglądał na rozgniewanego.

- Sedesy mówią nam więcej, niż się tego po nich spodziewamy - oznajmił głosem natchnionego filozofa, a widząc moje zdezorientowanie, dodał: - Ten tutaj należy do ubikacji Madame Valerii. Jego obecność zdradza mi, że ktoś z tamtego świata przedostał się na moje terytorium. Nie sądzisz jednak, że w takiej sytuacji to ja powinienem zadać ci parę pytań, Feliksie?

Po moich plecach wcale nie przeszedł dreszcz niepokoju, przeciwnie, kiedy prowadził mnie do swojego gabinetu, byłem bardzo dumny z mojego męznego posunięcia. Drzwi do skarbcza akt zbrodni miały stanąć przede mną otworem. Dorotea była prawie bezpieczna, a Ganzúa miał dobry humor, który zepsuć mógł jedynie brak czosnku w miseczce. Wyraźnie zażenowany, że nie ma czym mnie poczęstować, poderwał się z miejsca.

- Ach, prawda! - wykrzyknął. - Miałem iść po czosnek!

Nie wierzyłem we własne szczęście. Drzwi zatrzasnęły się za nim, a ja zostałem sam na sam z milionami dokumentów dotyczących jego fałszerstw! Pakowałem garściami do plecaka papierzyska odsłaniające kulisy jego działalności, wiedząc, że wartość świadectwa, które lada chwila przedstawię światu, wzrasta wraz z każdym ładowanym gramem papieru. Gdy wreszcie plecak ciążył mi już tak bardzo, że ledwie mogłem go udźwignąć, podbiegłem do drzwi, by wybiec z gabinetu Ganzúi i wraz z Doroteą uciec z królestwa zbrodni.

Niestety, właśnie w tym momencie nadszedł brutalny kres pasma powodzeń. Drzwi okazały się bowiem

zablokowane hasłem, którym nie było już ani Dorotea, ani Teodora, ani żadne inne imię barcelońskiej niewiasty, będącej mimowolnie wmieszaną w walkę dwóch geniuszy o porządek na świecie.

W mgnieniu oka cała ekscytacja spłynęła ze mnie, tworząc burą, mętną kałużę u moich stóp. W jednej chwili uderzyło mnie, że przegrałem, że wszystko, czego się podjąłem dla mojego kochanego profesora, poszło na marne. Za moment miał przyjść Diogenes, przed którego geniuszem nie miałem nawet cienia szansy na zaprezentowanie alibi zasługującego na cokolwiek innego niż pogardliwy śmiech, a przy odrobinie nieszczęścia starzec mógł po drodze natknąć się na Doroteę, z której z kolei zrobiłby swoją następczynię. Zrezygnowany padłem na fotel i rzuciłem okiem na jedną ze skradzionych przeze mnie dokumentacji, które i tak miały nigdy nie opuścić siedziby Diogenesa.

Relacja Pedra Patilli (grajka ulicznego) vel Eleuteria Pentagramy (dyrygenta orkiestry Gran Teatre del Liceu) – Pożar w Gran Teatre del Liceu.

Moje serce, nękane ciąglą koniecznością zmian częstotliwości i siły bicia, znów zaczęło uderzać w dynamicie *fortissimo possibile*. Wyglądało na to, że pomimo klęski na całej linii miałem szansę poznać historię wydarzenia, które tak naprawdę przywiodło mnie do Barcelony – pożaru w Gran Teatre del Liceu! Z chciwością hieny otworzyłem broszurę.

Dwudziestego ósmego całość brzmiała niesamowicie. Ich doskonała precyzja rytmiczna, szeroka paleta barw,

mistrzowska intonacja zdradzały, że w doprowadzeniu dzieła do takiej postaci palce maczał dyrygent znacznie bardziej kompetentny niż ja. Ze szczególnym namaszczeniem wykonała solo waltorni w uwerturze do *Oblężenia Koryntu* moja kochana Karin Ledsen, bogini królestwa wiecznego śniegu.

- Proszę państwa - wymachiwałem batutą. - Toż to jest zamach na muzykę! Flety nie stroją, obojom nie odpalają doły, klarnet notorycznie ignoruje chromatykę, fagot stęka, jakby go zarzynali, trąbki grają nierówno, puzony są za głośno, tuby za cicho, kotły zamiast nadać dziełu sprężystości, rozsadzają pulsację od wewnątrz, smyczki natomiast... - chwilowo skończyły mi się pomysły - smyczki grają po prostu beznamiętnie, bez charakteru, bez wigoru!

Zapadła cisza. W kącikach oczu fagocisty, Claudia Coquetóna, zalśniły łzy.

- Myślałem, że niewolnictwo się skończyło dwa stulecia temu. - Zapłakał cichutko, wyjmując chusteczkę do nosa. - Ale najwyraźniej się pomyliłem, maestro.

I wtedy wydarzył się cud. Piękna Królowa Śniegu, która nigdy nie obdarzyła mężczyzny nawet spojrzeniem, uśmiechnęła się leciusiętko do fagocisty. Był tym tak zdumiony, że zapomniał przyłożyć chusteczkę do nosa podczas dmuchania, skutkiem czego wydzielina z nosa spadła mu na podbródek. Jej uśmiech, niczym wykwitła na stromych, przykrytych śniegiem zboczach górskich szarotka alpejska, przefrunął ze spokojem ponad głowami pierwszego waltornisty i drugiego fagocisty, by zalać Claudia uczuciem

niewyobrażalnej rozkoszy. Po chwili w orkiestrze zapanował popłoch: komuś upadły nuty, ktoś nadział się na czyjś smyczek, we wszystkich sekcjach pobrzękiwały złowrogie pomruki, ze wszech stron Claudia kłuły zazdrosne spojrzenia: fagocisty Gumersinda Abejorro, wszystkich tubistów, a nawet tego markotnego wiolonczelisty Hectora Hechicero, którego zresztą miałem za chwil parę zamordować, ale nie wyprzedzajmy faktów.

Ja też byłem wściekły, że to nie mnie spotkała ta nieziemską przyjemność, więc zapragnąłem dopiec fagociście jeszcze bardziej.

- Bach, dyrygując zespołem w Arnstadt, obraził fagocistę, przyrównując jego grę do beczenia kozy. Ja, używając podobnego porównania, musiałbym chyba obrazić kozę! - wrzasnąłem, dygocąc z wściekłości. - A trzydziestego pierwszego próbujemy nie od jedenastej wieczorem - zwróciłem się już do wszystkich - lecz od jedenastej rano!

Byłem dla nich tak okrutny, że złość błyskawicznie przeniosła się z Claudia na mnie. Cóż jednak miałem zrobić, pracowałem w tej orkiestrze, by realizować moją misję, nie zaś dla pozyskania sympatii pięknych waltornistek. Ileż bym dał, by na samym początku mojej drogi wcielić się w kogoś innego niż Eleuterio Pentagrama (dajmy na to, w jakiegoś lokalnego Leonarda DiCaprio) i mieć przynajmniej cień szansy na bajkowy uśmiech Karin. Teraz było już za późno, byłem skazany na dożywotnią nienawiść.

„Trzydziestego pierwszego muzycy, odczytawszy treść ogłoszenia napisanego własnoręcznie przez szefa, od razu

zawrócili do domu. Był kwadrans po godzinie jedenastej, kiedy pole było zupełnie czyste, a jedyną żywą duszą, mającą prawo zarejestrować moją obecność w teatrze był portier Fabian Bolsillo. Wszedłem wtedy do budynku teatru w towarzystwie przetrzymanego uprzednio na środku Gran Via de les Corts Catalanes pod pretekstem pomocy w założeniu opony, Hectora Hechicero.

- Dzień dobry! - powitałem jowialnie portiera, demonstrując ostentacyjnie, że wszystko jest w najlepszym porządku, a ja, broń Boże, nie zamierzam popełnić za chwilę morderstwa. - Chyba się pan dzisiaj zaciął przy goleniu?

Ten obrugał mnie jedynie, żebym był cicho, bo właśnie zaczęła się jego ulubiona audycja radiowa o bezpieczeństwa psach w Republice Zielonego Przylądka. Korzystając z jego zatroskania losami porzuconych czworonogów, sprzątnąłem z portierki wszystkie klucze do kanału (włącznie z peczką i zapasowymi). Nim jednak dotarliśmy do drzwi, z których musiałem błyskawicznie zerwać karteczkę o odwołanej próbie, spostrzegłem ze zgrozą, że w genialnie skonstruowany plan Diogenesa Ganzúí wkradł się intruz! W kącie przy drzwiach, stał bowiem przyczajony Gabriel Sacacorchos, oboista z Palafrugell.. Zmiotłbym go z powierzchni ziemi jednym machnięciem szabli, gdyby ten nie wyrwał się na mnie z tą swoją fujarą.

- Ja ci dam, cholerny żartownisiu! - darł się, wymachując instrumentem, kiedy już cała nasza trójka znalazła się w kanale. - Dojeżdżając tu, każdorazowo marnuję dwie cenne godziny mojego życia, które powinny zostać

przeznaczone na sprawy o wiele wyższej rangi! Ja... ja jestem idealista... ja...

Miałem już na końcu języka serię inwektyw dla tego żalnego komedianta, kiedy nieoczekiwanie ten uderzył obojem w moje czoło. Ból spowodowany wbiciem mi w skroń klapy oktavowej był nieznośny. Hector odezwał się ze smutkiem w głosie:

- Drogi kolego oboisto, oto popełnił pan samobójstwo, przybywając tutaj! Teraz jest pan uwięziony z żadnym krwi, zdeprawowanym człowiekiem od dawna już zasadzającym się na moje życie i, jako mimowolny świadek, stanie się pan jego ofiarą!

Byłem zaskoczony, bo z tego, co mówił Hector, wynikało, że wiedział on o wszystkim od początku, a mimo to przybył tu ze mną pokornie, pytając jeszcze po drodze o samopoczucie! Cóż za zagadkowy człowiek...

Tymczasem Sacacorchos wciąż nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

- Ależ miły kolego wiolonczelisto, jest właśnie odwrotnie! Nas jest dwóch, więc żaden z nas nie zginie. Zadźgamy tego tutaj dowcipnisia! - rzucił się na mnie ponownie z obojem.

Ja jednak zdążyłem już wyjąć z pochewki szablę, która pomogła mi odeprzeć jego atak. Przez dobry kwadrans pojedynkowaliśmy się zawzięcie, kiedy nagle, mimo iż przezornie zamknąłem drzwi na klucz, drzwi stanęły przed nami otworem. W progu pomieszczenia, w którym było w tej chwili już o dwóch muzyków za dużo, stał klarncista, jeden z bliźniaków Desastre.

- Skąd masz klucz? - zapytałem zirytowany, tkwiąc w wyjątkowo niewygodnej pozycji pomiędzy ostrzem smyczka a czarą dźwiękową oboju.

- Zawsze zapominam kurtki. - Uśmiechnął się klarncista przeprasząc, lekceważąc strużkę krwi ściekającą po moim czole. - Poprzedni dyrygent, maestro Mauricio Picamaderos dorobił mi kluczyk, żebym bez problemu mógł po nią wchodzić.

Chciałem już krzyknąć, żeby nie przeszkadzał mi w popełnianiu morderstwa, ale z Valentina Desastre był akurat równy chłopak. Kiedy na jesieni trzeba było spacyfikować cztery stare flecistki (bo przez przypadek zobaczyły, jak rozprawiam się w toalecie damskiej z poprzednim dyrygentem), pożyczył mi nawet śrubokręt do regulacji klarnetu, polecając go jako wyjątkowo skuteczne narzędzie zbrodni.

- Ale to nie jest dobry moment - przemówiłem spokojnie. - Nie widzisz, że właśnie jestem zajęty mordowaniem twoich kolegów? Jeżeli nikomu nie powiesz, co tu widziałeś, za godzinę sam przyniosę ci kurtkę do domu.

Valentino puścił do mnie oko.

- Jasna sprawa. - Zamknął za sobą drzwi na klucz.

Zgorszony postawą klarncisty Gabriel opuścił ze zdumieniem obój, wpatrując się tępym wzrokiem w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał muzyk. Ta chwila nieuwagi wystarczyła, bym zamachnął się moim sztyletem. Najpierw go oślepiłem, by już nie miał jak czytać nut, potem ogłuszyłem, by nie słyszał swojego trąbienia, następnie

trafiłem sztyłem prosto w jego płuca, by nie sięgał po obój, na koniec zaś przebiłem mu serce, by nie czuł do mnie żalu o zmarnowaną karierę.

Gdy zmachany i jednocześnie podniecony dokonany wyczynem odwróciłem się w stronę Hectora Hechicero, wreszcie byliśmy jedynymi żywymi muzykami w kanale orkiestrowym. Opuścił smyczek w akcie poddania, godząc się z losem, który go czeka.

- To co? - zagałem przyjaźnie. - Do dzieła?

- Cóż, co miałem do zrobienia na tym świecie, zrobiłem - powiedział takim głosem, jakby właśnie rozliczał się z miesięcznego zużycia prądu. - Kogo miałem przeprosić, przeprosiłem, komu miałem pomóc, pomogłem. U spowiedzi byłem, komunię przyjąłem, więc w zasadzie mogę rozpocząć moją przeprawę na tamten świat... Chociaż nie! Jest jeszcze jedna niezłałatwiona sprawa... Jest taka waltornistka, Karin Ledsen...

Poczułem, że moje nogi miękły na samo wspomnienie cudnej Karin. Dlaczego i w takiej chwili musiało stawać przede mną widmo ukochanej Królowej Śniegu?

- Nikomu z zafascynowanych jej urodą mężczyzn nie przeszło zapewne przez myśl, jak smutną duszę skrywa ta nieziemska powierzchowność. Bo serce Karin nie zawsze było z lodu. Zamarzło dwadzieścia pięć lat temu, a winowajcą całego nieszczęścia, jakie ją dotknęło, jestem właśnie ja. Spotykaliśmy się jako zupełne dzieciaki podekscytowane złudzeniem idealnej miłości i wspólnymi zachodami słońca widzianymi zza splecionych w objęciach

ramion na wybrzeżu. Sielanka skończyła się, gdy nieoczekiwanie poznałem na wyjeździe z orkiestrą Inocencję, która swoją dobrocią i prostodusznością rozmiłowała mnie w sobie stokroć bardziej niż piękna waltornistka. Po powrocie z Afryki nie byłem w stanie wyjaśnić Karin zmian, które zaszły w moim sercu. Tym bardziej czuję się winny, bo wiem, że jej serce nadal jest mi wierne i wiernym być nie przestanie, a ona przeze mnie nigdy już nie będzie szczęśliwa - przerwał i zamyślił się na chwilę, po czym dodał: - Pan jest świetny we wcielaniu się w różne postaci. Kiedy już mnie pan zabije, moja powierzchowność będzie wolna.

Uśmiechnąłem się chciwie, bo już wiedziałem, jak genialny plan zakroił się właśnie w jego umyśle. Ponieważ - jako że w kanale zostaną znalezione dwa spalone ciała, z których jedno opinia publiczna uzna za zwłoki Eleuteria Pentagramy - musiałem zniknąć z tak zwanego świata żywych jako złośliwy dyrygent. Mogłem teraz wcielić się w postać znacznie bardziej atrakcyjną - Hectora Hechicero, którego tożsamość pozwoliłaby mi na spełnienie moich marzeń i stopienie lodu w sercu Karin.

- Oczywiście musiałyby pan zachować ogromną ostrożność - przestrzegł mnie Hector na widok mojego entuzjazmu. - Nikt oprócz Karin Ledsen nie mógłby się dowiedzieć o cudownym ocaleniu z pożaru Hectora Hechicero. Życie w ukryciu będzie pełne niewygód i komplikacji, ale jeśli pan ją kocha, a ona jest dalej tak szaleńczo zakochana we mnie, to jedyny sposób, by uczynić ją i przy okazji pana szczęśliwymi.

- Dziękuję, Hectorze - powiedziałem na pożegnanie. - Dziękuję ci bardzo - to rzekłszy, uderzyłem go tak silnie, że mimo całej swej masy runął na podłogę.

Na jego policzku widniała literka „P”, ślad po moim sygnecie, a jego usta poruszyły się nieznacznie, nim przebiłem jego serce sztyletem. Wbijając ostrze w jego pierś, przebiłem przypadkowo również flakon, który nosił w kieszeni przy lewej piersi. Perfumy rozlały się, a woń imbiru przesiąknęła wszystko, co znajdowało się w kanale. Imbir stłumił smród potu, krwi i śmierci, tworząc ponad nami wielką kopułę. Zdecydowałem się nie zabierać z kanału kurtki Valentina, która nigdy już nie uwolniłaby się od zapachu nieboszczyka. Opuściłem pomieszczenie, wiedząc, że nikomu już się nie mogę pokazać, bo w kanale jest o jednego trupa za dużo i trzeba będzie upozorować, że tym drugim trupem jestem ja. Ukryłem się w męskiej toalecie, zdjąłem na wszelki wypadek przebranie i czekałem na godzinę dwudziestą trzecią czterdzieści jeden, o której miałem podpalić wiszącą u góry dekorację, tak by dokładnie o północy runęła na scenę. Gdy wszystko odbyło się zgodnie z planem, opuściłem chyłkiem budynek, świadom, że nikt nigdy nie będzie podejrzewał, że na tamten świat odszedł nie dyrygent Eleuterio Pentagrama, ale oboista Gabriel Sacacorchos”.

- Jak się czytało, mały odkrywco? - Usłyszałem nad sobą szyderczy głos Diogenesa Ganzúi, który wrócił nie z czosnkiem, ale z przerażoną Doroteą i z okrytym czernią mężczyzną ściskającym w ręku topór. - Masz pecha, Feliksie,

bo właśnie przyszedłem wzbogacić mój skarbiec o jeszcze jedną dokumentację. Pozwól, że przebieg tego planu przedstawię ci już osobiście, a będzie to już ostatni puzzel tej twojej układanej w mozole rozsypanki, który ułożysz przed śmiercią.

ROZDZIAŁ XVI

Uczeń Czarnoksiężnika

- Choć z pewnością o tym nie wiedziałeś, hodowałem cię, Feliksie, od bardzo dawna, tak jak ty hodowałeś swego czasu roślinkę doniczkową kupioną za znalezione w parku dziesięć złotych. Spytasz, dlaczego? Otóż nim jeszcze zaczęły ci wypadać pierwsze mleczaiki i nim pierwsze siwe włosy pojawiły się na mojej skroni, twoja osoba wyłoniona została spośród siedmiu miliardów ludzi jako ta, która przyczyni się do mojego osiągnięcia o globalnym oddziaływaniu i ponadczasowym znaczeniu. Ponad piętnaście lat temu, kierowany ciekawością, przeszedłem się do wróżki, chcąc upewnić się, czy efekty moich najbardziej dalekosiężnych wyliczeń dotyczących rozwoju sytuacji w Barcelonie pokrywają się z tym, co o przyszłości mówi ruch planet, linie na dłoni tudzież kryształowe kule. Kiedy już przyodziana w szmaragdową pelerynę i ogromne okulary kobieta zapewniła mnie, że przyszłość wyglądać będzie dokładnie tak, jak ją sobie zaprojektowałem, usatysfakcjonowany zadałem jej jedno pytanie ekstra: „A czy w całej mojej karierze uda mi się dokonać czegoś, co zapisze się w historii po wsze czasy?”. Kobieta w szmaragdzie wyciągnęła chciwie rękę po kolejny banknot. Kiedy go jej wręczyłem, zamknęła teatralnie oczy. „Pojawi się chłopiec - zaczęła mówić po

chwili namysłu - z kraju głowy Kościoła katolickiego, urodzony w roku świni. Na imię będzie miał Szczęśliwy". „Proszę mówić dalej” - odrzekłem. „Artysta - zastanowiła się dłużej - muzyk, choć nie z własnej woli. Uczeń Czarnoksiężnika. I będzie w przyszłości ojcem pana prawników”. Sam nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. „Czyli ten właśnie chłopiec pomoże mi uzyskać ponadczasowość?” - dopytywałem się. „O, tak! Wydarzy się to za około piętnaście lat i słyhać będzie wtedy cudowną muzykę, widać będzie płomień ognisty i czuć będzie swąd dymu”. Nie zwlekając ani chwili, odnalazłem cię i wysłałem do twojego miasteczka ekspedycję w postaci klauna z Les Rambles zabawiającego przechodniów szczebiotaniem w komicznym i nieznanym nikomu języku polskim. Za dwieście dolców zgodził się wystąpić w tweedowej marynarce i inteligenckich okularach jako weryfikator zdolności muzycznych przedszkolaków, a także poinformować twoją matkę, że jej syn jest jednostką wybitną, i że okrucieństwem z jej strony byłoby nie wyposażyć cię w wiolonczelę i nie wysłać do szkoły muzycznej. Twoja rodzicielka - dość głupia, ale pretendująca do miana wielkiej intelektualistki - pewna, że tym posunięciem zapewni sobie stałe miejsce w łóżach honorowych wszystkich sal koncertowych świata, grzecznie i posłusznie przeszła pierwszy etap mojego dalekosiężnego planu. Gdy mój szpicel wrócił, zakomunikował mi, że jesteś zupełnie inny niż twoi rówieśnicy. Że jesteś zniechęcony ludzką obojętnością i egoizmem, chorobliwie spragniony osoby, która wreszcie

potraktuje cię uczuciem, niepospolicie oddany i ufny. I, co najważniejsze, że hodowany w odpowiednich warunkach, w przyszłości będziesz gotów na ogromne poświęcenie. Wiedziałem już, dlaczego to właśnie ciebie przepowiedziała mi wróżka oraz dlaczego powiązała twoją osobę z muzyką, ogniem i dymem. Takiego właśnie człowieka potrzebowałem do realizacji najbardziej spektakularnej z moich barcelońskich aranżacji: ogromnego pożaru w Gran Teatre del Liceu, który planowałem zrobić za kilka lat, czyli właśnie tego, co miało zapewnić wieczną pamięć przedstawicielowi rodu Ganzúa. Przez następne pięć lat, pochłonięty tysiącami realizowanych w Barcelonie projektów, nie zaprzętałem sobie zanadto głowy twoim rozwojem. Dopiero kiedy między twoimi rodzicami zaczęło rozgrywać się piekielko spowodowane wydawanymi przez ciebie z instrumentu żalonymi fałszykami i kwęknięciami (niekoniecznymi zwiastunami rychłej kariery muzycznej), zdałem sobie sprawę, że muszę zadziałać, zanim ich frustracja ukróci twoją przygodę z wiolonczelą. Nakazałem Hectorowi, wspomnianemu w przepowiedni Czarnoksiężnikowi, by w sierpniu najbliższego roku wyjechał do Polski, do twojego miasteczka, i zepchnął z posady nauczyciela gry na wiolonczeli kobietę, która nie miała nawet wyższego wykształcenia, a następnie objął to stanowisko sam. Zaznaczyłem, by jako nauczyciel szczególną uwagę poświęcił tobie, Feliksie, istocie tak niezmiernie spragnionej miłości, tak gorliwie wyczekującej inspiracji. By oczarował cię sobą na tyle silnie, żeby w przyszłości można było tobą dowolnie

manipulować. Oczywiście bardzo długo nie chciał nawet o tym słyszeć, ale ostatecznie perspektywa zrobienia naleśnika z buźki jego małżonki, skierowała go pod wskazany przeze mnie adres, to znaczy do twojej szkoły. Po pół roku obserwacji waszej współpracy za pomocą pluskiew, zauważyłem, że postawione przeze mnie zadanie idzie mojemu synowi znacznie lepiej, niż przypuszczałem. Nie działo się tak jednak dzięki jego staraniom, ale dzięki tobie, Feliksie, tobie i twojemu ogromnemu, nie znającemu granic uczuciu. Hector już po pierwszym miesiącu nauki stał się twoim mistrzem, twoją alfą i omegą, twoim panem i władcą. I mógł jedynie patrzeć z przerażeniem na twój pełen uwielbienia wzrok, na rozdzierającą twoje serce tęsknotę za jego bliskością, świadom, że kochając go, wpadasz w moje sidła. W twoje dwunaste urodziny Hector zgodnie z moim rozkazem obiecał ci, że za sześć lat zabierze cię do Barcelony. Chciałem cię tu mieć pełnoletniego, tak aby nikt nie miał podstaw oskarżać mojego syna o porwanie dziecka, a powodem nakazania przeze mnie Hectorowi, by już na tyle lat wcześniej zapowiedział twoją wizytę w Hiszpanii, była chęć zorientowania się, czy ty w ogóle się tą propozycją zainteresujesz, czy jest sens snucia planów wokół twojej osoby. Twoja reakcja przerosła jednak moje najśmielsze oczekiwania: wyjazd do Barcelony stał się jedynym celem twojego życia, jedynym jego sensem, jedynym motywem przewodnim. Oszalałeś. Mój plan, zrodzony jeszcze lata temu, wyglądał następująco. Po waszym przyjeździe do Barcelony zamierzałem umieścić zarówno Mistrza, jak

i ucznia w orkiestrze Gran Teatre del Liceu, w której nigdy jeszcze nie miałem nikogo spośród swoich. Z waszą pomocą rozpętałbym tam prawdziwe piekło, rozniecając najbardziej spektakularny w historii ludzkości pożar w operze! Ilość zagmatwanych historii, urywających się wątków, dwuznacznych postaci i poszlak wykluczających wersje najznamienitszych detektywów byłaby tak ogromna, że nawet najwytrwalszy kronikarz nie podjąłby się opisanie tego wydarzenia! Jedynie mózg Hectora w połączeniu z twoim oddaniem umożliwiłyby realizację tego genialnego, zgoła demonicznego planu! Jednak, kiedy dwa i pół roku temu przedstawiłem Hectorowi listownie moją koncepcję, on wielce zaniepokojony od razu przyjechał do Barcelony i oznajmił mi, że choćbym nawet groził jego żonie, to on nigdy nie przyłoży ręki do tego, by niewinny chłopiec splamił się czynem tak haniebnym. Gdy nadszedł wrzesień, nie wrócił do Polski, by cię dalej podpuszczać, tak jak byliśmy umówieni. Jego postawa kazała mi zabić Inocencję. Nim jednak zdążyłem dać mojemu wysłannikowi namiary na człowieka handlującego arszenikiem, wpadł mi do głowy nowy pomysł, pozwalający mi zemścić się na Hectorze za jego buńczuczność, zemścić się w sposób nieskończenie bardziej widowiskowy. Widzisz, Feliksie, gdybym nie nazywał się Diogenes Ganzúa, rozprawiłbym się z moim synem w jakimś ciemnym zaułku Barcelony w ciągu zaledwie minuty. Ale Diogenesowi Ganzúii nie zależy na czasie, ale na widowisku! Zmodyfikowałem nieco moje plany dotyczące Gran Teatre del Liceu. Pożar, owszem, miał się odbyć, ale

mój syn miał być nie podpalaczem, lecz drewnem na opał. Błyskawicznie usunąłem z pola walki dyrygenta orkiestry Maurizia Picamaderosa, obsadzając na tym stanowisku jednego z moich ludzi, Pedra Patillę, który już raz doskonale spisał się we wzniecaniu pożaru. Wszystko zaplanowałem na noc sylwestrową, kiedy to miała odbyć się najważniejsza barcelońska impreza kulturalna ostatnich lat: *Nowy Rok z Rossinim*. Rozpętujące burzę w mediach abstrakcyjne i niedające się złożyć w logiczną całość elementy: znikający Pentagrama, informacja o próbie o jedenastej, zepsute mechanizmy, zgubione w niewyjaśnionych okolicznościach klucze do kanału, wszystko będące owocem moich długich, starannych przemyśleń; zapewniły mediom, a przez to również i Stowarzyszeniu Walki z Ogórkami olbrzymi dochód, taki, o jakim nawet nie śniłem! Niedługo przed tym, jak budynek Gran Teatre del Liceu zajął się ogniem, w ręce listonosza, jednego z moich podwładnych, zupełnym przypadkiem wpadła lecąca z Barcelony do Rabatu ostatnia wola Hectora. Dzięki temu listowi, który zmuszony byłem nieco przeprowadzić, dowiedziałem się o istnieniu mojej wnuczki, Dorotei, a także przypominałem sobie o hodowanym w cieplarnianych warunkach, oddanym uczniu Hectora, moim przepowiedzianym kluczu do sukcesu, który z pewnością wkrótce przyjedzie za swoim Mistrzem do Barcelony. Na szczęście w porę ustawiłem przed budynkiem Gran Teatre del Liceu mojego najwierniejszego sługę, Aureliana Nimentiroso, bo rzeczywiście twoja gorliwość nie pozwoliła ci długo zwlekać. Tak cennego, jak ty, egzemplarza

nie wolno mi było zmarnować, dlatego przeznaczyłem cię do pomocy w czymś zupełnie innym, a mianowicie, miałeś przyprowadzić do mojej siedziby moją wnuczkę, Dorotę. Czekałem, aż wreszcie, poinformowany przeze mnie, niby to mimochodem, o jej istnieniu, odnajdziesz ją, czekałem, aż wspólnie odczytacie list mojego syna zawierający wskazówkę, jak dostać się w mury mojej siedziby i w końcu, czekałem, aż wkroczycie tu ramię w ramię przekonani, że zbawiacie świat. Ja należę do ludzi cierpliwych - nigdy na nic nie czekam, bo każda chwila mojego życia to są miliardy pomysłów i planów - dlatego nie miałem do ciebie żalu, że tak guzdrasz się z tym, co masz do zrobienia. Mnie wręcz bawiło, jak odkrywałaś karta po karcie historię naszej rodziny, łudząc się, że przez cały czas znajdujesz się w rękach swojego Mistrza, podczas gdy w rzeczywistości zarówno ty, jak i on byliście przez cały ten czas moimi marionetkami. W końcu przyprowadziłaś mi ją, by mogła wysłuchać historii rodu Ganzúa i żadna przestrzeni dla swojego intelektu okazać się godną kontynuatorką jego tradycji. Przydałaś się, Feliksie, jednak się przydałaś, chociaż przepowiednia jakoby twoja osoba miała zapewnić mi ponadczasowość, okazała się nieco chybiona, co tylko dowiodło kolejnego tryumfu potęgi umysłu nad innymi dziedzinami określanymi jako potężne, na przykład nad tymi żalonymi czarami-marami. W każdym razie teraz, kiedy już jesteś zbędny, czeka cię podróż na tamten świat.

Mój przyrodziany w czerń oprawca skłonił się przede mną nisko, obnażając na chwilę fragment swej twarzy. Dałbym

głowę, że była to ta sama osoba, którą rok temu poznałem jako kierowcę autobusu, który dowiózł mnie z lotniska pod budynek uniwersytetu. Nim jednak zdążyłem to zweryfikować, Ganzúa dodał:

- Zawsze interesuje mnie, co ma do powiedzenia człowiek tuż przed swą śmiercią. Czy zechciałbyś może zabrać głos?

Poczułem, jak przedziwny spokój oblewa mnie powoli, ogarniając spiralami wpierw nogi, następnie tułów, by dotrzeć do ust i pozwolić mi zachłysnąć się nim. Wreszcie mogłem swobodnie powiedzieć Ganzúi o smutku, który nie dawał mi spokoju, od kiedy przeczytałem miniaturowych rozmiarów litanie miłosną na skrzyżowaniu Carrer dels tallers z Les Rambles.

- Być może jestem głupi. Nawet na pewno jestem głupi, bo mam problem z odróżnieniem Kartezjusza od Monteskiusza, nie pamiętam wzorów na obliczenie trójkątnu kwadratowego, a na domiar złego ani przez chwilę nie przypuszczałem, że pana geniusz był przez cały czas nade mną, tak wysoko, że aż poza granicami mojej wyobraźni...

Na twarz Diogenesa wślizgnął się ruchem węża ohydny uśmiezek triumfu. Wyrazy admiracji wypluwane na łożu śmierci przez potępionych należały zapewne do powszednich uciech starego tyra.

- Co więcej, pana koncepcje szybowwały gdzieś ponad wyobraźnię mojego kochanego profesora - zdanie to z trudem precyzyjnie się przez moją krtanię - co dowodzi, że jest pan posiadaczem największego umysłu świata. Niemniej

jednak ośmielę się podzielić z panem pewną starą prawdą, której nikt dotychczas nie miał albo okazji, albo odwagi, albo ochoty panu przekazać. To aż śmieszne, zupełnie jakby ktoś żył przez sto lat w Barcelonie i nie zdawał sobie sprawy z istnienia Sagrada Família. Naturalnym celem życia każdego człowieka jest szczęście, a pan jest, mimo całej pańskiej odrazy dla gatunku homo sapiens, właśnie człowiekiem, niczym i nikiem innym. Również i pan tego szczęścia potrzebuje i pan o nim w skrytości marzy, pomimo że wstydzi się pan tego przed sobą samym i pokutuje za czas zmarnowany na marzenia, pochłaniając czosnek w nieludzkich ilościach. Znam prawdę o Teodorze o oczach jak chabry, która poślubiła Antonia Salazara. Czytałem poemat na poręczy ławki na skrzyżowaniu Carrer dels Tallers z Les Rambles! Wiem o pana ogromnej miłości, którą wypierał pan przez tyle dziesięcioleci, jako wynik dominacji uczucia nad rozumem, jako dowód na to, że przynależy pan do znienawidzonego rodzaju ludzkiego dysponującego ograniczonymi możliwościami intelektualnymi. Smuci mnie pana podejście do własnej uczuciowości. Proszę się zastanowić, na co się panu zdało to przecenienie rozumu nad uczucie? Dziś, budząc się u schyłku życia i zadając sobie pytanie: ile razy pana serce zabiło mocniej, ile było wzruszeń, uniesień, serdeczności czy przede wszystkim czystej radości życia, zdaje pan sobie sprawę, że wynik bilansu jest druzgocący: zero, zero, zero, zero! Zmarnował pan całe życie, panie Ganzúa. Przez całe życie ustawiał pan klocuszki, jeden na drugim, które w założeniu miały

prorowadzić do szczęścia. Niestety ta pokrętna, koniecznie nieprzebyta, za wszelką cenę nieludzka droga nie zaprowadziła pana nigdzie. Szczęście jest jedno i to samo dla wszystkich ludzi bez względu na wiek, płeć, status społeczny i intelektualny, a droga do niego wiedzie zawsze przez miłość. Ono przez cały czas było dla pana na wyciągnięcie ręki, tylko że nigdy nie przyszło panu do głowy, by zburzyć tę bardzo wysoką, nieprowadzącą donikąd wieżę i jedynie sięgnąć ręką w przeciwnym kierunku.

Kiedy mówiłem, tęczówki Diogenesa Ganzúi stopniowo traciły swój pierwotny, szaleńczy blask, uwięziony w dwóch kostkach węgla, na początku przyoblekając się mgiełką, następnie zaś wnikając w głąb ciała szklanego i zlewając z barwą jego pożółkłej powłoki. Siwa kępka na czubku jego głowy posypała się na posadzkę, jak grudka zdmuchniętego przez wiatr popiołu, a jego zeschnięta, pomarszczona skóra zaczęła zapadać się w zadziwiającym tempie, uwidaczniając kształt wszystkich kości po kolei, co sprawiło, że strój wielkiego scholarchy już po chwili powiewał na nim, jak potrząsana przez wicher chorągiew. Z geniusza, który jeszcze przed chwilą paradował dumnie po swoim królestwie, wymierzając sprawiedliwość swoim poddanym, uchodziło na moich oczach życie. Na nogach z waty wyczekiwałem w napięciu dalszych nieprzewidzianych zdarzeń, zaplanowanych ściśle akcji i reakcji, dalszych efektów kosmicznej ilości wyliczeń, cudów na miarę najgenialniejszego człowieka świata. Ale nie wydarzyło się nic poza tym, że nagle skądś dobiegła ta sama magiczna

muzyka, którą usłyszałem w pokoju Mistrza i że nad ciałem geniusza uniósł się na ułamek sekundy wspomniany w przepowiedni ognisty płomień i poczuć można było swąd dymu. Diogenes Ganzúa spokojnie, bezboleśnie przeszedł na tamten świat.

Pomyślałem, że nie ma ludzi złych. Są tylko ludzie, którzy dawno rozpoczęli budowę swojej wieży donikąd i którym zawsze żal będzie ją zburzyć.

Zasmuciłem się, że nikt nie pomógł Diogenesowi zawczasu. Niepojęte było dla mnie, że wielkiemu Czarnoksiężnikowi, temu samemu, który w trzy minuty spisał z pamięci cały koncert wiolonczelowy Haydna i który nie potrzebował zegarka, dopóki świeciło słońce, przez tyle lat nie przyszło do głowy przedstawienie ojcu swojej koncepcji szczęścia. Być może, on w całym tym swoim czarnoksięstwie najzwyczajniej przeoczył to oczywiste dla mnie rozwiązanie. Są wyjścia, których nie dostrzeże i największy geniusz, gdyż człowiek, nawet jeśli posiada umiejętność myślenia wielotorowego, nie jest w stanie myśleć nieskończenie wielotorowo i konieczne są inne jednostki, niekiedy znacznie głębsze, aby poszerzyć jego punkt widzenia. Osiągnięcie pełni intelektu nie jest możliwe bez udziału innych.

Wespół z Doroteą i egzekutorem, który w wyrazie hołdu swojemu chlebodawcy zdjął maskę (utwierdzając mnie w tym momencie w przekonaniu, że jest dokładnie tą samą osobą, która rok temu dowiozła mnie pod budynek uniwersytetu), powzięliśmy na barki ciało starego mędrca i ruszyliśmy w kierunku drewnianego sedesu na granicy światów. Wraz

z ciałem Diogenesa wynosiliśmy z czeluści ubikacji salonu Madame Valerii skrzętnie zachomikowaną i już odrobinę pokrytą mchem, ale jakże istotną dla losów świata prawdę, której nagłośnienie przeze mnie (przepowiedziane zresztą przez wróżkę), miało zwrócić uwagę wszystkich obywateli Barcelony, a może i świata, na osobę Diogenesa Ganzúí i zapewnić mu upragnioną ponadczasowość. Jakiś cichutki głosik w mojej głowie mówił mi, że sensacja nawet tego kalibru nie byłaby już teraz atrakcją dla Diogenesa Ganzúí, gdyż w ostatniej chwili życia pojął on swój błąd. Przeszło mi nawet przez myśl, że każdy człowiek trafia raz w życiu na takiego swojego czarnoksiężnika i nieważne, czy jest to faktyczny mag z brodą po pas, trzepoczącą u stóp szatą i umiejętnością czytania w myślach, czy oferowaty nastolatek, który kwadratową hiszpańszczyznę próbuje rozprawiać o szczęściu; istotne, że taka osoba spada na oś życia w najmniej spodziewanym momencie i samym faktem swojego istnienia obala dotychczasowe postrzeganie szczęścia, burzy tę nieprowadzącą donikąd wieżę z klocków, pozwalając rozpocząć wszystko od nowa, choćby i owo „wszystko” miało trwać zaledwie sekundę...

Moje rozmyślenia przerwało jednak kolejne nieprzewidziane zdarzenie. Nim doszliśmy do granicy dwóch światów, ściana została wprawiona w ruch przez kogoś po drugiej stronie i rozpoczęła swój obrót o sto osiemdziesiąt stopni! Wymieniliśmy z Doroteą przepełnione niepokojem spojrzenia: oto najprawdopodobniej przybywał oddany sługa Diogenesa – Charon, nieświadom jeszcze porażki, jaka

spotkała jego pana, klęski, która miała zrujnować życie tysięcy ludzi. Nasze współczucie wzmogło się, gdy zetknąwszy się z nim oko w oko, spostrzeżliśmy, jaka radość biła z jego twarzy, kiedy przeprowadzał do świata Ganzúi jakąś niewyobrażalnie elegancką kobietę.

Wtem dorodna matrona uśmiechnęła się do Aureliana Nimentiroso, a ja rozpoznałem na jej twarzy uśmiech, który jeszcze przed chwilą widziałem na szyldzie przed salonem piękności sióstr Aliciente. Laura Aliciente, moje serce zabiło mocniej: piękna, hollywoodzka siostra Madame Valerii. Żona Aureliana Nimentiroso, pierwszego sługi Diogenesa wyrwanego z manowców w celu zapewnienia siedzibie stowarzyszenia nietykalności. I raptem uświadomiłem sobie właściwe źródło radości Charona. Mieszkanie małżonków miało być siedzibą Diogenesa aż po dzień, w którym nieszczęśnik zginie.

- Witaj w domu, kochanie! - wykrzyknął tryumfalnie, biorąc żonę na ręce i przenosząc ją przez próg. - Tyran umarł! Nareszcie mamy nasz dom! Nareszcie będziemy szczęśliwą rodziną!

Martwy wzrok Laury błędził po całym wnętrzu jej niedoszłego mieszkania, dotykając po kolei wszystkich kolumn podpierających imitację przykrytego chmurami nieba, wszystkich popiersi starożytnych mędrców i wszystkich drzew oliwnych, aż zatrzymał się ostatecznie na niesionym przez nas trupie Diogenesa Ganzúi. Zapomniawszy o jej feralnej niezdolności do odbierania obrazów, wyczekiwałem z niecierpliwością reakcji pierwszej

osoby, która zetknęła się oko w oko z mrozącą krew w żyłach prawdą.

- Aureliano! - wykrzyknęła niewidoma z ulgą w głosie. - Aureliano, pozytywka moich rodziców nareszcie się znalazła! Poznaję przecież ten utwór, ten cudowny utwór, który tak bardzo kochała moja mama. To jest scherzo symfoniczne Paula Dukasa *Uczeń Czarnoksiężnika!*

Cztery ostatnie dźwięki utworu nareszcie rozbrzmiały.

EPILOG

Musiało minąć jeszcze mnóstwo czasu. Trzykrotnie przekroczyłem już bowiem wiek osiemnastu lat, zdążyłem dorobić się żony (posiadaczki najpotężniejszego umysłu w Katalonii), rozmuzykowanego potomstwa i posady wiolonczelisty w Gran Teatre del Liceu, bym wreszcie pojął właściwy sens słów, które odmieniły moje życie:

„Dziś jeszcze nie mam dla ciebie prezentu, Feliksie, ale dokładnie za sześć lat, w twoje osiemnaste urodziny chciałbym zabrać cię w moje strony, do Katalonii. Poznasz moją rodzinę, dowiesz się o drodze, przez którą przeszedłem, o tym, gdzie szukać prawdziwego szczęścia, a gdzie na pewno się go nie znajdzie. Odkryjesz, jak wiele nas łączy”.

Powiedział mi to Czarnoksiężnik czterdzieści cztery lata temu, w dniu moich urodzin. Jak mogłem przez tyle lat naiwnie wierzyć, że to Diogenes był mądrzejszy i że to on miał nad wszystkim kontrolę? Jak mogło ujść mojej uwagi, że naprawdę tylko pierwsze zdanie obietnicy wypowiedzianej w moje dwunaste urodziny padło z rozkazu Ganzúii? Jak mogłem nie zorientować się, że całą resztę mój wszechwiedzący profesor dopowiedział sprytnie, by dać mi znak do odszyfrowania w przyszłości, iż już wówczas widział zarysy tego, co przydarzy mi się za sześć lat – przygody, a zarazem lekcji życia, która spowoduje jego śmierć.

A jednak – mój Mistrz nigdy się nie mylił.

Warszawa, 2011

REDAKCJA: Ewelina Ambroziak
KOREKTA: Liliana Hetko
OKŁADKA: Wytwórnia Przecinków
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

© Aleksandra Chmielewska i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-7942-320-0

NOVAE RES — WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

